

SZUKAMY ZNIKAJĄCEGO OŁTARZYKA TUSKA

TURÓW: TEN ATAK OBRÓCI SIĘ PRZECIW CZECHOM

MSZA ŚWIĘTA JAK TANDETNY SHOW? OBY TO BYŁ TYLKO BŁĄD

RAFAŁ WOŚ O MEDIALNYM ŻMIJOWISKU



SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 40 (462) 2021
4–10 października 2021
CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

SZOKUJĄCE KULISY WOJNY O GRANICĘ

W ROZMOWIE Z TYGODNIKIEM „SIECI”
MARIUSZ KAMIŃSKI MÓWI JASNO:
TO PUTIN W NAS UDERZYŁ. ALE PRZEGRA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
40
9 772544 269106

eprasa.pl 1499ff6129

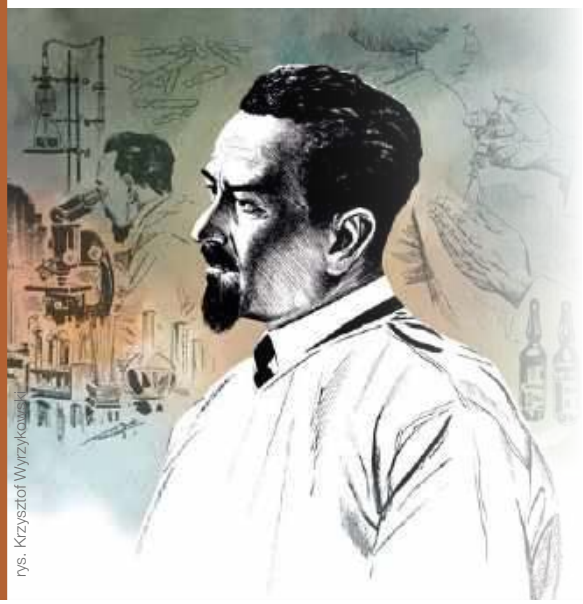


Już w poniedziałek 11 października

w tygodniku SIECI ósma część cyklu dodatków

Giganci nauki PL

polscy wynalazcy, odkrywcy i pionierzy nauk ścisłych



rys. Krzysztof Wyrzykowski

RUDOLF WEIGL – biolog, wynalazca szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu. Dzięki jego badaniom zostali uratowani przed represjami, m.in. Stefan Banach, Eugeniusz Romer czy Zbigniew Herbert (zatrudniani jako karmiciele wszy)

Więcej o bohaterach tego i następnych dodatków z serii „Giganci nauki PL" w serwisie YouTube na kanale: IPNtv

PARTNERZY MERYTORYCZNI

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PAN IHN

PARTNER DODATKU

ORLEN

eprasa.pl 1499ff6129

Unijne bezprawie



Rule of law", czyli rządy prawa. To jedno z najczęściej przywoływanych haseł przez unijnych urzędników, polityków, a także przez krajową opozycję. Tego chcą, tego żądają od Polski i od Węgier. Tego wymagają pod groźbą kar, sankcji, mniejszych i większych złośliwości.

Co jednak zrobić w sytuacji, gdy faktycznie to nie Polska i nie Węgry depczą unijne traktaty, zasady, ustalone reguły postępowania? Gdy ogólnymi zapisami o „państwie demokratycznym" czy o „prawie do sprawiedliwego sądu" uzasadnia się bezprecedensowe rozszerzanie kompetencji Unii Europejskiej? Co zrobić, gdy unijne trybunały służą nie obiektywnemu rozsądzaniu sporów, ale wykręcaniu ręki niepokornym, nielubianym rządom, także w sferze energetycznej, gospodarczej? Co zrobić, gdy to Unia Europejska coraz jawniej i coraz bezczelniej depcze „rule of law"?

W głośnym, zauważonym także na Zachodzie wywiadzie, którego europoseł Jacek Saryusz-Wolski udzielił dwa tygodnie temu tygodnikowi „Sieci", padły znamienne słowa: „Traktaty były pisane przez ludzi, którzy celowo wprowadzali tam niedookreśloną i wieloznaczną szarą strefę, umożliwiającą rozmaite manipulacje i naciągnięcia. I to zjawisko narastało, aż doszliśmy do momentu, w którym traktaty są w biały dzień deptane". I także: „Liczą na bałwochwalczą proeuropejskość, ignorancję i kompleksy po naszej stronie i że można nam wcisnąć jako prawo europejskie coś, co wcale nim nie jest". Przemoc w jawny dzień. Po prostu prawny rozbój.

Trzeba o tym mówić, trzeba szukać recept. Rządzący nie są jednak w łatwej sytuacji. W przeciwieństwie do publicystów zawsze muszą zadawać sobie pytanie: dokąd doprowadzi eskalacja? Czy można wygrać otwartą wojnę z przeciwnikiem, który nie dość, że jest dziesięć razy silniejszy i bogatszy, to jeszcze ma po swojej stronie nieuczciwego sędziego, rozdzielającego chętnie żółte i czerwone kartki? Strategia zwodów, uników, uchylania się, ale także punktowego, zawziętego oporu, przyjęta przez władze w Warszawie, jest w tej sytuacji jedyną odpowiedzią, zwłaszcza po tym, gdy się okazało, że nawet największe pokłady dobrej woli i daleko idące ustępstwa nie pomagają w zawarciu trwałego porozumienia. Druga strona po prostu chce tej wojny.

Są takie chwile, w których można i należy cierpliwie czekać na zmianę koniunktury, na odmianę losu, na nowe szanse. Zgodnie z tym, co mówił węgierski minister Gergely Gulyás w opublikowanej niedawno na naszych łamach rozmowie: „Unia Europejska, tak jak inne organizacje, do których należymy, powinna nam pomagać, a nie myśleć, jak nam dokuczyć. Stosujemy jednak zasadę, którą Fidesz przyjął jeszcze pod koniec lat 80. w ramach walki z dyktaturą komunistyczną: staramy się zachowywać tak, jakbyśmy żyli w normalnym świecie". Innego wyjścia nie widać, tym bardziej że te wszystkie ataki mają silne podłoże gospodarcze: chodzi o zatrzymanie grupy pościgowej Zachodu, krajów, które zaczęły myśleć samodzielnie i powoli łapią moc.

Jedno wydaje się ważne: trzeba się pozbyć złudzeń, że ataki na Polskę są wynikiem nieporozumień czy też błędów po naszej stronie. Przykład Turowa – jednej z wielu kopalni w tej części Europy – pokazał to jasno. Na wniosek Czech zastosowano niezwykle brutalną sankcję w sytuacji, gdy Niemcy i Czesi wydobywają i spalają węgiel brunatny na podobną skalę co my. Ich kopalnie jakimś cudem nie szkodzą ekosystemom hydrologicznym.

Polska musi grać sprytnie, musi uznawać realia geopolityczne, gospodarcze, społeczne. Inna droga będzie po prostu politycznym samobójstwem. Być może musi też wykazać się daleko idącą elastycznością. Ale jednocześnie musi też jasno nakreślić linię, której nigdy nie przekroczy. Tą granicą jest akceptacja przemocy – prawnej i politycznej – jako głównej zasady gry toczącej się w Unii. Tego nam zrobić nie wolno. Musimy wołać o „rule of law".

Jacek Karnowski

Autopromocja

eprasa.pl 1499ff6129

SIECI spis treści



38 ***Bezużyteczni prezydenci***
Stanisław Janecki



50 **Matejko i Pilecki pod jednym dachem**
Jaromir Kwiatkowski



58 **„Spisek Anglosasów”**
Marek Budzisz

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **PORADY „TEŚCIOWEJ”**
Krzysztof Feusette

9 **LAST CHRISTMAS**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **MAMUSIA SPRZĄTA CZY ODLATUJE?**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **SIKORSKI, CZYLI KOMPROMITACJA**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA DR HAB. ANNY WANDTKE**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **PRECEDENSOWY WYROK**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **NIEPOKORNI, NIEZŁOMNI, WOLNI**
Tomasz Łysiak

TEMAT TYGODNIA

20 **Z MARIUSZEM KAMIŃSKIM**
rozmawiają Jacek Karnowski i Marek Pyza

KRAJ

28 **O CO TA BITWA**
Konrad Kołodziejski

32 **NOWA I NIEZNANA EUROPA, CZYLI PRZYPADEK TUROWA**
Jan Rokita

35 **Z PROF. TOMASZEM GRZEGORZEM GROSSEM**
rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski

38 **BEZUŻYTECZNI PREZYDENCI**
Stanisław Janecki

42 **GDZIE JEST OŁTARZYK TUSKA?**
Dorota Łosiewicz

44 **Z RAFAŁEM WOSIEM**
rozmawia Goran Andrijanić

48 **MSZA JAK NIESPODZIANKA**
Grzegorz Górny

HISTORIA

50 **MATEJKO I PILECKI POD JEDNYM DACHEM**
Jaromir Kwiatkowski

ŚWIAT

54 **MERKELIZM BEZ MERKEL**
Aleksandra Rybińska

58 **„SPISEK ANGLOSASÓW”**
Marek Budzisz

SIECI KULTURY

63 **ZOSTAWILI TAM WSZYSTKO**
Jolanta Gajda-Zadworna

66 **W GORSECIE**
Klara Pawlicka

68 **PUSTKA POSTCHRZEŚCIJAŃSTWA**
Robert Tekieli

69 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

70 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

72 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

GOSPODARKA

81 **JAK WALCZYĆ Z IV FALĄ COVID-19?**
Debata „Gazety Bankowej” i tygodnika „Sieci”

85 **GDY FIRMY PRZEJMUJĄ ROLĘ PAŃSTWA**
Piotr Filipczyk

KUCHNIA

90 **MOJE SMAKI: SIOSTRY SZYDŁOWSKIE**
Jolanta Gajda-Zadworna

91 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

92 **LAPUERTA? DAJCIE NAM JĄ TUTAJ!**
Hanna Karp

94 **NIEWYPEŁNIONY TESTAMENT**
Alina Czerniakowska

95 **ZAUFANIE**
Lech Makowiecki

95 **GADKA MAŁEGO RADKA**
Piotr Cywiński

96 **LEKCJA STUHRA**
Wiktor Świetlik

97 **NA ZŁOTEJ GÓRZE U WEJŚCIA DO DOLINY PILIŚMY WINO...**
Leszek Długosz

98 **SZTUKA BEZ FINISZU**
Katarzyna Zybertowicz

Reklama | 50/0921/F

eprasa.pl 1499ff6129



eprasa.pl 1499ff6129



Sygnalista nadaje

Janina Ochojska uważa, że nie ma powodu, by się zbroić. „Kogo mają odstraszyć te abramsy? Czyżby ktoś kwestionował naszą granicę na wschodzie? Czy nie bardziej potrzebujemy dobrze opłacanych pielęgniarek w szpitalach?”. Nie było więc rosyjskiego ataku na Gruzję, Ukrainę, nie ma wojny hybrydowej z Mińskiem i Moskwą. Sielanka. Jak w drugiej połowie XVIII w. Jest im bliżej do ciemnoty, niż sądzą.

Agnieszka Holland odebrała w Gdyni, na 46. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych, Platynowe Lwy za całokształt twórczości. I pojechała: „Nie godzę się na to, żeby obsadzać żołnierzy polskiej straży granicznej w rolach strażników muru berlińskiego z byłego NRD. Nie godzę się na to, by okoliczna ludność grała rolę donosicieli i żeby zanim podadzą chleb głodnemu, dzwonili na policję. To obciąża nas wszystkich strasznie jako wspólnotę” – mówiła, nawiązując do sytuacji na wschodniej granicy. Wystąpienie zostało uhonorowane przez publiczność owacją na stojąco. Związek środowiska filmowego z państwem polskim staje się coraz bardziej umowny.

No oczywiście poza finansami, bo te wszystkie filmowe agitki przecież w większości finansują podatnicy. Ale im więcej dostają, tym ostrzej jadą. Ponownie Agnieszka Holland: „Faszyzującą mowę w 2015 r. zaczął już prezes Kaczyński. […] Teraz dochodzi jeszcze zagrożenie zboczeniami, rzekomym terroryzmem”, „My nie jesteśmy już demokratycznym państwem prawa, tylko jakimś reżimem. […] Wszyscy, którzy się na to godzimy, mamy krew na rękach”. Dla tak dużej części elit bezpieczeństwo Polaków jest warte mniej niż zero.

W sieci pojawiło się szokujące nagranie z udziałem młodego chłopaka, lewicowego aktywisty. Słowa, które wypowiedział, przerażają: „Dziecko do ok. trzeciego–czwartego roku życia ma taką samą świadomość co pies. Więc jeżeli psa można uśpić, to czemu nie dziecko? A tym bardziej dziecko, znaczy płód w łonie matki, nie ma samoświadomości. Więc naukowo zasadnym byłoby zalegalizowanie aborcji, a nawet eutanazji”. W dawnych czasach naukowo zasadne byłoby porządne lanie.

Gdy ministrowie Kamiński i Błaszczak pokazali, kto naprawdę przedziera się przez granicę, publicysta Tomasz Terlikowski zareagował tak: „Służby państwowe są od tego, by nas chronić, a nie by nas straszyć. Budowanie lęków przed migrantami, których w Polsce wciąż przybywa, też jak się zdaje nie wchodzi w zakres ich działania. Ani to chrześcijańskie, ani konserwatywne, ani niesłużące bezpieczeństwu”. Zdaniem portalu wPolityce.pl był to wpis zaskakujący. To nieprawda. Nie było w tym nic zaskakującego! Wszystko zgodnie z przewidywaniami.

Gdy Donald Tusk miał zdecydować o losach Budki i ***Siemoniaka***, którzy poszli na urodziny do Roberta Mazurka, przywołał esemesa od teściowej: „Donku, wiem, że masz kłopot ze swoimi ludźmi. Jestem po Twojej stronie. Nie powinni się tak zachować. Ale nie pozbywaj się ich. I tak sporo ludzi PO odeszło za Twoich poprzedników. Teraz w PO każdy jest na wagę złota. Czasem człowiek w jakiejś chwili popełnia błąd, ale potem żałuje. To są pozytywne chłopaki, więcej takich głupot nie zrobią”. O tak, upokarzać partyjnych rywali to Tusk naprawdę umie.

Siemoniak odpowiedział samokrytyką w stylu iście stalinowskim: „Żadnego alkoholu na spotkaniu nie piłem, z posłami PiS żadnego kontaktu tam nie miałem. Z jednym z ministrów (posłem z mojego okręgu wybor-

eprasa.pl 1499ff6129

czego) i jego żoną (w większej grupie – co widać na zdjęciu) zamieniłem kilka słów przy wyjściu. Wiedzy, kto będzie, nie miałem". Brakuje tylko odręcznie napisanego życiorysu.

Padła także obietnica zwiększenia czujności: „Konsekwencje polityczne są twarde i jasne, ponoszę je, oddawszy się do dyspozycji przewodniczącego Donalda Tuska, do którego ocen i wyczucia politycznego mam absolutne zaufanie przez 30 lat współpracy. A z tymi, którzy niszczą Rzeczpospolitą od sześciu lat, i ich niegodziwościami zamierzam nadal walczyć z pełną determinacją. W każdej roli, jaką będę pełnić". I tak aż do ponownego upadku państwa polskiego.

Zgodnie z doktryną totalności wzajemna nienawiść ma zniszczyć każdą relację wymykającą się logice wojny plemion. Nie można się więc dziwić, że Jan Borysewicz usunął głos ***Pawła Kukiza*** z ich wspólnego przeboju „Bo tutaj jest, jak jest"!. Na płycie podsumowującej pół wieku działalności artysty lidera zespołu Lady Pank znalazł się co prawda utwór nagrany wspólnie z Kukizem, ale tylko w wersji instrumentalnej. Kukizowi to nie zaszkodzi, bo on jest prawdziwy, a Borysewicz nie dość, że z plastiku, to także na pilota.

Czasy takie, że nawet wielkie firmy nie wytrzymują ciśnienia. Tanie linie lotnicze Ryanair skrytykowały budowę Centralnego Portu Komunikacyjnego, powołując się oczywiście na dobro Polski: „Te miliardy mogłyby pomóc sfinansować straty PAŻP-u [Polska Agencja Żeglugi Powietrznej] w związku z covidem lub zostać wydane na polskie szkoły, szpitale, nauczycieli i pielęgniarki. Ryanair nie otrzymał ani złotówki od polskiego rządu ani od polskich podatników, podczas gdy CPK marnuje miliardy złotych". Wniosek z tej eksplozji frustracji jest jeden: budować. Jeszcze szybciej niż dotąd.

Opozycja ze wzruszeniem żegna Angelę Merkel. Zdaniem Radosława Sikorskiego była ona „najbardziej propolską kanclerz Niemiec od tysiąca lat". „W jednej czwartej Polka, pochodząca z NRD, czyli czująca te klimaty komunistyczne i postkomunistyczne". Podobnie Jarosław Gowin: „Była najbardziej propolskim kanclerzem i najbardziej propolskim z liderów starej Europy. Teraz będzie tylko trudniej". Może jednak będzie łatwiej? Tak nas przytulała, że mało ducha nie wyzionęliśmy.







Na te zachwyty odpowiedział w rozmowie z portalem wPolityce.pl ambasador RP w Niemczech prof. Andrzej Przyłębski: „Pani kanclerz realizowała bezwzględnie interesy niemieckie, wpływ jej doradców, co często obserwowałem, był silniejszy niż sympatie osobiste, np. do premiera Morawieckiego czy premier Szydło. Najlepszym dowodem było wsparcie udzielane cały czas Donaldowi Tuskowi, który Polsce szkodził. Pani kanclerz nie mogła o tym nie wiedzieć". Propozycja Merkel dla Polski miała twarz Tuska, ze wszystkimi konsekwencjami tego wyboru.

Łódzki adwokat Paweł K. zderzył się z innym autem, w którym – według policji z winy prawnika – zginęły dwie kobiety. Dwa dni później mecenas, podróżujący nowoczesnym mercedesem, tak ocenił tragiczne zdarzenie: „Uświadommy sobie, kochani, bo wszyscy mówią, że nadmierna prędkość, brawura, telefony komórkowe, pijani kierowcy. Ale wszyscy zapominamy o tym, że po naszej drodze poruszają się trumny na kółkach. I to była konfrontacja bezpiecznego samochodu z trumną na kółkach. I między innymi dlatego te kobiety zginęły". Prawdziwa rasa panów.

Trwa wojna „Wyborczej" z Agorą. Jarosław Kurski w liście do pracowników pisze o sytuacji, „w której odpowiedzialni za fatalne decyzje członkowie Zarządu odchodzą z Agory z milionowymi nagrodami i odprawami, gdy my tymczasem w »Wyborczej« jesteśmy zmuszani do drakońskich cięć kosztów, czyli przede wszystkim zatrudnienia". Nie żałuje też krytyki słów Agnieszce Siuzdak, która weszła do zarządu spółki: „Dla niepoznaki zalewając Was miodem pochwał, oświadczyła, że ma już dla nas gotową strategię biznesu subskrypcyjnego. Ułożyła ją bez naszej wiedzy i zgody, a teraz zapewne wyznaczy nam zadania i będzie wymuszać ich realizację". To ogromny skandal. Kto to słyszał, żeby zarząd firmy wyznaczał strategię i później ją realizował przy pomocy pracowników?

Marek Migalski wcielił się w rolę arbitra elegancji: „Polscy faceci na wakacjach: białe adidasy, dżinsowe portki do kolan, biały/czarny/niebieski T-shirt. Banał wołający o pomstę do nieba. Ale oni uważają, że są OK. Ich żonki/partnerki też. Tylko Rusowie i Czesi ubierają się gorzej". Migalskiemu odpowiedział ***Krzysztof Bosak***: „Jak poznać modowego neofitę? Zna kilka zasad, ale jeszcze nie pojął, że moda to zabawa mniejszości społecznej, a nie obowiązek obywatelski. Uważa, że rozmiar tej mniejszości to problem kultury narodowej. Brak mu klasy, co sam chętnie ujawnia tonem, w jakim krytykuje większość". Brak mu klasy, brak mu ducha. A tego żadne ubranko nie przesłoni.

Fot. M.Czutko, Andrzej Wiktor (2)

eprasa.pl 1499ff6129

Porady „Teściowej”



KRZYSZTOF FEUSETTE

Halo?

No i czego ty znowu chcesz?

Czy mamusia już śpi?

Jak mam spać, jak dzwonisz co chwilę. Przemówienie ci poprawiam.

A co, zrobiła mamusia błędy?

Ja nie robię błędów, w odróżnieniu od ciebie. Skracam tylko, bo widzę, że za długie ci nie leżą.

No, wiem. Ja mam do mamusi pełne zaufanie.

A ja do ciebie nie. Kto cię prosił, żebyś o mnie publicznie wspominał? I to jeszcze per twoja stara?

Ale „doradczyni”!

A ludzie tylko „starą” zapamiętają. I te memy! Czy ja cię upoważniłam? I gdzie są pieniądze za porady?

Mamusiu, przecież mamusia wie, jakie ja mam teraz kłopoty...

To ty w tym Beneluksusie nic nie odłożyłeś?

Beneluksie, mamusiu. Odłożyłem, ale na później.

Uważaj, żeby nie było za późno. Wybory za pasem.

Co mamusia mówi? Skąd mamusia ma takie informacje?

Hołownia mówił.

Mamusia mu wierzy?

Nie, ale widzę, że chłopak nogami przebiera, bo za chwilę mu tylko ten Kobosko zostanie.

A pomoże mi mamusia listy ułożyć?

Już ułożyłam. Krzyżówki nie przywiozłeś, to się nudziłam.

I kto na jedynkę w Warszawie?

Ten przystojny, co z ławkami w kampanii chodził...

Nie kojarzę.

No, taki z taśmą klejącą...

Nadal nic. To znaczy, chyba wiem, o kogo mamusi chodzi, ale nie kojarzę go z jedynką w Warszawie. Są godniejsi.

Na przykład?

No, nie wiem... Mnie się wydaje, że jedynkę w Warszawie powinien mieć lider partii...

Czyli?

No, jak to? To mamusia nie wie, kto jest przewodniczącym Platformy Obywatelskiej?

Nie wiem. Wiem, kto jest p.o. przewodniczącym PO, i to tylko dzięki temu, że chłopaki są pozytywne. Musisz zrobić wybory wewnętrzne, póki nikt się nie zgłosił. Bo będzie jak z tą imprezą u Mazurka. Mówiłam, żebyś poszedł. „Nie, bo Budka będzie”. A potem: „Poczytaj mi, mamo, bo chyba nie zasnę...”.

Tylko mnie mamusia bardziej zdenerwowała tym „Pinokiem”. Takie rzeczy dziecku na noc?

Gdybyś słuchał, tobyś więcej rozumiał. Tam chłopiec przestał kłamać, a nie bez przerwy wołał mamusię, żeby mu nos przycinała...

O, przepraszam. Sama mamusia mi radziła, żebym się mamusi słuchał.

A co, miałam cię samego zostawić? Przecież wy się z pisania Małgosi nie utrzymacie.

Ja też trochę piszę...

Szczerze?

„Szczerze”. Czytała mamusia?

Szczerze?

Wiem, nie ma czasu. Właśnie, czy ja mogę jeszcze o coś podpytać?

No i widzisz?! Jak ty się nauczyłeś buty wiązać?

Niech mi mamusia powie: co mamusia na to, żebyśmy trochę w prawo skręcili? Wie mamusia, jakiś tam chlebek z solą, znak krzyża, ksiądz w rodzinie...

A co z sondaży wychodzi?

No, właśnie, niewiele. Niby wszystko idzie w lewo, a nam po lewej nie rośnie.

Kostką rzucałeś?

Tysiąc razy. Ale tam jest sześć możliwości.

Przy monecie są dwie.

O, kurczę. Faktycznie! No i widzi mamusia?! Znowu genialna rada!

A ty zaraz polecisz z tym do telewizji. Mleko się rozlało. Chciałeś sobie wizerunek ocieplić moim kosztem, to sobie ociepliłeś. Jak tą czapeczką z Peru.

Mamusiu, ale ja chciałem tak spontanicznie. Żeby te bachory urodzinowe po tyłkach dostały.

Widzisz? A nie mówiłam, że jak będziesz PiS „bachorami” nazywać, to słowo się odwróci? Teraz masz „bachory”: jeden biega przy granicy, drugi pizzę gniecie, trzeci pisze samokrytykę, jak za Stalina... I jeszcze ta twoja Jaszmira!

Jachira, mamusiu. I mamusia dobrze wie, że ona nie jest moja.

A kto ją w klubie trzyma?

Budka.

A odwiesiłeś go, jak prosiłam?

Mamusiu, on kłamał, że nie było go na Wiejskiej, bo pracował...

Donek...

Dobrze, odwieszę, zapomniałem po prostu. Ale klubu już nie dostanie. Błagam, niech mamusia to chociaż przemyśli...

Pożyjemy, zobaczymy.

A jak z tym skrętem?

Z jakim znowu skrętem?

No, czy iść w prawo, czy nie iść?

Jak się nie wywrócisz, to się nie nauczysz.

A te spółki to jak skomentować? Wie mamusia, ta afera, że PiS poobsadzało firmy państwowe. Podobno 900 stanowisk.

A wyście ile mieli?

Nie pamiętam.

A ja owszem. Ponad 5 tysięcy. Sześć razy więcej. Wysłać ci to esemesem?

Mamusiu...

I przestań wreszcie tak mnie nazywać! Zresztą, zaraz i tak będziesz mieć „tatusia”.

A co? Zmienia płeć mamusia?

Nie, Donku. Wybory mieliśmy. Nowa kanclerz będzie mężczyzną.

eprasa.pl 1499ff6129

Last Christmas

Mamo, zobacz, choinka! – krzyczy sześciolatka. Dla pewności zerkam w kalendarz w telefonie, ale uparcie pokazuje końcówkę września

Sobotni wypad z dzieciakami do sklepu. Między alejką z kosmetykami a chemią gospodarczą dział z produktami na Halloween. Znaleźć można wszystko: upiorne stroje, farby do twarzy, by zrobić się na potwora, świecące dynie, oświetlenie domu. Na szczęście moje dzieciaki nie są zainteresowane, bo wiedzą, że to nie „nasze" święto. Mijamy więc pomarańczowo-czarno-upiorny asortyment bez większych emocji. A dalej zaskoczenie.

– Mamo, zobacz, choinka! – krzyczy sześciolatka.

– I kalendarze adwentowe, i renifery! – dodaje dziesięciolatka.

Dla pewności zerkam w kalendarz w telefonie, ale uparcie pokazuje końcówkę września. Szybcy są – pomyślałam. To chyba rekord. Nie przypominam sobie bożonarodzeniowego asortymentu w sklepach we wrześniu. Pierwsze ozdoby świąteczne tradycyjnie pojawiały się w sklepach po Wszystkich Świętych, a to i tak dość wcześnie i często utyskiwaliśmy na komercjalizację świąt i sprowadzanie ich do handlu. Być może holenderska sieć sklepów z artykułami nieżywnościowymi, w której robiłam zakupy, postanowiła we wrześniu wyprzedać to, co zostało z ubiegłego roku, nim „rzuci" tegoroczne nowości.

„Nasza sieć słynie z produktów codziennego użytku w przystępnych cenach. W sklepach czeka na klientów ponad 6000 różnych artykułów, a co tydzień na półki trafia ponad 150 kolejnych nowości" – reklamuje się sieć.

Kto wie, może ktoś akurat potrzebuje do codziennego użytku drucianej świecącej choinki. Gdy jednak wrzuciłam zdjęcia ze sklepu na Facebooka, wśród komentarzy pojawiły się i takie, że niektóre sieci zaczęły handel bożonarodzeniowym towarem jeszcze w końcówce sierpnia, inne już na początku września. Wygląda więc na to, że sklep, który odwiedzałam, wcale nie jest rekordzistą.

Gdy cztery lata temu świąteczny asortyment pojawił się w sklepach już w październiku, dr hab. Anna Brzezińska z Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UAM tak tłumaczyła w Radiu Poznań to zjawisko: „Pierwsze, co sobie pomyślałam, kiedy dowiedziałam się o tym, że są już dostępne w sklepach świąteczne słodycze, to to, że został zakłócony pewien rytm. Najpierw przeżywaliśmy atak zniczy, a dopiero potem witaliśmy się z gwiazdorami, bombkami oraz z pozostałym asortymentem bożonarodzeniowym. Przychodzi mi do głowy taka myśl, że może jest zwycięstwo tych świąt radosnych nad tymi świętami, które w naszej kulturze kojarzą się ze smutkiem i zadumą". Jak jednak wytłumaczyć bożonarodzeniowe słodycze w sierpniu i wrześniu? Chyba tylko tak, że koniec wakacji i początek roku szkolnego wykończył nas tak bardzo, że już tęsknimy do atmosfery grudniowych świąt.

Podobno z badań wynika, że te sklepy, które jako pierwsze zaczynają handel świątecznym towarem, mają największe utargi. Może jak ktoś zobaczy we wrześniu choinkę, to się skusi, by uniknąć przedświątecznego tłumu. A skoro już jest choinka, to może i jeden z drugim postanowią wcześniej kupić prezenty. W końcu wszyscy mają w tyle głowy, że skoro mamy kolejną falę wiadomo czego, to może komuś wpadnie do głowy jakiś mały lockdown, więc lepiej być przezornym zawczasu.

A może ja się niesłusznie dziwię? Z badań Deloitte z 2018 r. wynika, że 17 proc. Polaków rozpoczyna poszukiwanie prezentów już we wrześniu. W listopadzie robi to co piąty ankietowany. W pierwszej połowie grudnia 33 proc. respondentów marzy o tym, by zakupy świąteczne mieć już za sobą.

Wydaje się, że takie postępowanie jest jedną z przyczyn, dla których święta te powszednieją. Marketingowo dmuchany jest balonik, a później kolędy słychać tylko przez jeden dzień, i to najczęściej jedną zwrotkę. – A przecież kolędy i pastorałki śpiewane są do święta Chrztu Pańskiego, a w tradycji polskiej dopuszcza się nawet do Ofiarowania Pańskiego, czyli 2 lutego – skomentował mój znajomy.

A inny twierdzi, że w jednej ze stacji radiowych już słyszał świąteczny przebój wszech czasów:

Last Christmas I gave you my heart
But the very next day you gave it away
This year, to save me from tears
I'll give it to someone special

Jak tak dalej pójdzie, to świąteczny asortyment w ogóle nie będzie znikał ze sklepów. Wtedy handlowcy zarobią najwięcej. I jak co roku bez odpowiedzi pozostanie pytanie: co to zakupowe szaleństwo ma wspólnego z prawdziwym Bożym Narodzeniem?

Dorota Łosiewicz

Pryncypialna jak Ocasio-Cortez



Przedstawicielka radykalnie lewicowego skrzydła Partii Demokratycznej Alexandria Ocasio-Cortez (na zdj.) popłakała się ze złości podczas głosowania w Kongresie USA po tym, jak pod koniec września Izba Reprezentantów przegłosowała dodatkowy miliard dolarów na pomoc wojskową dla Izraela. Nie byłoby w tym może nic godnego uwagi, gdyby nie fakt, że Ocasio-Cortez sama się do tego przyczyniła swoim głosem. I nie było w tym żadnej pomyłki. Po prostu poparcie żydowskich wyborców z Nowego Jorku okazało się dla lewicowej kongresmenki ważniejsze niż jej własne poglądy.

Lewica od dawna krytykuje Izrael za jego nacjonalistyczną politykę, co rzecz jasna spotyka się, zwłaszcza w Ameryce, z ostrą reakcją tej części diaspory żydowskiej, która w każdej krytyce Izraela dostrzega przejaw antysemityzmu. Z tego powodu reprezentanci amerykańskiej lewicy, tacy jak Ocasio-Cortez, muszą się bardzo pilnować, aby nie narazić się na utratę poparcia.

Lewicowa kongresmenka, znana ze swojej nieustępliwości w takich sztandarowych dla jej środowiska kwestiach jak np. promocja ideologii gender czy walka ze zmianami klimatu, była więc – na wszelki wypadek – dość ostrożna w wypowiadaniu się na tematy związane z amerykańską polityką bliskowschodnią. Rok temu wzięła nawet udział w imprezie upamiętniającej byłego premiera Izraela Icchaka Rabina, co jednak po fali krytyki, jaka na nią spadła w lewicowych mediach, skończyło się złożeniem samokrytyki i zapewnieniem, że uczestnictwo w „wydarzeniu ku czci generała izraelskich sił zbrojnych" rzeczywiście nie było najszczęśliwszym pomysłem. Aby więc dowieść po tej wpadce swojej pryncypialności, Ocasio-Cortez zaczęła coraz odważniej krytykować Izrael. Ostatnią okazją ku temu była debata na temat amerykańskiej pomocy wojskowej dla Izraela, która od początku tego roku osiągnęła już wartość 3 mld dol. Dzięki m.in. jej wysiłkom udało się zablokować dostarczenie do Izraela broni o wartości 735 mln dol., a ostatnio Ocasio-Cortez sprzeciwiła się przekazaniu dodatkowego miliarda dolarów na rozbudowę izraelskiego systemu antyrakietowego Żelazna Kopuła. „Uważam, że zdecydowanie zbyt długo Stany Zjednoczone udzielały bezwarunkowej pomocy rządowi izraelskiemu, nie robiąc nic, aby zająć się uporczywym naruszaniem praw człowieka wobec narodu palestyńskiego" – uzasadniała swoje obiekcje. Gdy jednak przyszło do kluczowego głosowania, pryncypialność kongresmenki niespodziewanie się ulotniła i Ocasio-Cortez wstrzymała się od głosu, co de facto oznaczało wsparcie dla Izraela. Zdaniem izraelskich mediów kongresmenka zdała sobie sprawę, że głosowanie przeciwko mogłoby ją narazić na krytykę w kręgach proizraelskich i zagrozić tym samym jej senackim ambicjom.

Alexandria Ocasio-Cortez będzie więc chyba musiała pozostać przy swoich dotychczasowych bataliach. Walka o aborcję czy o prawa mniejszości seksualnych są zdecydowanie bezpieczniejsze dla kariery.

Konrad Kołodziejski

Fot. a katz/Shutterstock.com



Zwycięstwo obojętności

San Marino to jedno z najmniejszych państw w Europie, większe tylko od Watykanu i Monako oraz zamieszkane jedynie przez 33 tys. mieszkańców. W miniony weekend odbyło się tam referendum w sprawie legalizacji aborcji na życzenie do 12. tygodnia ciąży oraz z powodu „poważnego zagrożenia dla zdrowia fizycznego lub psychicznego kobiety" aż do 9. miesiąca. Frekwencja wyniosła zaledwie 41 proc., przy czym 77 proc. głosujących opowiedziało się za prawnym usankcjonowaniem haniebnego procederu, 23 proc. zaś było przeciw. Ważność plebiscytu nie wymaga kworum, więc nowe prawo wejdzie w życie w ciągu pół roku. Działacze pro-life przewidują, że San Marino może się stać centrum turystyki eugenicznej dla Włoszek, które będą chciały dokonać aborcji w zaawansowanej ciąży.

Na nic zdały się apele miejscowego abp. Andrei Turazziego, który przypominał, że obowiązkiem katolika jest bezwarunkowa obrona życia nienarodzonych. Chociaż katolicyzm deklaruje 98 proc. obywateli San Marino, to jednak większość zignorowała apel swego duszpasterza, nie idąc do urn lub oddając głos przeciwko życiu.

Komentując wynik referendum, włoski publicysta Tommaso Scandroglio, napisał, że „to, co wydarzyło się w San Marino, było rodzajem socjologicznego testu laboratoryjnego, mającego na celu zrozumienie trendów i nastrojów kulturowych obecnych w Italii". Jego zdaniem plebiscyt został wygrany przez wstrzymujących się od głosu, czyli 59 proc. mieszkańców. Zwyciężyła obojętność, ponieważ większości ten temat nie interesuje, nawet jeśli nazywają siebie katolikami. Gdyby – jak pisze Scandroglio – „zaproponowano referendum w sprawie podatków, frekwencja wyniosłaby 110 proc. (nawet psy poszłyby na głosowanie)". Inaczej jest z aborcją, która została „zmetabolizowana, doskonale przetrawiona" przez współczesną kulturę do tego stopnia, że „stała się jak powietrze, którym oddychamy: nikt nie zwraca już uwagi na to, że istnieje". I to jest chyba najbardziej przerażający wniosek płynący z wyników referendum.

Grzegorz Górny

Fot. shutterstock

eprasa.pl 1499ff6129



Fot. SariMe/Shutterstock.com

Poszło o tablice

Kosowo

Serbia i Kosowo, którego niepodległości Belgrad nie uznaje, stanęły na granicy konfliktu zbrojnego po tym, jak serbski prezydent Aleksandar Vučić zagroził wprowadzeniem wojska do Kosowa, o ile stacjonujące tam siły NATO nie zmuszą władz w Prisztinie do wznowienia ruchu przez dwa przejścia graniczne z Serbią. Został on zablokowany po tym, jak Prisztina przestała uznawać tablice rejestracyjne, którymi posługiwali się kosowscy Serbowie mieszkający na północy tego państwa. Posługiwali się oni bowiem tablicami wydanymi przez Belgrad, które teraz przy przekraczaniu granicy muszą zostać zmienione na tymczasowe, dwumiesięczne, kosowskie. Z kolei samochody z Serbii w ogóle przestały być wpuszczane na teren Kosowa.

Formalnym pretekstem do blokady ruchu granicznego było wygaśnięcie zawartego przez Belgrad i Prisztinę w 2016 r. porozumienia w tej sprawie, a wydawanie tymczasowych rejestracji przez Kosowo jest reakcją na podobną politykę Serbii. Jednak dla kosowskich Serbów krok ten stał się powodem do burzliwych demonstracji, podczas których protestujący wznosili barykady i zablokowali dwa przejścia graniczne. W odpowiedzi Prisztina wysłała oddziały komandosów, a Belgrad postawił swoje siły zbrojne w stan podwyższonej gotowości, serbskie lotnictwo wojskowe zaś zaczęło patrolować, bardziej intensywnie niźli zazwyczaj, rejony nadgraniczne.

Sytuacja skłoniła władze Unii Europejskiej i NATO do interwencji. Najpierw dyplomatycznej – z liderami obydwu państw rozmawiał zarówno Charles Michel, jak i Jens Stoltenberg, a także specjalny bałkański wysłannik USA Gabriel Escobar. Kolejnym posunięciem ze strony Zachodu było wysłanie na jedno z zablokowanych przez demonstrantów przejść granicznych sił NATO.

Do sprawy, wspierając Belgrad, włączyła się też Moskwa. W oświadczeniu rosyjskiego MSZ działania Kosowa określono mianem „prowokacji, która nosi znamiona czystki etnicznej i ma na celu wysiedlenie Serbów". Na tym się jednak nie skończyło. Rosyjski ambasador w Belgradzie w towarzystwie serbskiego ministra obrony przeprowadził przegląd jednostek wojskowych wysyłanych na granicę z Kosowem.

Prisztina jest zdania, że działania Belgradu mają na celu utworzenie na północy Kosowa autonomicznej republiki serbskiej na wzór podobnej w Bośni i Hercegowinie. Gdyby tego rodzaju scenariusz się powiódł, to Aleksandar Vučić uzyskałby wpływ na politykę wewnętrzną w sąsiednim kraju, który Belgrad uważa za zbuntowaną prowincję. Obie strony sporu trwają przy swoich stanowiskach, co nie zwiastuje łatwego rozładowania napięcia na serbsko-kosowskiej granicy.

Marek Budzisz



Ciała z waginami?

Ciała z waginami" – tak we wrześniowym numerze brytyjskiego magazynu medycznego „Lancet" określono kobiety. Wszystko w imię poprawności politycznej, mającej nie obrażać osób transseksualnych. Nie uchroniło to medycznego pisma przed krytyką. Przekonali się o tym jego redaktorzy atakowani za użycie na okładce ostatniego numeru takiego zdania: „Anatomia i fizjologia ciał z waginami były w historii lekceważone".

Artykuł „Okresy na widoku" odnosi się do wystawy w Muzeum Waginy w Londynie, na której „przełamywane jest tabu menstruacyjne". Nowomowa „Lancetu" (pisma wydawanego od 1823 r.) wpisuje się w kulturę woke, czego dowodem jest wybicie określenia „ciało z waginą" na okładkę, choć w samym artykule pada ono tylko raz.

W mediach społecznościowych pojawiły się, skądinąd słuszne, oskarżenia, że „Lancet" dehumanizuje kobiety i jest antynaukowy. Emerytowany profesor psychiatrii i genetyki z Uniwersytetu Londyńskiego David Curtis poprosił redakcję, aby wykreśliła go z listy subskrybentów i „nigdy więcej się z nim nie kontaktowała". Z kolei dr Katie Paddock z wydziału psychologii z Uniwersytetu w Manchesterze wypomniała „Lancetowi" hipokryzję, przypominając, że redakcja nie miała oporów, aby w tym samym miesiącu pisać o „10 mln mężczyzn", a nie o 10 mln „ciał z penisami". Oburzenie wyraziły też feministki. Grupa Women Make Glasgow uznała okładkę za przejaw seksizmu.

Ostatecznie redaktor naczelny Richard Horton przeprosił każdego, kto poczuł się urażony stwierdzeniem „ciała z waginami". Trudno jednak nie zauważyć, że cała sprawa nie jest wybrykiem i nadgorliwością „Lancetu". W ostatnich miesiącach kierownictwo szpitali należących do Brighton and Sussex University Hospitals uznało, że „tożsamość płciowa może być źródłem opresji i nierówności zdrowotnych", i wprowadziło nakaz zmiany języka w swoich placówkach. Personel szpitali dostał wytyczne, że powinien przestać używać słowa „kobieta" oraz „innych terminów opisujących macierzyństwo". Zamiast tego mają być używane „inkluzywne" określenia, takie jak pierwszy i drugi rodzic biologiczny. Nie powinno się też używać terminu „karmienie piersią". Zamiast tego przyjazny transseksualistom szpital ma używać określenia „karmienie klatką piersiową". „Chcemy, aby każdy, kto korzysta z naszych usług, widział siebie odzwierciedlonego w języku, którego używamy. Oznacza to nie tylko kobiety w ciąży, lecz także ciężarne osoby trans, niebinarne i agenderowe" – napisali przedstawiciele szpitali.

Łukasz Adamski

Fot. shutterstock

eprasa.pl 1499ff6129

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Mamusia sprząta czy odlatuje?



Jan Pietrzak

Prawdopodobnie bez udziału własnej woli pewna teściowa stała się znaczącą postacią polityczną. Niewykluczone, że będzie kandydować do Senatu, europarlamentu lub TSUE. Ma dużo większe szanse niż zięć. Podejmuje przemyślane decyzje personalne. Zięć to raptus i despota. Lubi się wściekać i dostawać szału oraz wpadać w furię, o czym z upodobaniem donoszą jego media. Ach, jaki dziarski, jaki groźny! Ona jest łagodniejsza dla poddanych. W ich wspólnocie po wielu perturbacjach nadszedł sezon teściowej. To się może sprawdzić. Nastąpi ocieplenie wizerunku organizacji, od wielu lat zarządzanej histerią i wrzaskiem.

Teściowe są wdzięcznym tematem setek żartów, co tworzy wokół nich otoczkę dobrotliwej wyrozumiałości. Z odległych czasów, kiedy posługiwano się miotłą, a nie odkurzaczem, przetrwało pytanie zięcia do teściowej sprzątającej obejście: „Mamusia sprząta czy odlatuje?". Wypisz, wymaluj: komentarz do obecnej sytuacji.

Nieco słabiej rysuje się los zruganych publicznie parteigenossen Budki, Siemoniaka, Neumanna. Choć według teściowej to „pozytywne chłopaki", to tym gorzej dla nich. A tak tęsknili za Donkiem, radośnie oddawali lary i penaty. Niestety, zgubił ich hulaszczy tryb życia. Zamiast ziewać w ławach sejmowych, wyskoczyli na imprezkę do Mazurka. A tam alkohole, pisowcy, hulanki, swawole... „jeszcze jeden Mazur dzisiaj, choć poranek świta!". W głowach im nie zaświtało, że poniechanie segregacji tyle będzie kosztować. Sprawa jest rozwojowa.

Nie wiemy, kto kogo pociągnie za konsekwencje i w którą stronę. Poza tym nie wiemy, czy teściowa jest jedyną doradczynią szefa. Czy jakiś krewny z linii dziadka nie czuwa w Berlinie nad dochodowym interesem? Tak się porobiło w „ponowoczesnym" świecie, że branża polityczna jest takim samym biznesem jak produkcja smartfonów, pierogów na wynos, węgla brunatnego... itp. Ten ostatni przykład mamy właśnie na tapecie. Co ma wspólnego kopalnia Turów w Polsce z wyborami w Czechach albo ze stanem jurysdykcji w Brukseli? Otóż ma! Wspólnym mianownikiem jest kasa, Misiu! Kto ją zarobi, a kto straci? Tego pilnuje teściowa oraz koledzy dziadka z Reichu.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Opowieść o dobrym człowieku



Dominik Zdort

Informacja o śmierci Piotra Bratkowskiego przybiła mnie. Blisko go nie znałem, ale w czasie tych kilku, może kilkunastu rozmów, które odbyliśmy przed laty, zrobił na mnie wrażenie człowieka nadzwyczaj łagodnego. No ale wtedy pewnie wszyscy byliśmy łagodniejsi i bardziej dla siebie wyrozumiali. Spotkaliśmy się z Piotrkiem w wyjątkowym czasie i wyjątkowym miejscu. Na początku lat dwutysięcznych „Newsweek Polska" był tygodnikiem prestiżowym, godnym swojego amerykańskiego tytułu i nie kierowali nim prostaccy politrucy. W piśmie Tomasza Wróblewskiego bez większych problemów – choć nie bez sporów – mogli współpracować Piotr Bratkowski i Wojciech Maziarski z Michałem Karnowskim i Piotrem Zarembą.

Nie chcę idealizować tamtych czasów, ale niezwykłe było to, że żurnaliści wywodzący się z „Gazety Wyborczej" i dziennikarze z korzeniami w zdrowym rozsądku mogli nie tylko spokojnie rozmawiać, lecz nawet się przyjaźnić, regularnie wychodząc wspólnie na pieczoną kaczkę i piwo do małej restauracyjki przy ul. Freta. Był w tej małej, mieszanej grupce Grześ Sommer. W tym tygodniu, w piątek 8 października, mija 10. rocznica jego śmierci. Umarł nagle, w redakcji „Newsweeka", na oczach kolegów.

Chciałbym go przypomnieć, bo to był życzliwy wszystkim człowiek, nienarzucający się światu, taki, jakich często nie doceniamy i zbyt łatwo o nich zapominamy. Zazwyczaj wycofany i skromny pracownik newsweekowej winnicy. Ale potrafił zakrzyknąć tak, że cała redakcja się zatrzęsła. Politycznie był z tej drugiej strony, ale nawet gdy oburzało go to, co mówiłem, polemikę zaczynał od przeciągniętego słowa „taaak...", co natychmiast powodowało, że rozmowa stawała się łatwiejsza.

Z Grzegorzem współpracowaliśmy blisko, bo byliśmy przez dłuższy czas obaj zastępcami Darka Wilczaka, szefa działu krajowego. Praca w piśmie Wróblewskiego idyllą nie była. Tomek był perfekcjonistą, jego zastępcy prowadzący wydania bali się go panicznie, bo potrafił w sobotę rano, tuż przed posłaniem tygodnika do druku, wyrzucić okładkowy tekst, jeśli uznał, że jest słaby.

Takie właśnie traumatyczne doświadczenia tworzą trwałą więź. Po tym, gdy odszedłem z „Newsweeka", z Sommerem widywałem się sporadycznie, ale zawsze przy takiej okazji długo i miło gadaliśmy. Wierzę, że i dziś, w czasach agresji i nienawiści, taka rozmowa byłaby możliwa. Dzięki wielkiej dobroci Grzesia.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 1499ff6129

BRONISŁAW WILDSTEIN

Sikorski, czyli kompromitacja



W III RP skompromitować się nie sposób. Skoro jest ona w dużym stopniu kontynuacją PRL, odpowiedzialny za zbrodnie szef komunistycznego aparatu terroru nominowany został w niej „człowiekiem honoru", sędziowie stanu wojennego tworzyli „niezależny aparat sprawiedliwości", a Urban stał się arbitrem dziennikarstwa, trudno się temu dziwić.

W poprzednim felietonie pokazywałem, jak zhakowane i propagowane najprawdopodobniej przez rosyjski wywiad, nic nieznaczące maile służą wyrobnikom Onetu do prób niszczenia przeciwników politycznych. Nie towarzyszą temu rozważania na temat genezy i celu owych wycieków, które tak intensywnie prześwietlane były w przypadku nagrań w Sowie & Przyjaciołach. Autentycznie kompromitujące zachowania liderów PO i ich sojuszników sprowadzane były do niecenzuralnego języka. Nie przypominam sobie, aby tropiciele ewentualnych nieprawości, jakie mogą wynikać z maili min. Dworczyka, nachylili się nad spotkaniem ówczesnego szefa MSW Bartłomieja Sienkiewicza i prezesa NBP Marka Belki. Pierwszy zaproponował temu drugiemu, aby przed wyborami dokonać finansowych manipulacji, powodując tym chwilową gospodarczą hossę, która umożliwiłaby wyborcze zwycięstwo PO. Drugi się zgodził. Do sprawy nie doszło z powodu jej ujawnienia, ale pokazuje ona, jak ważny członek rządu dogaduje się z szefem instytucji, która ma stać na straży polskiego pieniądza, aby postąpić na szkodę polskiej gospodarki, złamać konstytucję i elementarne normy polityczne wyłącznie w imię partyjnego interesu. Dialog ten na zawsze powinien wykluczyć z życia publicznego jego uczestników, ale Belka, dawny działacz PZPR, trafia do PE z list PO i z wyżyn swojego stanowiska uprawia polityczną moralistykę, m.in. opluwa Pawła Kukiza. Sienkiewicz, którego pamiętamy z polowania na niechętnych władzy kibiców i prowokacji w trakcie Marszu Niepodległości (obciążyć miały ono konto prawicy, jedną z nich było spalenie budki strażniczej pod ambasadą rosyjską, co urosło do rangi międzynarodowego incydentu), jest posłem parlamentu i znowu awansuje na jedną z ważniejszych postaci PO.

„Postulowałem, aby obejmując mandat posła do parlamentu europejskiego, była – tak jak w wielu parlamentach narodowych – przysięga na lojalność wobec instytucji, w której się pracuje. Bezczelne kłamstwa Patryka Jakiego o bilansie członkostwa PL kwalifikują się do wygaszenia mandatu" – oto z kolei jedna z ostatnich deklaracji Radosława Sikorskiego.

Zdaniem byłego szefa MSZ o funkcjonowaniu UE wolno pisać wyłącznie dobrze. Jedna z fundamentalnych przypadłości tej instytucji, powodująca, że finansowane przez nią ośrodki zajmują się propagandą zamiast analizą, w efekcie czego nie wiemy, w jakim stanie się ona znajduje i jakie skutki przynoszą jej kolejne przedsięwzięcia, ma zostać oficjalnie usankcjonowana, a próba dochodzenia prawdy ma podlegać karze. Podejście takie charakterystyczne było dla komunizmu, a jego efekty są dobrze znane.

Analogia do ślubowania wierności narodowemu państwu i parlamentowi, jako jego demokratycznej reprezentacji, jest absurdalna. Czy słyszał ktoś o pozbawieniu posła mandatu nawet za najbardziej zjadliwą i niesprawiedliwą krytykę stanu państwa? Gdyby tak się działo, Sikorski dawno już nie powinien zasiadać w Sejmie. W tym kontekście mniej ważny jest nonsens zestawiania PE z narodowymi przedstawicielstwami.

Sikorski jest wcieleniem kompromitacji. Usunięty z ministerialnego stanowiska w rządzie PiS przeskoczył do jego konkurentów i z wyjątkową pasją atakować zaczął swoich dawnych kolegów. To on wzywał do „dorzynania watahy". Wcześniej odwołujący się do narodowych i patriotycznych tradycji, wżeniony w zachodnie salony, tym gwałtowniej zaprzeczać zaczął dawnym ideałom. Obok Donalda Tuska był głównym rzecznikiem „płynięcia w głównym nurcie", czyli podporządkowania polityki polskiej interesom europejskich potęg. Przypieczętował to hołdem berlińskim, czyli wezwaniem skierowanym do Niemiec w ich stolicy, aby jeszcze bardziej stanowczo wzięli odpowiedzialność za Europę, czyli rządzili nią bez oglądania się na pozory. Oświadczenie takie ze strony szefa MSZ oznacza faktycznie zrzeczenie się naszej niepodległości, a niekonsultowane z nikim (w każdym razie oficjalnie) powinno skutkować natychmiastowym odwołaniem go i postawieniem przed Trybunał Stanu. Ale Sikorskiemu włos z głowy za to nie spadł i dopiero ujawnienie jego nagrań w aferze podsłuchowej doprowadziło do usunięcia go z rządu, nb. na stanowisko marszałka Sejmu.

No, ale przecież Sikorski odwołuje się do prawdy? – mógłby ktoś zapytać. Cenzura zawsze odwołuje się do prawdy i dobra, podobnie jak Tusk, który piętnując członków PO za spotkanie z politycznymi konkurentami na urodzinowym przyjęciu, odwołuje się do miłości.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 1499ff6129



Walizka dr hab. Anny Wandtke

skrzypaczki, kompozytorki, wykładowczyni Akademii Muzycznej w Gdańsku

Odnoszę wrażenie, że całe moje życie to wyjątkowa podróż, zarówno w sferze artystycznej, jak i osobistej. A dla mnie podróż to odkrywanie drugiego człowieka, relacji, kultur, odmiennego punktu widzenia, nowych tradycji i historii. Właśnie na tych aspektach życia wciąż koncentruje się moja uwaga. Nie postrzegając podróży w kontekście przenośni, w roku pokonuję setki kilometrów, będąc w trasie koncertowej czy choćby regularnie jeżdżąc z Warszawy, miejsca, gdzie obecnie mieszkam, do Akademii Muzycznej w Gdańsku, w której jestem wykładowcą w klasie skrzypiec. Trójmiasto jest inspirujące, wyjątkowe, to mój dom. Czasoprzestrzeń w pociągu wypełnia mi twórcza praca. W trasie piszę kolejne rozdziały mojej książki „GPS artystycznej duszy".



SKRZYPCE

To głos moich emocji i mojej duszy. Są we mnie i są częścią mnie. Swoim brzmieniem potrafią lepiej wyrazić, co myślę, niż ja sama wyrażam słowem. Gram na skrzypcach od szóstego roku życia. Mój instrument ma ponad 150 lat, widział i słyszał więcej niż ja. Znakomicie się rozumiemy.



RÓŻANIEC

Nad całą podróżą, nad wyborem ścieżek, którymi podążam, a przede wszystkim nad powołaniem, które w sobie odnajduję, czuwa mój najukochańszy Stwórca. I nie ma dnia, abym dokonała czegokolwiek bez konsultacji z Nim.

PAMIĄTKI

Podążam drogą, która każdego dnia mnie zaskakuje. Ta droga jest nieodgadniona, ale przez to fascynująca. Wciąż spotykam wyjątkowe dusze, wybitnych ludzi, artystów. Podczas koncertów z UBS Verbier Orchestrą, z którą współpracowałam przez osiem lat, miałam szczęście zwiedzić cały świat. Ale najważniejszym „światem" była dla mnie współpraca z mistrzami: Vadimem Repinem, Maximem Vengerovem, Joshuą Bellem, Mischą Maiskym, Robym Lakatosem i wieloma innymi. Z wieloma artystami z tego wybitnego grona kontynuuję współpracę do dziś.



eprasa.pl 1499ff6129



OBRAZ

Dzieło „Humana Ars Musica", namalowane przez Dorotę Truszczyńską, wyjątkową artystkę i moją koleżankę, której już wśród nas nie ma. Symbol jedności człowieczeństwa, sztuki i muzyki. Jego moc codziennie przypomina mi, jak wielką wartością są życie, drugi człowiek i twórczość artystyczna.



KSIĄŻKA

Moją najważniejszą misją jest budzenie serc i dusz ludzi – mojej publiczności, absolwentów, studentów, uczniów, licealistów i tych spotkanych na ulicy, którzy z różnych powodów na chwilę się zatrzymali i zapomnieli, kim są, jak bardzo są wyjątkowi i jak wspaniałe jest to, że istnieją dla siebie i innych. Oni najczęściej nie wierzą w swoją sprawczość i kreatywność. Pobudzanie w nich pozytywnej energii i wiary, że mogą dużo zdziałać, jest moim priorytetem twórczym. Gram, odkrywając swoje serce dla serc słuchaczy. Po co? Po to by znaleźć wspólną aurę poznania, odkrywania i zakochania się w muzyce.



Już niedługo w księgarniach pojawi się moja książka pt. „GPS artystycznej duszy". Tam właśnie wraz z niesamowitymi postaciami świata sztuki, biznesu, medycyny podzielę się refleksjami na temat marzeń i ich planowania, wiary w siebie, w twórczą siłę i kreatywność oraz mojego sposobu łączenia bycia mamą trójki dzieci z aktywnym życiem artystycznym.

ALBUM „KOŁYSANKA DLA ONDYNY"



Jakiś czas temu miałam zaszczyt napisać kołysankę „Mamo" dla wyjątkowej pary: Magdaleny Hueckel (scenografki, fotografa, artystki wizualnej) i Tomasza Śliwińskiego (reżysera). To superrodzice Leona – bohatera całego projektu – oraz wybitni artyści, którzy postanowili pomóc dzieciom cierpiącym na mało znaną chorobę – klątwę Ondyny. Moją kompozycję wykonali Anna Karwan oraz Michał Salamon. Płyta „Kołysanki dla Ondyny" ma na celu zebranie środków na wynalezienie leku na chorobę zwaną klątwą Ondyny.

TRAMPKI

Trampki mam zawsze na lub przy sobie. Od kilku już tych „dojrzalszych" lat ponad oczekiwania innych bardziej cenię własną przestrzeń i wygodę.



NUTY



To mój nowy projekt muzyczny – „Cztery pory roku" Antonio Vivaldiego w nowej, improwizowanej odsłonie – który został niedawno zarejestrowany przez Tadeusza Mieczkowskiego w Studiu Polskiego Radia. Album zostanie wydany na początku 2022 r. Korekty w nutach są pamiątką sesyjną. W nagraniu towarzyszą mi niezastąpieni: Sebastian Wypych – kontrabas, Piotr Kopietz – akordeon, Jacek Małachowski – akordeon. Na płycie poza znanymi Państwu tematami „Czterech pór roku" będzie można usłyszeć improwizacje, minimal, folk i muzykę world.

SZAL

Wyjątkowe dodatki, które przypominają mi o moim rodzinnym mieście, a dzięki którym jest mi ciepło i swojsko, to moje ukochane gadżety. Taki jest właśnie ten szal, który został wykonany przez artystkę z mojego rodzinnego Gdańska.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (2x)

eprasa.pl 1499ff6129

OGNIEM NA WPROST

Dziennik zakrapiany wódką



O czym można porozmawiać z byłym prezydentem, jeśli jest nim Bronisław Komorowski, pokazał Janusz Palikot na swoim kanale YouTube. To wręcz modelowy przykład dialogu, jakże miły dla naszej eksgłowy państwa. Przewodnim tematem były: wódka, śledzie i „russkij czełowiek". Okazało się, że kiedy z okazji uroczystych obchodów 65. rocznicy zakończenia II wojny światowej Komorowski pojechał na Kreml miesiąc po katastrofie smoleńskiej, spotkał tam ówczesnego prezydenta Miedwiediewa. Ponieważ z Komorowskiego chłop prostolinijny i może napić się z każdym: od głowy państwa poczynając, na sołtysie z Ruskiej Budy (ma tam daczę) kończąc, to i z wrodzonej jowialności od razu zaproponował Miedwiediewowi kieliszeczek. „Polak i Rosjanin wódkę jak najbardziej mogą wypić, także na toast" – motywował tymi słowami Komorowski Miedwiediewa, by wspólnie „obalić połóweczkę". A tu Miedwiediew: „Niet, niet, my uże wodki nie pijom", co w tłumaczeniu z języka dyplomatycznego na polski może oznaczać: „Z frajerami nie piję". Niezrażony konfuzją nasz Bronek rozdał Ruskim polskie odznaczenia państwowe i zaprosił Miedwiediewa do Warszawy. „Idzie Boże Narodzenie... w Polsce pije się wódkę i je śledzia" – nie odpuszczał, tłumacząc jak prezydent prezydentowi cel wizyty. Miedwiediew podrapał się w głowę, chyba przemyślał postawę polskiej głowy państwa w sprawie smoleńskiej katastrofy i zaproszenie przyjął. No i w końcu „była wódka, był śledź, było bardzo przyjemnie" – jak wspominał z łezką w oku Komorowski w rozmowie z Palikotem. O bigosie i żonach podczas pamiętnego wyjazdu do Białego Domu obaj dżentelmeni już nie porozmawiali, bo co za dużo, to niezdrowo. Jak z wódką.

Dantejskie sceny na granicy USA z Meksykiem. Kilkuset z 12 tys. czarnych imigrantów z Haiti i Kuby, koczujących od strony Meksyku, ruszyło tłumem, by przekroczyć bród na znanej z westernów rzece Rio Grande. Naprzeciwko stanęli strażnicy Teksasu (US Rangers) na koniach. Nieliczni jeźdźcy w porównaniu z chmarą nielegalnych przybyszy dosłownie dwoili się i troili, usiłując powstrzymać nielegalnie szturmujących graniczną rzekę imigrantów. Lokalna ludność biła brawa dla służb granicznych. „Opuścili swoje rodziny, ryzykują życie, przyjechali tu, by nas chronić. Osobiście jestem im bardzo wdzięczny. To nie są źli ludzie, oni są cudowni" –powiedział o rangersach stacji Fox News jeden z mieszkańców. Ale USA obiegło zdjęcie, jak strażnik już po amerykańskiej stronie uderza końcówką długich kowbojskich wodzy szarżującego pieszo nielegalnego imigranta. Ze strony nawiedzonych przedstawicieli lewicy i zwolenników nielegalnej imigracji na prezydenta Joego Bidena spadły gromy. On sam nazwał nagrania oburzającymi. No i wyciągnięto wnioski w Białym Domu. Według lewicowej logiki uznano, że to konie są winne i nie będą już wykorzystywane przez służby graniczne w Del Rio. Kowal zawinił, a Cygana powiesili.

Widmo mięsa krąży po Europie. Nieustanne wizje korelacji jedzenia mięsa z końcem naszej planety dręczą europosłankę Sylwię Spurek. Dając upust swoim frustracjom, niczym Marcin Luter opublikowała swoje tezy na Twitterze: „1. Do 2023 r.: zakaz wykorzystywania zwierząt w cyrkach, delfinariach plus zakaz polowań, w tym wędkarstwa; 2. Do 2025 r.: zakaz otwierania nowych hodowli; 3. Do 2040 r.: 100-proc. zakaz hodowli zwierząt; Teraz: ochrona zwierząt w konstytucji". Jak do tego dodamy postulaty innych aktywistów z tego samego miotu, którzy twierdzą, że należy ograniczyć znacznie liczbę ludności na świecie, bo istnienie człowieka zagraża istnieniu planety, to będziemy mieli pełny obraz tego szaleństwa. Pytanie do działaczy: po co mi planeta, gdy na niej nie będzie ludzi?

Zakończono już z wynikiem pozytywnym badania czołgu Leopard 2PL M1. Dzięki temu jeszcze w tym roku pierwszy egzemplarz zostanie dostarczony dla Wojska Polskiego" – stwierdziła rozmowie z Defence24 Monika Kruczek, dyrektor techniczny Zakładów Mechanicznych Bumar-Łabędy. Leopard 2PL M1 jest w pełni polską modyfikacją czołgu 2 A4. By doprowadzić stalowe bestie do nowego standardu, wprowadzono sześć update'ów. W tym m.in.: system programowania w zamku armaty oraz system kierowania ogniem i montaż elektronicznego spustu armaty. Zamontowano nowy komputer pokładowy z nowymi tabelami balistycznym. Równolegle realizowane są dostawy czołgów podstawowych T-72, zmodyfikowanych do standardu T-72M1R. Jak dodamy do tego zakup 250 abramsów, to będziemy się mogli pochwalić półsetką nowoczesnych wozów bojowych. Do wyprawy na Moskwę jeszcze daleka droga, ale z obroną kraju oczko wyżej.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 1499ff6129

Precedensowy wyrok

Sąd Okręgowy w Kielcach we wrześniu 2021 r. uwzględnił w całości żądanie powoda, który domagał się od jednego z banków odszkodowania za spowodowanie, że klient zainwestował swoje oszczędności w jeden z funduszy. Zdaniem sądu w związku z dokonaną transakcją powód poniósł rzeczywistą szkodę. Uprawomocnienie się wspomnianego orzeczenia stanie się podstawą do wypłacenia przez bank poszkodowanemu wszystkich utraconych przez niego środków finansowych.



Marta Kaczyńska-Zielińska

Sprawa, w której zapadł precedensowy wyrok, dotyczy małżeństwa, któremu w 2016 r. doradca bankowy zaproponował zainwestowanie środków pozostających na lokacie w jeden z produktów, który miał być równie bezpieczny jak lokata, ale zapewniać większe dochody. Klienci nie godzili się na ryzyko utraty nawet części zainwestowanych środków, ale nie zostali poinformowani o tym, że przystępując do transakcji, narażają się nawet na pozbawienie wszystkich oszczędności. Za pośrednictwem oddziału banku małżeństwo dokonało zapisu na certyfikaty inwestycyjne jednego z funduszy i przelało środki. Sytuacja na rynku certyfikatów zaczęła się niekorzystnie zmieniać, ale bank nie poinformował o tym w porę klienta. Kiedy małżeństwo się zorientowało, że oszczędności są narażone na utratę, na skuteczne żądanie wykupu środków było już za późno. Poszkodowani złożyli pozew o odszkodowanie, argumentując jego zasadność nienależytym wykonaniem przez bank umowy o świadczenie usług doradztwa finansowego, które to doprowadziło do powstania szkody w majątku klienta, a także zarzucając bankowi dopuszczanie się nieuczciwych praktyk rynkowych polegających na dystrybucji ryzykownych produktów inwestycyjnych.

Sąd uznał twierdzenia powoda za słuszne. Potwierdził, że w tej sprawie doszło do zawarcia umowy o świadczenie usług doradztwa finansowego w sposób dorozumiany i w związku z tym należało stwierdzić naruszenie przepisów ustawy o obrocie instrumentami finansowymi oraz innych przepisów, które regulują sposób procedowania w przypadku oferowania wymienionych produktów inwestycyjnych. W związku z powyższym dokonany zapis na certyfikaty należało uznać za nieważny i sprzeczny z zasadami współżycia społecznego, a utracone środki, które zostały przelane tytułem nabycia certyfikatów, stanowią rzeczywistą i wymierną szkodę, którą bank powinien naprawić.

Opisane orzeczenie sądu pierwszej instancji może się stać przyczynkiem do występowania z roszczeniami odszkodowawczymi przez klientów nieusatysfakcjonowanych bardziej lub mniej samodzielnie podjętymi decyzjami inwestycyjnymi. Orzeczenie to może być także odnoszone do problemu zaufania klientów do instytucji finansowych, które jako podmioty zaufania publicznego postrzegane są jako kierujące się obiektywizmem, należytą starannością oraz rzetelnością w zakresie przekazu dotyczącego znajdujących się w ich ofercie usług lub produktów finansowych. Klient detaliczny zazwyczaj nie posiada specjalistycznej wiedzy ani kompetencji, które pozwoliłyby mu na pełne dokonanie oceny skomplikowanych instrumentów finansowych. Drobni inwestorzy przyjmują, że przedstawiane im możliwości inwestycyjne następują w wyniku działań w ich najlepiej pojętym interesie.

Doradztwo inwestycyjne jest działalnością licencjonowaną, nadzorowaną i zastrzeżoną dla określonych kategorii podmiotów. W umowie o doradztwo inwestycyjne firma inwestycyjna zobowiązuje się do przygotowania w oparciu o potrzeby i sytuację klienta i przekazywania mu pisemnej lub ustnej rekomendacji dotyczącej sposobu postępowania z inwestowanymi środkami. Za rekomendację uznane będzie nie tylko sformułowanie jednoznaczne, wyraźnie wskazujące, jak należy postąpić, lecz również wskazanie sugerowanego sposobu zachowania w sposób pośredni, dorozumiany.

Firmy proponujące usługi inwestycyjne klientom mają obowiązek zaproponować produkt adekwatny do potrzeb i oczekiwań klienta, zgodny z jego wiedzą i doświadczeniami, co z pewnością ogranicza ryzyko narażenia inwestorów na nieoczekiwane straty, tak jak to się zdarzyło w sprawie zakończonej wspomnianym precedensowym orzeczeniem.

REKLAMA



82/0921/F

eprasa.pl 1499ff6129

RZECZY POSPOLITE

Niepokorni, Niezłomni, Wolni



Tomasz ***Łysiak***

To już XIII edycja Festiwalu „Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci". Wpisał się on na stałe w kalendarz kulturowo-historyczny w wolnej Polsce. Arek Gołębiewski dokonał i dokonuje rzeczy niezwykłej i tylko on jest zdolny do żywienia całego przedsięwzięcia niespożytą energią i charyzmą. Z niewielkiej i w jakiejś mierze „podziemnej imprezy", z czasów gdy trudno było się przebijać z opowieścią o Żołnierzach Wyklętych, ulepił wydarzenie, które sięga znacznie dalej niż przegląd form dokumentalnych o najnowszej historii Polski. Festiwal NNW swoją formułą wyrósł na wydarzenie głębsze, szersze, kulturowotwórcze. Piękne i niezwykłe.

Po pierwsze, ma rangę międzynarodową, i to dającą perspektywę na kino historyczne (i fabularne, i dokumentalne), światowe (bo już nie tylko filmy z Węgier czy Czech są na festiwalu, lecz np. z Australii, Gruzji, Japonii etc.). Po drugie, skupia środowisko artystyczne i intelektualne szersze niż od dawna nam znany „zaklęty rewir" prawicowy i konserwatywny – ten kierunek rozwoju Festiwalu NNW także jest głęboko sensowny, gdyż kultura, szacunek do bohaterów i opowiadanie o historii Polski powinny nas łączyć, tworzyć wspólnotę (nawet jeśli w konkretnych sprawach toczymy spory).

Powstała Akademia Filmowa, która wspiera scenarzystów w projektach, są formy pitchingu (pomocy dla twórców w filmowych zawiłościach produkcyjnych) – w tej mierze więc festiwal nie ogranicza się do przeglądów i konkursów, ale daje konkretny impuls do tego, by powstawały nowe, dobre filmy historyczne – dokumentalne i fabularne.

Jednocześnie w tej historycznej materii, pośród krótkich metraży, fabuł, reportaży radiowych, wystaw, spektakli, seansów, spotkań weteranów z młodzieżą przewija się nić, która łączy wszystko. Złota nić, piękny haft spajający wszystkie te formy jednym słowem – „Wolność".

Wolni, dążący do wolności, pragnący wolności – bohaterowie filmów. Wolni – twórcy. Wolność – jako pragnienie, cel, wartość. Myślę sobie, że nadszedł czas, w którym formuła „Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci" zmienia się na naszych oczach w jakość zupełnie nową. Ci Niezłomni, niegdyś „wyklęci", wewnętrznie wolności nigdy nie utracili (zabijani, katowani, mordowani, prześladowani, byli wewnętrznie wolni). W dzisiejszej Polsce zdjęliśmy z nich ciężar „wyklęcia". A zatem... Niepokorni, Niezłomni, Wolni. Nareszcie.

Pierwsza symfoniczna trasa

Z Mariuszem Dziubkiem, dyrygentem i dyrektorem Narodowej Orkiestry Dętej, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

W nowy sezon wchodzicie z rozmachem.

Mariusz Dziubek: Czeka nas niezwykle intensywny i innowacyjny czas. Zgodnie ze swoją misją Narodowa Orkiestra Dęta zaprezentuje w ośmiu polskich miastach pierwszą symfoniczną trasę.

Co się na niej wydarzy?

Usłyszymy zarówno transkrypcje największych dzieł muzyki poważnej na skład i instrumentarium NOD, jak i nieznane dotąd dzieła, dedykowane orkiestrze dętej, a w Polsce niewykonywane. M.in. maestro Krzysztofa Pendereckiego „Uwerturę pittsburską", która została napisana w 1967 r. dla American Symphony Orchestra, a w Polsce wykonano ją tylko jeden raz, podczas Warszawskiej Jesieni. Będzie to dla nas bardzo szczególny moment. Oprócz tego usłyszymy m.in. „Bolero" Ravela, „Błękitną rapsodię" Gershwina, jedną z „Planet" Gustawa Holsta – „Mars" – czy uwerturę do „Zemsty nietoperza" Johanna Straussa syna, którą zna cały świat, ale któż zna transkrypcję w brzmieniu i barwie na orkiestrę dętą.



Które miasta i kiedy odwiedzicie?

4 października zagramy w mieście, które jest siedzibą Narodowej Orkiestry Dętej, czyli Lubinie. W kolejne dni będziemy w Filharmoniach Łódzkiej (5 października) i Bałtyckiej w Gdańsku (6 października), w Narodowym Forum Muzyki we Wrocławiu (9 października) i 29 listopada w Filharmonii Szczecińskiej. W styczniu mamy zaplanowane dwa koncerty – w filharmoniach w Lublinie i Rzeszowie, a finał trasy w Filharmonii Krakowskiej (27 lutego).

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 1499ff



320

tyle prób nielegalnego przekroczenia granicy polsko-białoruskiej odnotowuje polska straż graniczna każdego dnia.



230

tyle ton złota ma w swoich zasobach Narodowy Bank Polski.

535 mld zł

według wyliczeń prof. Zbigniewa Krysiaka tyle pieniędzy wytransferowano z Polski w wyniku obecności w UE.

Fot. Shutterstock, Andrzej Wiktor

Jestem praktykującym chrześcijaninem, modlę się, nie wstydzę się tego w żaden sposób, a rodzina jest dla mnie bezcenna. Wspieram rodziny, mam poglądy pro-life i opowiadam się za obroną życia.

Andrzej Duda w wywiadzie dla amerykańskiej telewizji Fox News

Idzie Boże Narodzenie, w Polsce się wtedy pije wódkę i je śledzia.

Bronisław Komorowski pochwalił się, jak zapraszał prezydenta Rosji do Belwederu



Nie godzę się na to, żeby obsadzać żołnierzy polskiej straży granicznej w rolach strażników muru berlińskiego z byłego NRD. Nie godzę się na to, by okoliczna ludność grała rolę donosicieli i żeby zanim podadzą chleb głodnemu, dzwonili na policję. Agnieszka Holland

zebrał Jakub Maciejewski

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

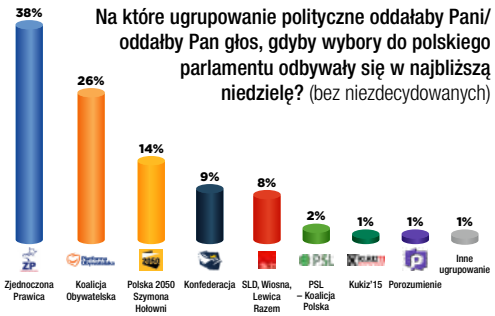
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR (x2), WOJTEK RADWANSKI/AFP/EAST NEWS (x2), MACIEJ KOSYCARZ/KFP

pracownia **Social Changes** dla wPolityce.pl

nasz sondaż

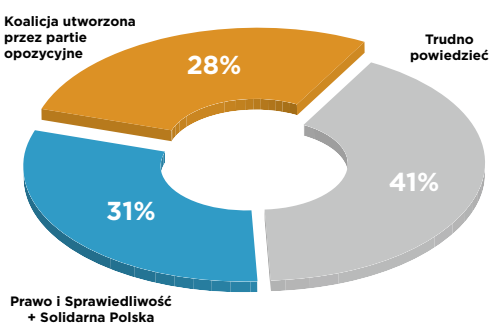
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



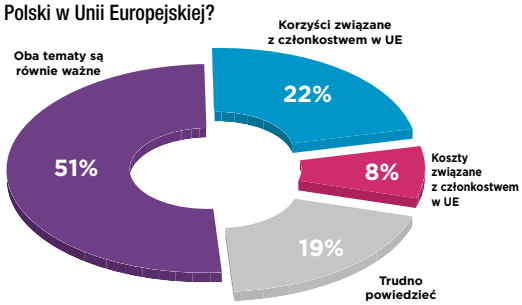
Proszę sobie wyobrazić, że wspólnie w wyborach startują Polska 2050 Szymona Hołowni, PSL i Porozumienie Jarosława Gowina. Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan wtedy głos w wyborach parlamentarnych? (bez niezdecydowanych)



Kto według Pani/Pana będzie rządził w Polsce po najbliższych wyborach parlamentarnych, które odbędą się w 2023 r.?



Co według Pani/Pana powinno być obecnie ważniejszym tematem debaty publicznej w Polsce dotyczącym członkostwa Polski w Unii Europejskiej?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1003.

Zakres czasowy badania 24–27 września 2021 r.

eprasa.pl 1499ff6129

Łukaszenka i Putin przegrają tę wojnę

Putin bada, na ile twarde jest nasze państwo. Im więcej słabości teraz okażemy, tym bardziej brutalna będzie ingerencja w nasze sprawy. Rosja zawsze bazowała na słabości Zachodu. Musimy pokazać naszą determinację. I pokazujemy

Jacek Karnowski i Marek Pyza rozmawiają z Mariuszem Kamińskim, ministrem koordynatorem służb specjalnych

To już jest wojna czy jeszcze nie?

Mariusz Kamiński: Jestem przeciwnikiem straszenia naszych obywateli wojną i nie lubię nadużywania mocnych słów, ale w sensie faktycznym mamy do czynienia z elementami bardzo poważnego konfliktu o charakterze międzynarodowym. Nie powinniśmy zapominać, że naszym przeciwnikiem nie jest tylko Łukaszenka, lecz przede wszystkim jego obecny patron polityczny, czyli Putin.

To rosyjska agresja?

Nie mam wątpliwości. Tak duże ruchy migracyjne nie mogą być wywoływane bez aprobaty Putina. Obaj ci despoci doskonale wiedzą, jak spożytkować kryzys migracyjny, który sami wywołali. Widzą, co się działo w ostatnich latach w Europie.

To nowa, potężna broń...

...która może potwornie zdestabilizować sytuację polityczną i społeczną. Na Wschodzie widzą, jakie koszty ponoszą poszczególne rządy, jak to polaryzuje scenę polityczną. Popatrzmy na inne państwa. Prezydent Turcji co jakiś czas podejmuje decyzję, by rozpuścić wśród migrantów informację, że granica z Grecją jest otwarta. Cynicznie tym gra. Być może już zapomnieliśmy, co się działo kilka miesięcy temu w północnoafrykańskiej eksklawie Hiszpanii, Ceucie. Gdy pojawił się spór pomiędzy rządami w Rabacie i Madrycie – chodziło o wspieranie przez lewicowy gabinet hiszpański Frontu Polisario z Sahary Zachodniej – nagle obywatele Maroka się dowiedzieli, że nie ma już granicy marokańsko-hiszpańskiej. Usłyszeli, że mogą szturmować Ceutę i tym samym znaleźć się od razu na terenie Unii Europejskiej. Ruszyły tysiące. Po tym, jak rządy obu państw się dogadały, te tłumy z dnia na dzień zniknęły. Widzimy więc, że są to sztuczne ruchy, z premedytacją wywoływane w celach politycznych.

Łukaszenka też chce zagrać w tę grę?

I skutki tego odczuwamy w Polsce. Być może Łukaszenka liczy, że w ten sposób zmusi Unię Europejską do zniesienia sankcji, uznania go za legalnego prezydenta. Ale ważniejszy tu jest Putin, który chciałby panować nad kurkiem z migrantami, dowolnie go odkręcać i przykręcać. A przy tym może chować się za białoruskim dyktatorem i udawać, że nie ma z tym nic wspólnego.

Czyli to Putin uderzył hybrydowo w Polskę?

Tak, a potencjał tego ataku jest ogromny. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy ponad 10 tys. osób próbowało nielegalnie przekroczyć naszą granicę. Bardzo łatwo da się zorganizować wielokrotnie większą liczbę migrantów.

Były ambasador Białorusi w Polsce Paweł Łatuszka mówi, że należy się spodziewać szturmu tysięcy imigrantów, „z użyciem broni palnej i prowokowaniem konfliktu wojskowego na linii granicy". Można sobie wyobrazić potężne jednoczesne ataki np. w stu punktach na granicy.

Analizujemy różne sygnały, które do nas docierają. Bardzo starannie monitorujemy także działania władz białoruskich. Wiemy, że w ostatnich dniach zapadły decyzje o umowach z kolejnymi krajami w sprawie ruchu bezwizowego. Wśród tych państw jest Pakistan, gdzie mamy rzeszę uchodźców z Afganistanu, ale też RPA, skąd do Europy łatwo mogą się dostać migranci z innych państw Afryki, czy Jordania, w której mamy ogromny rezerwuar uchodźców syryjskich. Białoruskie linie lotnicze nawiązują kolejne połączenia. Ruszyły samoloty z Bejrutu, z Damaszku, zwiększyła się liczba przylotów z Turcji.

Z samej Basry, czyli drugiego największego miasta Iraku, do Mińska lata pięć samolotów dziennie. Na ich pokładach nie ma przecież turystów.

eprasa.pl 1499ff6129



Znamy filmy z lotniska w białoruskiej stolicy, gdzie koczują setki migrantów w oczekiwaniu na swoją kolej do dalszej podróży. Robią się korki. Dlatego Łukaszenka zezwolił, by od 17 października migranci byli odprawiani również w Grodnie czy Brześciu – tuż obok naszej granicy.

Bez wątpienia. Ale nasza twarda i konsekwentna postawa sprawia, że Łukaszenka zaczyna mieć problemy. On był przekonany, że my ze względu na polityczną poprawność przyjmiemy wszystkich i zalegalizujemy. Jeśli chodzi np. o obywateli Iraku, nie ma żadnych podstaw, by nadawać im status uchodźców, bo jak na Bliski Wschód, sytuacja jest tam od kilku lat w miarę stabilna. A właśnie Irakijczycy stanowią ok. 70 proc. migrantów, którzy do nas trafiają szlakiem z Białorusi. Od maja do sierpnia specjalnymi lotami z Bagdadu do Mińska przemieściło się ok. 10 tys. ludzi.

Ale przecież mamy do czynienia nie tylko ze świeżo przybyłymi do Europy Wschodniej migrantami, lecz także z ludźmi od lat funkcjonującymi w Rosji.

Mieli tam legalny pobyt, pracę, a teraz wcielili się w rolę „uchodźców" w Usnarzu.

Ta swoista wioska nagle stała się miejscem jakiejś centralnej bitwy w tej hybrydowej wojnie.

Zawdzięczamy to części naszej opozycji oraz mediów. W Usnarzu w pierwszej połowie sierpnia pojawiła się grupa ok. 90 migrantów, którzy zostali zatrzymani przez naszą straż graniczną. Zostało to mocno nagłośnione przez media, pojawili się posłowie, jak pan Sterczewski ze swoimi happeningami sprinterskimi, panowie Joński i Szczerba udający, że pomagają potrzebującym, niosąc im zimną pizzę itd. Druga strona natychmiast podjęła dalsze działania. Gdyby nie takie zachowania, temat Usnarza szybko zniknąłby z mediów.

I zaczęto powtarzać, że mamy w Usnarzu ok. 30 Afgańczyków, którym polski rząd nie chce pomóc.

Między 22 a 24 września na Białorusi byli w tej sprawie przedstawiciele

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 1499ff6129

UNHCR, czyli agendy ONZ ds. uchodźców – delegaci z Genewy i Budapesztu. Po spotkaniu z władzami białoruskimi rozmawiali z naszymi dyplomatami w Mińsku i przedstawili swoje ustalenia: tych 30 Afgańczyków pochodzi z Rosji, co najmniej kilka lat mieszkali na Uralu, legalnie pracowali itd. Czyli z 90-osobowej, międzynarodowej grupy wyselekcjonowano 30 osób. Bardzo precyzyjnie zostawiając w niej ludzi pochodzących z Afganistanu.

Po to, by w Polsce można było grać argumentem afgańskim?

I po to, żeby byli zdyscyplinowani. Jedyny język obcy, w jakim potrafią się komunikować, to rosyjski. To ma duże znaczenie.

Czyli część tych migrantów to statyści odgrywający swoje role w operacji Kremla?

Moim zdaniem tak. Usnarz jest na to dowodem. Co więcej, wspomniani przedstawiciele UNHCR zakomunikowali nam, iż według nich nie mamy do czynienia z ludźmi uciekającymi przed wojną, że to nie są żadni uchodźcy.

Bardzo uważnie wysłuchaliśmy pana wystąpień na konferencji prasowej i na posiedzeniu sejmowej komisji. To, co nas najbardziej zaniepokoiło, to nie zdjęcia w komórkach migrantów, a nawet nie powiązania niektórych z nich z grupami terrorystycznymi – bo to dość oczywiste, spodziewaliśmy się tego. Ale wyjątkowo alarmujące wydają się doniesienia o wymierzonych w nasze służby prowokacjach ze strony Białorusinów.

Służby białoruskie działają coraz bardziej ostentacyjnie i agresywnie. Z jednej strony ludzie w mundurach nie ukrywają, że wspierają nielegalne, siłowe przejścia przez nasze zasieki, przerzucają drabiny, przynoszą kłody drzew, by można było po nich przebiegać nad drutami, używają dronów, by obserwować, gdzie w danym momencie nie ma naszego patrolu. Kilkaset metrów od naszej granicy są liczne strażnice białoruskiej SG. Wiemy, że w nich gromadzeni są ci migranci, a później w mniejszych grupach rozprowadzani po granicy.

Mówił pan też o celowaniu z broni do polskich strażników i żołnierzy, rzucaniu petard, imitowaniu podkładania ładunków wybuchowych. Jak wiele jest takich zdarzeń?

One się nasiliły w czasie manewrów Zapad 2021. I wciąż się zdarzają. Proszę sobie wyobrazić taką sytuację: idzie nasz patrol, a z drugiej strony umundurowany żołnierz specsłużb białoruskich podnosi długą broń, przeładowuje ją, mierzy do naszego żołnierza i oddaje pusty strzał. W takim momencie nasz funkcjonariusz ma poczucie, że za chwilę może zginąć, powinien strzelić. To próby sprowokowania pierwszego strzału z naszej strony. Rosja i Białoruś marzą o tym, o trupach na granicy, by mieć drogę do dalszej eskalacji.

> Łukaszenka był przekonany, że my ze względu na polityczną poprawność przyjmiemy wszystkich i zalegalizujemy. Jeśli chodzi np. o obywateli Iraku, nie ma żadnych podstaw, by nadawać im status uchodźców, bo sytuacja tam jest w miarę stabilna. A właśnie Irakijczycy stanowią ok. 70 proc. migrantów trafiających do nas szlakiem z Białorusi

A pan ma pewność, że wszyscy wytrzymają tę presję, nikomu nie puszczą nerwy?

Jestem głęboko przekonany o profesjonalizmie naszych funkcjonariuszy straży granicznej, policji, wojska. Oni są przygotowani na trudne sytuacje i wszelkie prowokacje.

Śmierci na granicy już mieliśmy.

Te sprawy muszą być wnikliwie zbadane. Może być tak, że ludzie z innej strefy klimatycznej są mniej odporni na niskie temperatury, w ich przypadku łatwiej o stan hipotermii. Ale mamy w pełni udokumentowaną sytuację z Litwy. 22 lipca strażnicy z placówki w Druskiennikach zatrzymali 15-osobową grupę Irakijczyków i Czeczenów. Była w niej rodzina z dwójką małych dzieci: półtorarocznym i sześcioletnim. Ich matka powiedziała strażnikom, że nie jest w stanie ich dobudzić, błagała o pomoc. Okazało się, że przed przejściem granicy dostała od umundurowanego Białorusina dwie tabletki „na uspokojenie", by dzieci nie płakały i nie zwracały uwagi na całą grupę. Podała je dzieciom. Uratowano im życie w ostatniej chwili. Litewscy lekarze stwierdzili, że dostały metadon. To kontrowersyjny lek narkotyczny, podawany osobom uzależnionym np. od heroiny w celu łagodzenia skutków głodu narkotykowego. Być może chodziło o uzyskanie obrazków ze zmarłymi dziećmi na Litwie.

W przypadku śmierci na naszej granicy też są podejrzenia o podawanie niebezpiecznych substancji przez Białorusinów?

Jednemu ze zmarłych Irakijczyków w podróży towarzyszyło dwóch kolegów. Zeznali, że w którymś momencie ich współtowarzysz zaczął zachowywać się w szokujący dla nich sposób – rozbierał się do naga, udawał zwierzę, uciekał. Na siłę go ubierali. Zadzwonili do jego brata z pytaniem, czy w grę może wchodzić uzależnienie od narkotyków. Okazało się, że nie. Gdy wreszcie nawiązali kontakt z kolegą, ten powiedział im, że otrzymał tabletkę, którą miał zażyć, jeśli będzie mu bardzo zimno albo będzie bardzo zmęczony. W tej chwili trwają badania toksykologiczne biegłych prokuratury, które wyjaśnią, czy przyczyną zgonu może być np. metadon.

Dlatego ostrzegacie migrantów na granicy, by nie przyjmowali żadnych pigułek?

eprasa.pl 1499ff6129



Tak, wykorzystujemy nowoczesne metody docierania do tych ludzi. Codziennie przez całą dobę na wszystkie telefony niemające polskiego prefiksu, a logujące się w naszych sieciach komórkowych w odległości kilku kilometrów od granicy, wysyłany jest esemes z alertem: „Polska granica jest strzeżona, zostałeś oszukany przez władze Białorusi, nie bierz żadnych tabletek od żołnierzy białoruskich". Wysyłamy też link do strony rządowej, gdzie znajduje się poszerzona informacja w pięciu językach. Ostrzegamy przed warunkami pogodowymi, apelujemy, by ci ludzie wracali do Mińska, do domu.

To prawda, że oni nie wiedzą nawet, gdzie się znajdują?

Niektórzy są kompletnie zdezorientowani. Myślą, że trafili do Niemiec. Większość deklaruje, że ich celem były Niemcy, Francja, Holandia, Wielka Brytania. W żadnym wypadku nie Polska.

To może jednak ich wpuścić, niech przejadą dalej? Takie korytarze były stosowane w 2015 r.

Ale przecież puszczenie ludzi, z których większość pewnie by wyjechała, też może oznaczać pewne kłopoty dla naszych obywateli. Poza tym jest kwestia powagi państwa, przestrzegania standardów, prawa. I jeszcze jedno: naszą twardą, konsekwentną postawą wysyłamy konkretny sygnał Łukaszence i Putinowi.

Bo jeśli tego nie zatrzymamy teraz, to za chwilę będziemy mieć na granicy czołgi?

Najpierw na pewno dziesiątki, a może i setki tysięcy ludzi. Rosja i Białoruś muszą wiedzieć, że w sprawach bezpieczeństwa nie będziemy stosowali żadnej politycznej poprawności, nie ulegniemy żadnemu pseudomoralnemu szantażowi.

Czyli chcecie zrobić tak, żeby to Łukaszenka miał problem z tymi migrantami.

Dokładnie. I on już zaczyna to czuć. Mamy informacje zarówno ze źródeł wywiadowczych, jak i dyplomatycznych, że zwykli Białorusini są coraz bardziej zdezorientowani i zaniepokojeni tym, co się dzieje. Wieczorami widują w parkach, na głównych ulicach swoich miast setki przybyszów z Azji, Afryki.

Jak się skończy ta batalia?

Łukaszenka i Putin przegrają tę wojnę. Zostaną sami z problemem, który chcieli zgotować nam i Europie. Nie będzie kanału przerzutowego tysięcy imigrantów przez Polskę.

Polskim służbom zarzuca się, że stosują tzw. push back, czyli spychanie migrantów z powrotem na Białoruś.

Sięgają panowie po publicystyczne określenie, nie chciałbym się do tego odnosić. Nie będę publicznie odsłaniał taktyki działania naszych służb. Ona ma być skuteczna. I jest, bez stosowania przemocy. Naturalnie nie mamy stuprocentowej skuteczności. Czasami jeszcze ileś kilometrów od granicy mieszkańcy mogą spotkać cudzoziemców, którzy dostają się do nas nielegalnie, ale te osoby też są zatrzymywane.

A co się dzieje z ludźmi, którzy zostają zatrzymani i trafiają do zamkniętych ośrodków?

Chodzi o ponad tysiąc osób tylko z ostatnich dwóch miesięcy. Wnikliwie im się przyglądamy. Część z nich nie ma żadnych dokumentów, część ma fałszywe. Musimy ich zbadać. 70 proc. z nich to

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 1499ff6129



Fot. gpk.gov.by

Irakijczycy, w większości młodzi mężczyźni bez rodzin, w wieku 20–30 lat.

Co wiemy o tych ludziach? Pana konferencja prasowa w tej sprawie wzbudziła wiele emocji.

Przedstawiliśmy konkretne fakty dotyczące sprawy budzącej naturalne emocje społeczne. Nasza konferencja nie była próbą stygmatyzowania kogokolwiek, lecz przedstawienia opinii publicznej bardzo konkretnych, rzetelnych danych. Część informacji mamy z telefonów tych ludzi. Ale nie tylko. Istnieją bazy danych dostępne dla służb specjalnych. Na razie zakończyliśmy analizę 200 telefonów. Co najmniej 50 ich właścicieli budzi zasadnicze wątpliwości co do bezpieczeństwa dla naszego kraju i naszych obywateli. Ich swobodne przebywanie w naszym kraju mogłoby stanowić wielki problem. Mamy np. człowieka, w którego telefonie znaleźliśmy numer do aresztowanego w sierpniu terrorysty związanego z Państwem Islamskim, specjalisty od materiałów wybuchowych, który przygotowywał zamach na terenie UE. Mamy zdjęcia z konspiracyjnych spotkań bardzo radykalnej terrorystycznej organizacji Palestyński Islamski Dżihad. Znajdujemy też w telefonach zdjęcia z egzekucji – dekapitacji.

> Między 22 a 24 września na Białorusi byli przedstawiciele UNHCR, czyli agendy ONZ ds. uchodźców. Po spotkaniu z władzami białoruskimi rozmawiali z naszymi dyplomatami w Mińsku w sprawie Usnarza Górnego i przedstawili swoje ustalenia: tych 30 Afgańczyków pochodzi z Rosji, co najmniej kilka lat mieszkali na Uralu, legalnie pracowali itd.

Słyszymy od waszych przeciwników, że to tylko zdjęcia, a część z nich podobno dostępna jest w internecie.

I mamy się nie przejmować tym, że jakiś człowiek przemieszcza się kilka tysięcy kilometrów do Europy, mając przy sobie kolekcję tego typu zdjęć? Mamy udawać, że jest czymś normalnym i niegroźnym przechowywanie fotografii pomordowanych ofiar radykalnych ruchów islamskich? Mamy zignorować migranta, który zachował swoje zdjęcia w uniformach organizacji zbrojnych z Bliskiego Wschodu, z bronią długą, obwieszony granatami? Albo człowieka z jego zdjęciem w stroju militarnym i słownikiem rosyjskim w ręku w czasie jakiegoś kursu wojskowego. Z danych dotyczących tego konkretnego człowieka wynika, że on trafił do Polski niemal bezpośrednio po tym rosyjskim kursie. Mamy nie pytać, dlaczego ludzie trafiają do nas z Rosji, kraju agresywnego i jawnie wrogiego?

eprasa.pl 1499ff6129

Reasumując, tacy ludzie obecnie są w naszym kraju – na szczęście w zamkniętym ośrodku.

No i macie grupę ludzi ze zdjęciami świadczącymi o przestępstwach kryminalnych.

To zdjęcia porcjowanych i zażywanych narkotyków. Ktoś ma w telefonie bazę 600 paszportów i dowodów osobistych państw z całego świata. W jakim celu on to gromadzi? Zapewne handlowym, by móc oferować różne tożsamości – również polskie. Mamy wreszcie sytuację skrajnie bulwersującą, za którą jestem atakowany, czyli zdjęcia zoofilskie i pedofilskie.

No właśnie, nie wahał się pan przed ich publikacją?

Nie. Przecież polski Kodeks karny przewiduje penalizację nie tylko wytwarzania i rozpowszechniania takiej pornografii, ale samego jej posiadania. Grozi za to od sześciu miesięcy do ośmiu lat więzienia. Ci ludzie popełnili przestępstwo. To sprawa zero-jedynkowa. Te zdjęcia są już w prokuraturze. Jestem przekonany, że te osoby usłyszą zarzuty posiadania szczególnie barbarzyńskiej pornografii. To, co upubliczniliśmy w sposób ocenzurowany, miało tylko pokazać, że nie rzucamy słów na wiatr.

Jest tego więcej?

Dużo więcej. Jedną z osób przechowujących zakazane w Polsce treści jest obywatel Afganistanu (jego fragment zbiorów „eksperci" OKO.press i „Gazety Wyborczej" szybko zidentyfikowali jako stopklatkę jakiegoś starego filmu zoofilskiego), który miał takich fotografii dużo więcej, kilkadziesiąt. Pokazaliśmy najłagodniejszą. Mamy też obywatela Egiptu i dwóch obywateli Iraku, którzy posiadali podobne kolekcje obejmujące kilkadziesiąt zdjęć pedofilskich i zoofilskich, jak również filmy z taką pornografią. Mamy przymykać oko na takich przestępców? Podkreślam: chodzi o konkretne osoby.

Kto tym ludziom pomaga po naszej stronie? Kim są kurierzy, którzy transportują migrantów dalej na Zachód?

Od początku roku zatrzymaliśmy ok. 150 takich osób. Największe są dwie grupy: obywatele republik postsowieckich (Tadżykistanu, Turkmenistanu, Gruzji, Ukrainy, Białorusi, Czeczenii) oraz państw arabskich (Syryjczycy, Irakijczycy – często obecni w Europie po fali z 2015 r., zalegalizowani przez kraje zachodnie). Było też kilku Polaków, choć to incydentalne przypadki.

Pomówmy o zabezpieczeniu granicy. Te zasieki, które dziś funkcjonują, są tylko tymczasowe?

> Służby białoruskie działają coraz bardziej ostentacyjnie i agresywnie. Wspierają nielegalne, siłowe przejścia przez nasze zasieki, przerzucają drabiny, przynoszą kłody drzew, by można było po nich przebiegać nad drutami, używają dronów, by obserwować, gdzie w danym momencie nie ma naszego patrolu

Tak, chodzi o to, by opóźnić, utrudnić przekraczanie granicy. Kończymy prace koncepcyjne nad rzeczywistymi zaporami, a za chwilę zaczniemy je realizować.

To prawda, że ma pan 500 mln zł na postawienie zdecydowanie solidniejszej bariery?

Powiem tak: jesteśmy po rozmowach w gronie najważniejszych osób w państwie odpowiedzialnych za bezpieczeństwo – mówię i o premierze Morawieckim, i o premierze Kaczyńskim – na temat budowy trwałej bariery, która będzie niezwykle trudna do przejścia. Przeanalizowaliśmy wszystkie wzory stosowane w Europie – od Grecji, przez Węgry, Serbię, po Hiszpanię. Wiemy, jakie są warunki terenowe, jakie są potrzeby straży granicznej. Kończymy specyfikację techniczną i wyliczenia, ile to będzie kosztowało. Zapadła decyzja polityczna o zabezpieczeniu odpowiednich środków.

Czym ta instalacja będzie się różnić od obecnej?

Nie chodzi tylko o fizyczną barierę. Tam będzie mnóstwo elektroniki. Buduje się tzw. perymetrię – system czujników ruchu z kamerami termowizyjnymi, które natychmiast precyzyjnie pokazują, w jakim miejscu ile osób się gromadzi. Po pierwsze, ma być bardzo trudno przejść tę barierę, a po drugie, przy każdej próbie informacja błyskawicznie trafi do naszych strażników, a ci natychmiast zareagują.

Jak wysoka będzie to przeszkoda?

Szczegóły ustalamy właśnie w tych dniach, więc nie chcę jeszcze podawać drobiazgowych danych. Wiedzcie, że będzie to instalacja dużo wyższa od obecnej. Jeśli miałbym porównać do już istniejących w innych krajach, to najbliżej jej do tej na granicy grecko-tureckiej.

Opozycja zarzuca wam, że za późno zajęliście się problemem. Rafał Trzaskowski mówi: „Można się było spodziewać, że będzie problem na wschodniej granicy […] Ja się pytam, co PiS robiło przez te ostatnie lata?".

To śmieszne słowa. Platforma Obywatelska nie zrobiła niczego w celu rzeczywistej ochrony naszych granic. Przez lata granica z Białorusią była najspokojniejsza. Nie dochodziło do żadnych incydentów. Przechodzenie przez zieloną granicę praktycznie nie istniało. Aż nagle zapadła decyzja polityczna drugiej strony oznaczająca de facto wrogie działania przeciwko naszemu terytorium. I państwo polskie na to reaguje.

Władysław Frasyniuk wyzywał strażników granicznych od szmat, Agnieszka Holland porównuje polskich żołnierzy do enerdowskich funkcjonariuszy strzelających w plecy

eprasa.pl 1499ff6129

uciekinierom, Janina Ochojska widzi w polskich władzach nazistów i Sowietów, oskarżając je o „torturowanie uchodźców". Jak pan odbiera takie wystąpienia?

To niedopuszczalne słowa, szczególnie w obecnej sytuacji.

Ależ pan delikatny...

Nie lubię ataków ad personam, choć sam jestem często ich obiektem. Tego typu narracja to strzelanie w plecy państwu polskiemu. Wielu funkcjonariuszy bardzo bolą tak niesprawiedliwe słowa. Ci ludzie realnie działają w warunkach ogromnego osobistego ryzyka, poświęcenia, w bardzo trudnym terenie, wiedząc, że po drugiej stronie mają nie tylko imigrantów, ale i uzbrojonych funkcjonariuszy białoruskich wojsk specjalnych. Tak podłe obrażanie naszych funkcjonariuszy i żołnierzy jest niedopuszczalne.

To chyba jednak coś więcej. Mamy bowiem dużą część establishmentu, którego nie obchodzi bezpieczeństwo nasze i naszych dzieci. Nie obchodzi ich los naszego państwa.

Oni się nie utożsamiają z naszym państwem, ze wspólnotą, jaką stanowimy w zdecydowanej większości naszych obywateli. Oni się stawiają poza wspólnotą.

A czy strażnicy graniczni nie pękną? Nie siądzie im morale wobec tej hucpy celebrytów, niektórych polityków? Przecież de facto szczuje się elektorat opozycji przeciwko polskiemu mundurowi. Mamy już tego efekty – np. auto SG z bazgrołem: „Mordercy".

Funkcjonariusze wiedzą, że mają pełne wsparcie wszystkich struktur rządowych, że całe państwo polskie stoi za tymi działaniami, że ich minister bierze osobistą odpowiedzialność polityczną za to, co tam się dzieje. Mamy pełne poparcie rządu, prezydenta i większości parlamentarnej.

I większości społeczeństwa.

To też jest ważne. Polacy mają dobre serca i współczują ludziom, którym dzieje się krzywda. Ale mają też rozum. Zdecydowana większość rozumie, że to nie są uchodźcy uciekający przed wojną, lecz turyści, migranci, którzy płacą tysiące dolarów, by dotrzeć nielegalnie na teren UE.

Jak jest z tym morale w SG?

Opowiem panom na przykładzie. W takiej sytuacji jak obecna na granicy zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że ktoś pod jakimś byle pretekstem zechce unikać trudnej służby. Ale nie w tym przypadku. Rozmawiałem z komendantem oddziału podlaskiego SG, najbardziej frontowego. U niego zdarzył się tylko jeden przypadek funkcjonariusza, który złożył L4. Osobiście przyniósł to zwolnienie, pokazując zabandażowaną rękę, którą sobie rozciął, pomagając przy żniwach. Chciał wykonywać swoją służbę, ale obiektywnie nie miał takiej możliwości, o czym jego przełożeni przekonali się na własne oczy.

> Codziennie na telefony niemające polskiego prefiksu, a logujące się w naszych sieciach komórkowych w odległości kilku kilometrów od granicy, wysyłany jest esemes z alertem: „Polska granica jest strzeżona, zostałeś oszukany przez władze Białorusi, nie bierz żadnych tabletek od żołnierzy białoruskich"

Co będzie, jeśli ta sytuacja się zaostrzy, pojawią się strzały, ktoś rzuci jakiś granat? Jak odpowiemy?

Musimy być przygotowani na każdą sytuację, ale nie musimy głośno rozmawiać o najczarniejszych scenariuszach.

A ten z 2015 r. – tysięcy imigrantów jednocześnie szturmujących granicę węgierską – jest dziś realny?

Każdy wariant jest możliwy i bierzemy go pod uwagę.

Dlaczego Łukaszenka z Putinem zmienili kierunek szmuglowania migrantów z litewskiego na polski?

Polska jest groźnym rywalem, którego warto spróbować złamać. A ponadto na Litwie scena polityczna jest w tej sprawie jednolita. Wszyscy wspierają rząd w obronie granic. Jeżeli pojawia się krytyka władz, to dlatego, że działają za mało radykalnie.

Putin testuje dziś, na ile może sobie pozwolić?

Bada, na ile twarde jest nasze państwo. Im więcej słabości teraz okażemy, tym bardziej brutalna będzie ingerencja w nasze sprawy. Rosja zawsze bazowała na słabości Zachodu. Musimy pokazać naszą determinację. I pokazujemy.

Czy nasze służby nie powinny operacji „Śluza" namierzyć wcześniej?

Pierwsza grupa migrantów pojawiła się na naszej granicy na początku sierpnia. Obserwowaliśmy działania służb białoruskich, spływały do nas informacje wywiadowcze. Podam tylko jeden fakt. 5 lipca wojsko zaczęło rozstawiać umocnienia. Pamiętajcie, że nikt nie trzyma w magazynach setek kilometrów zasieków – ani wojsko, ani producenci – a my błyskawicznie je zorganizowaliśmy. Dodatkowo gdy migranci zaczęli się tłumnie pojawiać na naszej granicy, była już niejawna decyzja prezydenta (na wniosek mój i ministra obrony narodowej) użycia sił zbrojnych do pomocy straży granicznej. Byliśmy przygotowani.

Stan wyjątkowy nie był zbyt późno wprowadzony?

Nie. W tej sprawie musieliśmy być bardzo precyzyjni i wyciągać wnioski na bieżąco. Widzieliśmy, i Polacy też widzieli, co się zaczyna dziać. Opinia publiczna widziała tych harcowników – czy to z immunitetem, czy bez (jak w przypadku Bartosza K.). Sytuacja, ale i takie działania, pokazały, że niezbędny jest wąski pas, w którym działają nasi uzbrojeni żołnierze i funkcjonariusze,

eprasa.pl 1499ff6129

a w którym nie może dochodzić do jakichś politycznych happeningów.

Czy Unia Europejska pomaga nam jakoś w odpieraniu tego hybrydowego ataku ze Wschodu?

Nie, bo jesteśmy samowystarczalni. Ale widzimy pełne zrozumienie i wsparcie ze strony unijnych urzędników, ale też państw UE. Rozmawiałem np. ze swoim hiszpańskim odpowiednikiem. Choć to polityk o bardzo lewicowych poglądach i biografii, w pełni podziela nasze działania. Jeżeli zaś byłaby konieczność zwrócenia się o pomoc do innych państw czy UE, zrobimy to. Dziś nie ma takiej potrzeby.

A my bez przerwy słyszymy, że powinien na granicę przyjechać Frontex.

Funkcjonuje mit Frontexu jako „unijnej straży granicznej", a przecież nic takiego jeszcze nie istnieje. Frontex to urząd, „czapa" biurokratyczna, która monitoruje sytuację na zewnętrznych granicach wspólnoty. W sytuacjach kryzysowych Frontex zwraca się do krajowych straży granicznych o oddelegowanie funkcjonariuszy albo wypożyczenie sprzętu. Litwini o takie wsparcie poprosili. Przyjechało kilkudziesięciu funkcjonariuszy, w dużej mierze naszych, bo to do nas Frontex wystąpił o pomoc. Przekazał też Litwie dwa śmigłowce. Jeden z nich należy do polskiej SG. Bo nasza straż jest wzorowa. Tak też uważają urzędnicy Frontexu, którzy wytypowali Polaków do szkolenia przyszłych funkcjonariuszy tej agencji.

Czy media naprawdę nie powinny mieć dostępu do granicy?

Panowie, dziś bardzo łatwo stać się dziennikarzem – wystarczy prowadzić jakiś portalik albo bloga. Każdego mielibyśmy wpuszczać czy tylko niektórych? Ja na pewno nie zamierzam robić żadnej selekcji i narazić się na zarzut, że nie wpuszczę „Wyborczej", a wpuszczę TVP. Że wydam przepustkę „Polityce", a odmówię jej wPolityce.pl. To byłby nonsens. Poza tym mamy przecież pełną swobodę przemieszczania się mieszkańców, są samorządy, sołtysi, radni, wójtowie – nikt z nich nie narzeka i nie czeka na tłumy dziennikarzy. Badamy nastroje lokalnej społeczności. A ta odnosi się z wielkim uznaniem i sympatią do tego, co robi rząd i funkcjonariusze.

A czy Bug też trzeba jakoś specjalnie zabezpieczać? To ok. 150 km granicy.

Rzeka stanowi naturalną, dość skuteczną zaporę. Choć są pewne miejsca, starorzecza, gdzie podejmowane są próby przeprawiania się. To ryzykowne, bo w okolicy są tereny bagienne. Kilkukrotnie to uniemożliwiliśmy. Okazało się, że po stronie białoruskiej ustawiono kładki dla tych migrantów. Gdy się jednak okazało, że po polskiej stronie czeka straż graniczna, migranci zawrócili.

> Jesteśmy po rozmowach w gronie najważniejszych osób w państwie na temat budowy trwałej bariery na granicy, która będzie niezwykle trudna do przejścia. Nie chodzi tylko o fizyczną barierę. Tam będzie mnóstwo elektroniki – system czujników ruchu z kamerami termowizyjnymi, które precyzyjnie pokazują, w jakim miejscu ile osób się gromadzi

A jeśli SG kogoś na tych bagnach odnajduje, to – jak rozumiemy – ratuje go?

Oczywiście. W sumie udzieliliśmy już pomocy kilkunastu osobom, które bez naszej opieki mogły nie przeżyć.

Jak pan patrzy na stronę moralną tej sytuacji na granicy? Sięga się po argument chrześcijaństwa, konieczności podawania ręki, nakarmienia głodnych.

Jest coś takiego jak etyka państwowa. Od momentu, w którym przyjąłem taką, a nie inną funkcję w rządzie, nie mam prawa kierować się swoimi emocjami. Ale też nie czuję, by zachodziła tu jakaś sprzeczność. W sytuacjach rzeczywistego zagrożenia życia – tonięcia na bagnach, leżenia na granicy z różnymi urazami – zawsze udzielamy pomocy. Nie możemy jednak przyjmować każdego, kto deklaruje, że jest zmęczony. Niemiecka polityka „herzlich willkommen" z 2015 r. była katastrofą polityczną i społeczną. Teraz chce się na nas wymusić politykę witania chlebem i solą, jak nazwała się jedna z fundacji.

Nie będzie witania chlebem i solą nielegalnych imigrantów. I powiem jeszcze jedno: od sierpnia ubiegłego roku, od tych wielkich protestów i represji reżimu Łukaszenki, pomogliśmy każdemu, kto był rzeczywiście zagrożony z racji głoszonych przez siebie poglądów. Przyjęliśmy 15 tys. uchodźców politycznych z Białorusi. Straż graniczna dostała polecenie przepuszczania ich wszędzie – na każdym przejściu i na zielonej granicy. To jest odpowiedź na pytanie, czy jesteśmy wierni pewnym zasadom. Wpuściliśmy też tysiąc Afgańczyków z Kabulu, transportując ich do Polski po wycofaniu się wojsk USA z Afganistanu. Dziś jednak na granicy nie mamy do czynienia z uchodźcami, lecz nielegalnymi migrantami, którzy zainwestowali duże pieniądze w polepszenie sobie życia.

I łamiąc prawo, próbują forsować naszą granicę, którą chronić trzeba zawsze.

Należę do pokolenia, które urodziło się w niewoli. Dla nas wolność i niepodległość to święta rzecz, o której marzyliśmy jako dorastający ludzie. Nie ulegniemy żadnemu niegodziwemu szantażowi ani werbalnej agresji.

O co jest ta bitwa?

O to, czy Polska będzie państwem niepodległym. I czy opierając się na własnych siłach, jesteśmy w stanie zapewnić bezpieczeństwo naszym obywatelom. To chyba najtrudniejszy egzamin od 1989 r. Zdamy go.

eprasa.pl 1499ff6129

Konflikt wokół kopalni w Turowie jest zwiastunem nowych czasów, w których polityka klimatyczna staje się narzędziem dominacji silniejszych państw nad słabszymi. Polska, walcząc o zachowanie swojej niezależności energetycznej, bije się w rzeczywistości o swoją polityczną podmiotowość

O co ta bitwa



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Gdy za sprawą skargi Czechów do Trybunału Sprawiedliwości UE lokalny spór o kopalnię w Turowie przekształcił się w konflikt o zasięgu unijnym, stało się jasne, że czeka nas kolejna ciężka bitwa z Unią. Czesi dali bowiem unijnym liberałom doskonały pretekst do uderzenia w znienawidzony konserwatywny rząd PiS. Formalnie chodzi przecież o kwestie ekologiczne, o domniemany negatywny wpływ turowskiej kopalni na poziom wód gruntowych. W rzeczywistości jednak spór ten rozgrywa się na kilku poziomach, a jego oś przebiega w całkiem innym miejscu.

Nowa unijna polityka klimatyczna zakłada odejście – i to szybkie – od paliw kopalnych, a więc Czesi, domagając się przy pomocy TSUE zamknięcia polskiej kopalni, walczą o własne górnictwo. Z kolei na wyższym, unijnym szczeblu idzie o ograniczenie naszej niezależności energetycznej, a tym samym o zmuszenie Polski do uległości, a być

eprasa.pl 1499ff6129



Fot. Shutterstock

może również o wywołanie pożądanych przez Brukselę zmian politycznych.

Na horyzoncie mają też wielkie pieniądze, bo jeśli Polska zostanie pokonana w tej „klimatycznej" bitwie, to będzie zmuszona do drogiego importu energii, czego konsekwencją może być finansowy drenaż naszej, stojącej dziś na relatywnie niezłym poziomie, gospodarki. W szerokim kontekście stawką w sporze o Turów są więc podmiotowość i rozwój Polski.

DZIEL I RZĄDŹ

Członkostwo Polski w Unii nie sprowadza się wyłącznie – jak nas się często przekonuje – do profitów płynących z Brukseli. To interes wzajemny, Unia nie jest przecież instytucją charytatywną. Jednak o tę równowagę zysków i kosztów płynących z członkostwa w UE należy stale walczyć, w przeciwnym razie zostaniemy pożarci gospodarczo i politycznie przez silniejszych partnerów. Rząd PiS doskonale zdawał i zdaje sobie z tego sprawę, stąd tak duże znaczenie w jego polityce odgrywały inicjatywy regionalne, takie jak Grupa Wyszehradzka czy Trójmorze. Występując wspólnie z krajami naszego regionu, jesteśmy po prostu silniejsi. Nic więc dziwnego, że inicjatywy te nie wzbudzały entuzjazmu w wielu zachodnich stolicach, gdzie Europa Środkowo-Wschodnia postrzegana jest raczej jako obszar wymagający protekcji, a nie pełnoprawny uczestnik gry politycznej. Z tego punktu widzenia czeska skarga na Polskę i odwołanie się przez Pragę do unijnego arbitrażu jedynie podtrzymuje upośledzony status naszego regionu wewnątrz Unii, co jest oczywiście zgodne z ogólną strategią Brukseli.

> Skarżąc się do TSUE, Czesi stworzyli precedens, który może się w przyszłości obrócić przeciwko nim. Zwłaszcza że sami są również mocno uzależnieni od „brudnej" węglowej energii

Tym, co szczególnie ubodło Warszawę, jest jednak cyniczne wykorzystanie przez Czechy kryzysu w relacjach polsko-unijnych do osiągnięcia własnych celów politycznych. Początkowo chodziło bowiem jedynie o kwestię poziomu wód gruntowych na terenach sąsiadujących z Polską, obniżonego jakoby z powodu eksploatacji złóż węgla brunatnego w Turowie. Niektórzy twierdzą, że gdyby wtedy, na samym początku sporu, wypłacić Czechom odszkodowanie, to dalszego konfliktu można byłoby uniknąć. Być może tak, a być może nie. Czesi szybko dostrzegli bowiem, że z Polską, która ma przecież na pieńku z Brukselą, da się ugrać więcej. I zaczęli – zgodnie z tym, co twierdzi polski rząd – pobijać stawkę oraz stawiać nowe żądania, czego kulminacją stało się skierowanie przez Pragę skargi do TSUE wraz z żądaniem zaprzestania wydobycia w Turowie do czasu rozstrzygnięcia sporu pod groźbą 5 mln euro kary za każdy dzień pracy kopalni. Czesi doskonale wiedzieli, że przenosząc spór na poziom Unii, dają Brukseli wygodne narzędzie do wzmocnienia presji na zbyt mocno wierzgającą Polskę. Musieli sobie też zdawać sprawę z tego, że podkopują w ten sposób fundamenty Grupy Wyszehradzkiej. Mimo to zdecydowali się na taki krok, jak się okazało, słusznie obstawiając, że Bruksela nie przepuści świetnej okazji do przyciśnięcia Polski.

SKAZANI NA IMPORT

Oczywiście o zaprzestaniu wydobycia przez kopalnię w Turowie mowy być nie może. Bo oznaczałoby to nie tylko utratę tysięcy miejsc pracy miejscowych górników, lecz również zatrzymanie pobliskiej elektrowni, która zapewnia blisko 8 proc. zapotrzebowania Polski na energię. Wreszcie – jak wskazują ekspertyzy naukowców z krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej – zaprzestanie wydobycia mogłoby doprowadzić do wypełnienia turowskiej odkrywki wodą z opadów atmosferycznych oraz do katastrofy ekologicznej spowodowanej powstaniem olbrzymich osuwisk. Zwiększyłby się również deficyt wody pitnej, na który tak bardzo uskarżają się Czesi, bo wody gruntowe mogłyby zostać skażone popiołami z elektrowni Turów. Co więcej, po zaprzestaniu wydobycia ponowne uruchomienie kopalni byłoby już prawdopodobne niemożliwe.

Wiele z tych argumentów zostało przedstawionych przez Polskę przed TSUE, jednak hiszpańska sędzia, bez

eprasa.pl 1499ff6129



jakiejkolwiek merytorycznej debaty na ten temat i bez oglądania się na konsekwencje, jednoosobowo podjęła decyzję o przyjęciu czeskiego wniosku i w maju nakazała zaprzestanie wydobycia w Turowie, a wobec zignorowania tej decyzji przez polski rząd we wrześniu nałożyła na Polskę karę pół miliona euro dziennie. Wątpliwości dotyczące możliwego blackoutu z powodu unieruchomienia pobliskiej elektrowni zbyła uwagą, że Polska może dokupić brakującą energię od sąsiadów. I tu – jak się zdaje – dochodzimy do sedna sprawy.

Na terenie Łużyc oraz Rudaw, a więc w bezpośrednim sąsiedztwie Turowa, znajduje się łącznie dziewięć innych kopalni węgla brunatnego – cztery po niemieckiej i pięć po czeskiej stronie. Wszystkie razem dają zatrudnienie kilkudziesięciu tysiącom osób, które w obliczu nowej polityki unijnej zmierzającej do likwidacji wydobycia węgla zapewne stracą w przyszłości pracę. Zamknięcie już dzisiaj Turowa nie tylko pozwala odsunąć ten moment nieco w przyszłość, lecz również jest okazją do zarobku, bo Polska pozbawiona zasilania z elektrowni w Turowie byłaby skazana na import brakującej energii z Niemiec lub z Czech. I prawdopodobnie takie właśnie kalkulacje stoją za polityką rządu czeskiego premiera Andreja Babiša, którego partia ANO będzie walczyć o reelekcję w zaplanowanych na najbliższy weekend (8–9 października) wyborach.

Oczywiście logika wyborcza rządzi się własnymi prawami, jednak nadwerężonego zaufania w relacjach polsko-czeskich nie da się tak szybko odbudować. Przy okazji okazało się bowiem, że dla Czechów współpraca w ramach inicjatyw regionalnych, takich jak Grupa Wyszehradzka, nie ma tak istotnego znaczenia jak dla Polski. Nie chodzi przy tym o to, że Czesi nie mają swoich racji, ale o to, że zdecydowali się ich bronić za pośrednictwem unijnych trybunałów, doskonale wiedząc, że w warunkach polskiego sporu z Brukselą będzie to w Warszawie przyjęte jak najgorzej. Co więcej, Czesi stworzyli w ten sposób precedens, który może w przyszłości obrócić się przeciwko nim. Zwłaszcza że sami są również mocno uzależnieni od „brudnej" węglowej energii.

KOLEJ NA ATOM?

Na wyborczych grach czeskiego rządu, który chciałby utrącić polską konkurencję, potencjalnie najbardziej zyskują Niemcy. Berlin nie zabiera wprawdzie głosu w sprawie sporu o Turów, nigdy też – jak twierdzi polski rząd – nie było poważniejszych zatargów z Niemcami wokół Turowa. Jednak to Niemcy są głównym rozgrywającym unijnej polityki klimatycznej i uderzenie w Turów – zwłaszcza zrobione czeskimi rękami – jest im na rękę. Gdyby Polskę udało się złamać w sprawie Turowa, to kolejnym krokiem mogłoby być zablokowanie w naszym kraju budowy elektrowni atomowej. Już teraz z takim postulatem wystąpiła premier Meklemburgii-Pomorza Przedniego Manuela Schwesig z SPD.

> Są plany, aby w przyszłości Nord Stream 2 posłużył do tłoczenia rosyjskiego wodoru. Wówczas energetyczna dominacja niemiecko-rosyjskiego duetu byłaby utrwalona na kolejne dziesięciolecia

Schwesig jest najbardziej znana z tego, że w styczniu powołała fikcyjną Fundację dla Ochrony Klimatu i Środowiska, będącą w rzeczywistości próbą obejścia sankcji nałożonych na budowę gazociągu Nord Stream 2, którego niemiecka końcówka znajduje się w okolicach Greifswaldu w Meklemburgii. Fundacja ta, której 99 proc. majątku (20 mln euro) pochodziło z rosyjskiego Gazpromu, miała zapewnić parasol finansowy nad firmami uczestniczącymi w pracach nad dokończeniem niemiecko-rosyjskiej inwestycji.

Dziś, gdy ukończenie Nord Streamu 2 jest właściwie niezagrożone, Schwesig zabiega o rentowność tego przedsięwzięcia, domagając się – oczywiście pod pretekstem walki o klimat – utrącenia innych projektów energetycznych w regionie. „Rząd landu sprzeciwia się planom Polski względem energetyki jądrowej. Mówiliśmy o tym wyraźnie w dyskusjach regionalnych. Oczekujemy, że rząd federalny wykorzysta wszelkie opcje zatrzymania tych planów" – zaapelowała pod koniec września premier, strasząc jednocześnie chmurą radioaktywną znad Polski. Postulaty szefowej rządu Meklemburgii mogą zostać wysłuchane w Berlinie, bo Niemcy rezygnują z energetyki atomowej i zamierzają promować denuklearyzację w Unii. Warto też pamiętać, że niedawne wybory do Bundestagu wygrała macierzysta partia Manueli Schwesig, co sprawia, że walka z atomem w Polsce może szybko nabrać realnego wymiaru.

Dlatego nietrudno sobie wyobrazić, że TSUE, który dzisiaj chce zamykania kopalni w Turowie, jutro wyda nam zakaz stawiania elektrowni atomowych. Na jakiej podstawie? Na jakiejkolwiek.

Gdyby taki scenariusz się spełnił, Polska byłaby skazana wyłącznie na energię odnawialną i gazową. Jeśli chodzi o energię odnawialną, to większość niezbędnych technologii mają Niemcy. Jeśli zaś idzie o gaz, to oczywiście nie musimy kupować go w Niemczech, ale to właśnie Niemcy – dzięki zbudowaniu Nord Streamu 2 – stają się głównym dystrybutorem rosyjskiego paliwa na Europę. Nic więc dziwnego, że nie chcą żadnych konkurentów.

Naturalnie gaz ziemny nie jest „czystym" paliwem. Ale tym nikt się teraz nie przejmuje. Zwłaszcza że są plany, aby w przyszłości Nord Stream 2 posłużył do tłoczenia rosyjskiego wodoru. Wówczas energetyczna dominacja niemiecko-rosyjskiego duetu byłaby utrwalona na kolejne dziesięciolecia. Łatwo więc zauważyć, że za parawanem polityki klimatycznej odbywa się batalia o dostęp do zasobów oraz o związane z tym wielkie zyski i polityczne wpływy.

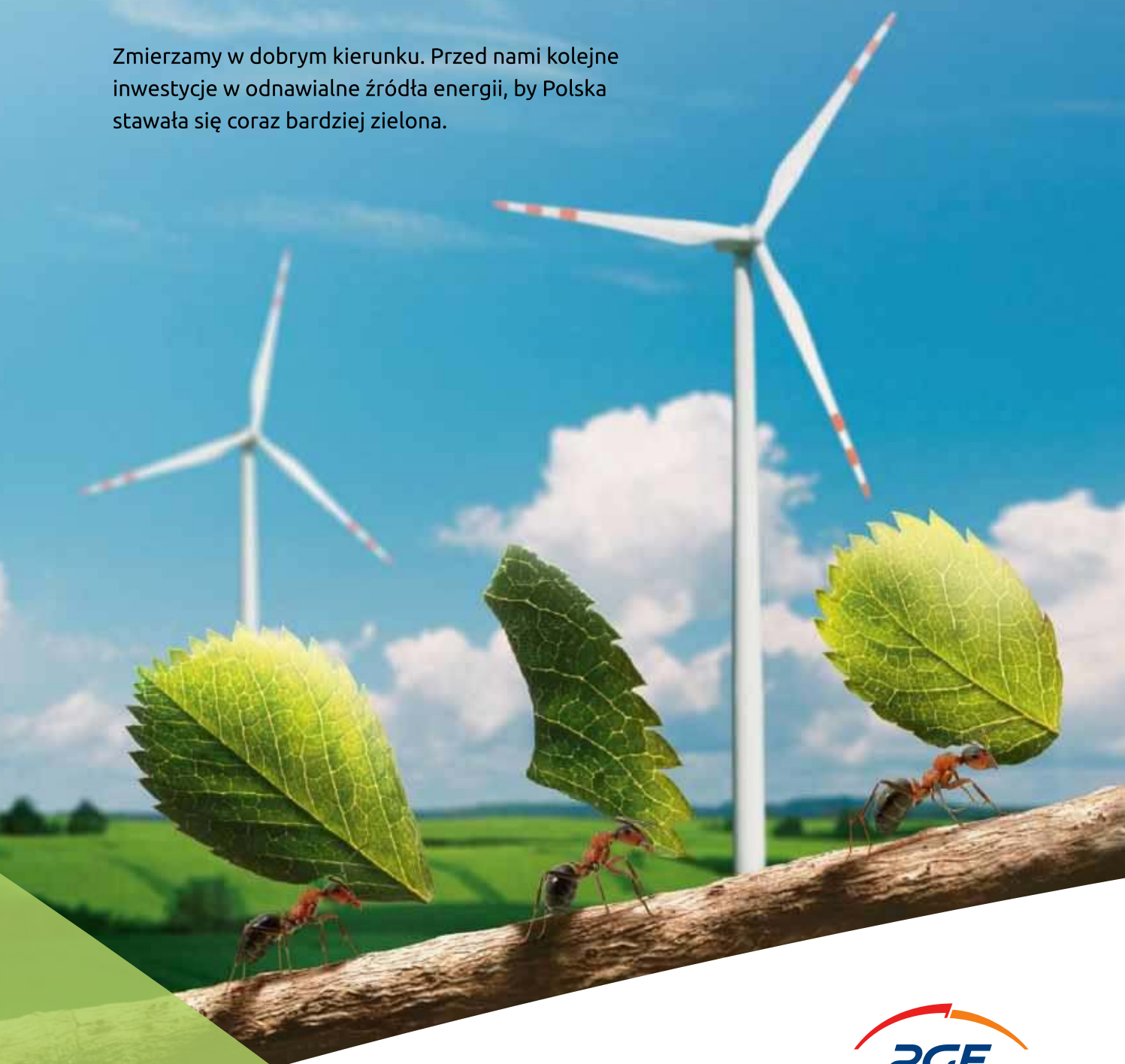
Jeśli spojrzeć na to z tej perspektywy, to łatwo dostrzec, że w Turowie trwa właśnie jedna z pierwszych bitew w tej batalii. Być może uda się ją wygrać (oby), ale nie miejmy złudzeń, takich potyczek czeka nas wkrótce znacznie więcej. A od ich wyniku zależeć będzie nie tylko stan naszych portfeli, lecz także nasza suwerenność.

Reklama | 54/0921/F

eprasa.pl 1499ff6129

Niesiemy zieloną zmianę

Zmierzamy w dobrym kierunku. Przed nami kolejne inwestycje w odnawialne źródła energii, by Polska stawała się coraz bardziej zielona.



PGE

Prowadzimy w zielonej zmianie

eprasa.pl 1499ff6129



Andrej Babiš, premier Czech

Jeśli sprawę Turowa uważam za nadzwyczaj politycznie doniosłą, to ze względu na precedensowy charakter interwencji w ten spór ze strony Unii Europejskiej

Nowa i nieznana Europa, czyli przypadek Turowa



JAN ROKITA

Jako Polak mam naturalną skłonność, by mniemać, iż to Polska ma więcej racji w sporze z Czechami o kopalnię Turów. Podejrzane jest zwłaszcza to, że na bogatych złożach węgla brunatnego Pogórza Rudawskiego i rejonu Żytawy działają, dość blisko siebie, cztery kopalnie niemieckie, pięć czeskich oraz jedna polska, ale tylko ta ostatnia ma stanowić katastrofalne zagrożenie dla środowiska. Taka okoliczność z natury rzeczy budzi moją intelektualną nieufność. Jednak informacji o szczegółach przewlekłego sporu i polsko-czeskich negocjacji jest w domenie publicznej za mało, aby sobie wyrobić gruntowną i wiarogodną opinię. W końcu cuda się zdarzają, więc być może akurat tutaj – w tzw. worku turoszowskim – jest coś tak unikatowego, że tylko polska kopalnia komuś i czemuś zagraża, a czeskie i niemieckie są bez zarzutu?!

SZWEJKOWSKI SPRYT

Nie mogę odrzucić a priori hipotezy „cudu", więc dopuszczam możliwość, że to my wyrządzamy jakąś nadzwyczajną krzywdę Czechom, którą winniśmy im wynagrodzić. Ale prawdę powiedziawszy, ani ten brak pewności, ani ów cały polsko-czeski spór nie wydałby mi się sam w sobie wart większej uwagi. Odkąd świat istnieje, sąsiedztwo wiąże się z rozmaitymi konfliktami, które raz się pojawiają, potem przemijają, aby w ich miejsce za jakiś czas pojawiły się nowe. Pod tym względem nie

eprasa.pl 1499ff6129



Rosario Silva de Lapuerta, sędzia TSUE, która nałożya sankcje na Polskę

ma istotnej różnicy pomiędzy naturą prywatnego sąsiedztwa między ludźmi i sąsiedztwa politycznego – między państwami.

Jeśli jednak przypadek Turowa uważam za nadzwyczaj politycznie doniosły, to ze względu na rzecz całkiem inną. Jest nią precedensowy charakter interwencji w ten spór ze strony Unii Europejskiej. Unię do tej turowskiej gry wciągnęli oczywiście Czesi. Ale w przeciwieństwie do premiera Morawieckiego, który „represyjnie" odwołał swoją obecność na zebraniu V4 z udziałem Babiša, nie sądzę, aby istniały twarde powody do zaskoczenia albo tym bardziej oburzenia postawą rządu w Pradze. Czesi, wiedząc, że Polska ma ostatnio na pieńku z instytucjami unijnymi, zagrali unijną kartą, przekonani, że jest to teraz w ich ręku całkiem niezły atut. Czeską polityką (radykalnie odmiennie niźli polską) zawsze rządził przede wszystkim spryt. I tak jak dobry wojak Szwejk nieźle wychodził na swoim sprycie, tak samo i Czechy jako kraj.

Na przekór współczesnej poprawności, nakazującej nieustanne „obnażanie" i „dekonstrukcję" stereotypów narodowych, jako jakiegoś (w najlepszym razie) śmiesznego przesądu albo (w najgorszym) przyczyny pogardy i wrogości, zawsze byłem przekonany, że stereotypy istnieją jedynie dlatego, iż odzwierciedlają gromadzony przez wieki bagaż zbiorowego doświadczenia. Dlatego właśnie są trudnym do zastąpienia źródłem wiedzy, zwłaszcza w dziedzinie polityki. Jeśli się zatem zna stereotyp czeskiej polityki (a w Polsce znamy go przecież doskonale), to trudno mieć do Babiša pretensje, iż jego polityka pozostaje w zgodzie z tym stereotypem. To raczej rząd w Warszawie powinien był przewidzieć odpowiednio wcześnie, iż czego jak czego, ale szwejkowskiego sprytu w rozgrywaniu sporu z Polską w Pradze z pewnością nie zabraknie.

TRZY PRECEDENSY

To zatem, że Praga wykorzysta polskie waśnie z Komisją Europejską i Trybunałem Sprawiedliwości UE, aby zagrać kartą unijną, było jasne jak słońce. To, co nowe, precedensowe i całkiem sprzeczne z dotychczasowym stereotypem, to natura owej unijnej interwencji.

Precedens jest tutaj potrójny.

Precedens drugi – to posłużenie się przez Unię wobec państwa członkowskiego narzędziem sankcji finansowych. O takiej możliwości dużo się co prawda w UE ostatnimi laty gadało, ale fakt pozostaje faktem, że nigdy takiego kroku dotąd nie podjęto. Gadanie gadaniem, ale naprawdę liczą się czyny.

W końcu trzeci i kluczowy w tej sprawie precedens – to użycie sądu jako organu decydującego arbitralnie o dalszym istnieniu bądź nieistnieniu wielkiej fabryki, i to jeszcze w sektorze szczególnie politycznie wrażliwym, jakim jest energetyka. Podkreślmy z naciskiem, bo to kluczowe dla rozumienia istoty rzeczy: każda z tych zaszłości ma miejsce po raz pierwszy w dziejach powojennej Europy, budującej najpierw wspólny rynek, a potem Unię Europejską.

SKAZANI NA POSŁUSZEŃSTWO

Czy owe trzy precedensy mówią nam coś ciekawego o kierunku, w jakim ewoluuje proces integracji europejskiej? Tak, bardzo wiele. Tylko żeby to dostrzec, trzeba na chwilę zawiesić naturalne dla Polaka przekonanie o wołającej o pomstę do nieba niesprawiedliwości wobec naszego kraju. Nie jest tak, iżbym nie doceniał mądrej maksymy, ważnej także w polityce, wedle której kij na psa zawsze się znajdzie, jeśli kto chce tylko psa koniecznie walnąć.

Owszem, nie mam wątpliwości, że bez owej niepohamowanej unijnej chęci walnięcia faszystowskiego reżimu w Warszawie interwencja UE w spór polsko-czeski wyglądałaby zapewne inaczej. Zresztą wątpliwości w tej mierze nie pozostawiają publiczne wypowiedzi sędziego Safjana – członka luksemburskiego trybunału, będącego sprawcą owych trzech precedensów. Sędzia bowiem nie kryje, że rząd polski jest dlań (więc być może i dla jego trybunalskich konfratrów) po prostu politycznym wrogiem. Ale to tylko jeden aspekt całego problemu, choć doraźnie, z polskiej perspektywy, być może nawet aspekt politycznie najważniejszy. Mimo to jednak owa szersza unijna perspektywa, jaką ta sprawa objawia, jest nie tylko intelektualnie ciekawa, ale na dłuższą metę pewnie i ważniejsza, zwłaszcza dla wypracowania politycznej umiejętności dalszego polskiego bycia w Unii.

I tak precedens pierwszy dowodzi, że to względy ideologiczne będą w Unii teraz przeważać nad roztrząsaniem realiów i ich konsekwencji. W tym sensie UE staje się tworem coraz mniej pragmatycznym, co znaczy, że może na przyszłość podejmować kroki zgubne dla niej samej bądź dla krajów członkowskich, nie oglądając się na skutki. Co prawda, nie potrzebowaliśmy aż czekać na turowski wyrok, aby się tego dowiedzieć, ale ów wyrok jest wyjątkowo czytelnym znakiem takiego trendu. To nawet nie sama decyzja, ale tryb, w jakim w Luksemburgu wydano bezwarunkowy i natychmiast wykonalny nakaz zamknięcia Turowa, jest godnym uwagi symptomem całkiem nowych unijnych czasów. To tryb tzw.

Fot. fot curia.europe.eu, shutterstock, Fratria

eprasa.pl 1499ff6129

postanowienia zabezpieczającego, którego istotą jest to, że decydent jest jednoosobowy, decyzja nie jest zaś poprzedzona ani badaniem sprawy, ani słuchaniem stron sporu, ani jakimkolwiek namysłem nad uwarunkowaniami i komplikacjami całej kwestii. Taki tryb wyklucza zatem merytokratyczny ideał dogłębnej i profesjonalnej wiedzy potrzebnej do sformułowania opinii ekspertowi. Ale co najciekawsze – wyklucza także rozpoznanie realnych interesów, poglądów i zbiorowych emocji, które stanowią przesłanki konieczne dla decyzji polityka. Jest to zatem zwiastun niezwykle doniosłej przemiany Unii. Albowiem od lat utarło się sądzić, że powojenna integracja Europy to proces merytokratyczny, wyważony, trzeźwy, skłonny do autokorekty, wrażliwy na realne interesy i jak ognia unikający doktrynerstwa i fanatyzmu. Tak właśnie definiowano dotąd naturę Unii w setkach książek i raportów pisanych przez znawców Europy i procesu jej integracji.

Z kolei precedens sankcji finansowych, mających uderzyć w jeden z krajów członkowskich, unaocznia, że w praktyce unijnej odchodzi do przeszłości sławna (i ponoć konstytutywna dla UE) kultura politycznego kompromisu, nakazująca bezwzględnie optować za minimalnym wspólnym mianownikiem jako europejskim dobrem największym, czasem nawet za cenę rezygnacji z wielkich ambicji. Skoro wspólny mianownik nie jest już politycznym ideałem integracji, naturalną wobec niego alternatywą musi się stawać polityczna przemoc, która w tym przypadku skrywa się za formą postanowienia sądowego. Politycznym sensem takiego postanowienia jest to, że wewnątrzunijną polityczną grę czyni ono grą o sumie zero. Mówiąc prościej: muszą w tej grze być zwycięzcy i pokonani. Ci pierwsi będą triumfować, ci drudzy będą skazani na posłuszeństwo.

Dotąd w unijnej Europie było tak, że nawet ewidentne porażki polityczne jakiegoś kraju starano się maskować retoryką solidarności, a z reguły również osładzać jakimiś drobnymi czy symbolicznymi gestami. Ideowe założenie integracji, sformułowane jeszcze przez ojców założycieli wspólnot europejskich, było takie, że warunkiem sine qua non postępu integracji jest poczucie korzyści i satysfakcji czerpanej przez każdego z jej uczestników. Monnet, Schuman czy de Gasperi byli bowiem przekonani, że bez owego efektu satysfakcji wspólnoty nie będą w stanie przetrwać, powrót zaś do Europy jako gry o sumie zero wcześniej czy później oznaczać będzie nawrót do zagrożenia przez wojnę. Jeśli więc teraz nowe unijne czasy miałyby oznaczać jawną polityczną przemoc jako narzędzie wymuszania uległości, to UE staje tym samym wobec perspektywy utraty swej (tak często podkreślanej) historycznej unikatowości. I wkrótce upodobni się do wszystkich wcześniejszych prób integracji Europy, z których żadna (od Fryderyka Barbarossy i luksemburczyka Henryka VII aż po Napoleona i Hitlera) nie obyła się – bo obyć się nie mogła – bez zastosowania, choć na różną skalę, systemu wewnętrznej przemocy.

> Trudno mi oprzeć się wrażeniu, iż właśnie spełnia się jakiś mroczny sen o upadku europejskiej polityki i wolnego rynku, skoro sędziowie mogą już decydować o istnieniu bądź nieistnieniu konkretnych fabryk według własnego widzimisię

Istotą trzeciego precedensu jest przeniesienie władzy politycznej na sędziów. To proces, który zachodzi w Europie już od jakiegoś czasu i o którym pisałem już na tych łamach. Tym niemniej nigdy dotąd się nie zdarzyło, aby unijny sędzia próbował samodzielnie zdecydować o likwidacji jakiejś fabryki, która nie znalazła się w upadłości z powodów biznesowych. W tym sensie hiszpańska sędzia Rosario Silva de Lapuerta przechodzi do historii europejskiego wymiaru sprawiedliwości jako ta, która otworzyła przed sędziami całkiem nowe, nieznane im wcześniej horyzonty władzy. Tydzień po postanowieniu dotyczącym sporu czesko-polskiego inny sędzia w Holandii, zainspirowany zapewne odwagą Lapuerty, nakazał wyrokiem koncernowi Shell zmniejszyć sprzedaż gazu i benzyny o połowę, czyli realnie zamknąć sporą część mocy produkcyjnych owego giganta energetycznego.

Trudno mi oprzeć się wrażeniu, iż właśnie spełnia się jakiś mroczny sen o upadku europejskiej polityki i wolnego rynku, skoro sędziowie mogą już decydować o istnieniu bądź nieistnieniu konkretnych fabryk, według własnego widzimisię, czyli bez fachowej wiedzy i bez politycznej debaty. Decydowanie o losie fabryk to przecież od dawien dawna prawo zastrzeżone dla porozumień zawieranych w trójkącie: polityka – biznes – związki zawodowe. A próba wydarcia władzy temu trójkątowi przez sędziów jest niczym innym, jak formą ustrojowego puczu przeciw dotychczasowemu podziałowi władzy w demokratycznych społeczeństwach.

Prawdę mówiąc, nawet z czysto logicznej perspektywy, przyznanie takiej władzy sędziom wygląda na jakiś absurd. Gdyby Europa była „normalna", tzn. rządziliby nią politycy gotowi bronić praw demokratycznej polityki, to zapewne najbliższe zebranie Rady Europejskiej przyjęłoby konkluzję, wedle której albo sędziowie porzucą swój plan przejęcia zwierzchniej władzy nad gospodarką, albo Europa dokona zgodnej korekty traktatów, blokującej sędziowską ekspansję. Wiemy oczywiście, że tak się nie stanie. I to też jest charakterystyczny symptom nowych i niepewnych czasów, w których Polska musi się uczyć żyć w całkiem innej i nieznanej nam dotąd Europie.

eprasa.pl 1499ff6129

Naszą intencją nie było nawoływanie do polexitu

Przy obecnym modelu UE dogonienie Europy Zachodniej będzie coraz trudniejsze. Według ekspertów Komisji Europejskiej szklany sufit napotkamy ok. 2045 r. na poziomie 85 proc. średniej PKB w UE. Jeśli nic się nie zmieni, Zachodu nie dogonimy nigdy

Z prof. Tomaszem Grzegorzem Grossem, współautorem głośnego raportu „Saldo transferów finansowych między Unią Europejską a Polską", rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski

Z raportu pana profesora i profesora Zbigniewa Krysiaka wynika, że zachodnie państwa bardziej zyskały na akcesji Polski do Unii Europejskiej niż sama Polska oraz że taki model gospodarczy wspólnoty nadal funkcjonuje.

Tomasz Grzegorz Grosse: Już w czasie transformacji lat 90. przyjęliśmy model rozwoju, który bazuje na inwestycjach zagranicznych i zewnętrznych technologiach. W mniejszym stopniu budowano własny potencjał ekonomiczny, czyli np. siłę konkurencyjną krajowych przedsiębiorstw, a transformację oparto główne na prywatyzacji wielu sektorów gospodarczych i modernizacji dokonywanej przez korporacje zachodnie. Ten model – określany przez ekonomistów jako egzogeniczny lub „rozwoju zależnego" – został jeszcze bardziej pogłębiony w trakcie integracji z UE.

Skąd ta asymetria? Czy ten model funkcjonowania Unii był od początku skażony nierównowagą?

Nie była to kwestia przypadku. Weszliśmy w orbitę wpływów geopolitycznych świata zachodniego, a ten wprowadzał asymetrię relacji ekonomicznych. Wszyscy, także Polska, odnosili korzyści, jednak miał tu miejsce pewien charakterystyczny mechanizm. Badania amerykańskiej izby handlowej przy UE (American Chamber of Commerce) pokazują, że korzyści wynikające z udziału w rynku wewnętrznym są trzykrotnie większe dla Niemiec niż przykładowo dla Polski, co było mierzone wzrostem PKB w przeliczeniu na głowę mieszkańca. Przywoływane w naszym raporcie szacunki samej Komisji Europejskiej lub Parlamentu Europejskiego także wskazują, że korzyści z rozszerzenia Unii są asymetryczne. Kwestią sporną jest tylko to jak bardzo na rzecz zachodniej części kontynentu. Thomas Piketty wspomina, że wprawdzie korzyści ekonomiczne i transfery unijnych funduszy europejskich wyraźnie wspierają PKB w krajach Grupy Wyszehradzkiej, ale transfery w postaci dywidend i zysków korporacji zachodnich do swoich siedzib są dwukrotnie większe. Według słynnego francuskiego ekonomisty w Polsce w latach 2010–2016 napływ środków unijnych wynosił 2,7 proc. PKB, jednocześnie odpływ zysków finansowych z naszego kraju wyniósł 4,7 proc. PKB. W przypadku Czech napływ środków UE był zbliżony do 2 proc. PKB, odpływ zysków zachodnich inwestorów z tego państwa wyniósł zaś 7,6 proc. Nierównowaga transferów jest więc oczywista.

Wasz raport wywołał oburzenie w debacie publicznej.

Krytycy dowodzili, że nie można łączyć transferów funduszy europejskich z przepływem zysków z Polski na Zachód. Ale na Zachodzie takie szacunki powstają i nikogo to nie dziwi. Zrobił tak wspomniany już Thomas Piketty, uznawany za

eprasa.pl 1499ff6129

najlepszego europejskiego ekonomistę. Wrzawa wokół raportu często nie miała związku z naszymi głównymi tezami. Naszą intencją nie było ani wchodzenie w spory między partiami politycznymi, ani nawoływanie do polexitu. Nie jestem politykiem, ale uważam, że mam prawo, a nawet powinienem zwracać decydentom uwagę na problemy strategiczne istotne dla naszego kraju. Jeśli polityk z Parlamentu Europejskiego prosi o taką poradę, to uważam, że jako naukowiec mam taki obowiązek.

Polskie elity nie wyobrażają sobie możliwości krytykowania Unii Europejskiej ani nawet dyskutowania o niej.

A przecież my nie twierdzimy, że Polska nie odniosła korzyści z akcesji do UE. W raporcie jest wiele dowodów, że gospodarka się rozwija, że korzystamy na rynku wewnętrznym, zwłaszcza w segmencie usług. Jeśli się jednak okazało, że mamy nierównowagę zysków Polski i zachodniej Europy, to jest to przesłanka do dyskusji publicznej, jak to zmienić, jak uczynić naszą obecność w UE bardziej korzystną. Tym bardziej że jesteśmy świadkami postulatów w Europie Zachodniej, aby zmniejszyć lub nawet zawiesić fundusze europejskie dla Polski, a także obniżyć konkurencyjność polskich usługodawców na rynku UE.

Twierdzą panowie, że ta asymetria szkodzi nie tylko Polsce lub też krajom Europy Środkowo-Wschodniej, ale szerzej całej wspólnocie.

Nierównowagi ekonomiczne w Unii są suboptymalne dla rozwoju całego kontynentu, ale też wprowadzają napięcia polityczne, tak jak to jest w przypadku strefy euro. Przecież kraje południa Europy i Francja domagają się zwiększenia transferów finansowych na południe. Chcą przede wszystkim zbalansować unię walutową, uważając, że w ujęciu strategicznym nierównowagi ekonomiczne w tej strefie mogą zagrozić jej istnieniu. W podobny sposób można spojrzeć na relacje między Polską a Europą Zachodnią. Mało tego, obserwujemy z pewnym zaniepokojeniem, że ze względu na trudną sytuację w strefie euro nasz region i jego potrzeby zostały przesunięte na dalszy plan. Fundusze europejskie w coraz większym stopniu są przekazywane na południe strefy euro. Polska będzie coraz silniej partycypować w funduszach kierowanych do takich państw, jak Włochy, Hiszpania i Francja. Wydaje się więc uzasadnione, aby o przepływach finansowych w UE dyskutować.

> Korzyści z rozszerzenia Unii są asymetryczne. Np. badania amerykańskiej izby handlowej przy UE pokazują, że korzyści wynikające z udziału w rynku wewnętrznym są trzykrotnie większe dla Niemiec niż przykładowo dla Polski

Wspominając o kosztach obecności w UE, mówimy o nierównowadze transferów. Jakie jeszcze konsekwencje ma ten model gospodarczy Unii?

Polska gospodarka zbyt mocno opiera się na funduszach europejskich oraz inwestycjach zachodnioeuropejskich. W niewystarczającym stopniu generujemy oszczędności krajowe, które można przeznaczyć na inwestycje. Ten egzogeniczny model rozwoju dodatkowo się wyczerpuje, gdyż rosną u nas koszty pracy, a polityka klimatyczna UE zwiększa koszty produkcji. Nawet wyliczenia Komisji Europejskiej wskazują, że przy obecnym modelu dogonienie Europy Zachodniej czy nawet średniej w UE będzie coraz trudniejsze. Według ekspertów Komisji szklany sufit napotkamy ok. 2045 r. na poziomie 85 proc. średniej PKB w UE (według parytetu siły nabywczej i w przeliczeniu na głowę mieszkańca). Jeśli nic się nie zmieni, Zachodu nie dogonimy nigdy.

W raporcie spotykamy się z tezą, że Unia wymaga reformy, bo na obecnej drodze rozwoju staje się mniej konkurencyjna na rynkach światowych. A czego wymaga polska polityka dla zadbania o nasze interesy?

Powinniśmy uczynić z Polski regionalne centrum dla Europy Środkowo-Wschodniej. Mamy ku temu wszelkie dane. Dlatego w naszym raporcie sugerujemy, by władze publiczne w większym stopniu stymulowały ekspansję gospodarczą polskich przedsiębiorstw w regionie. Naszą ambicją powinna być budowa silnego centrum finansowego, które byłoby naturalnym punktem grawitacji w Europie Środkowej. Podobnie czynią Niemcy we Frankfurcie czy Francuzi w Paryżu. Trzeba też zdać sobie sprawę, że przyjęcie przez nas waluty euro pogłębi opisywane w raporcie asymetrie, a wzmacnianie złotego pomoże w wymianie gospodarczej w regionie. Przydałaby się jego digitalizacja. Dla takich działań istnieją pewne zagrożenia, np. niemiecko-francuski projekt unii rynków kapitałowych, która wzmocni ośrodki finansowe w Europie Zachodniej, a zapewne utrudni budowę centrum finansowego w Warszawie. Jeden z krytyków naszego raportu nawet uznał, że realizacja unii rynków kapitałowych wymagałaby zwiększenia transferów z UE – jako rekompensat dla Polski. To jest dokładnie taka sama logika, jaką zastosowaliśmy w naszym raporcie. Fundusze unijne są formą rekompensaty za odpływ kapitału z Polski wynikający z liberalnych zasad funkcjonujących na rynku wewnętrznym UE.

Wasze wnioski są zgodne z założeniami powołania Grupy Wyszehradzkiej czy wspólnoty Trójmorza.

eprasa.pl 1499ff6129

I właśnie z takimi partnerami powinniśmy zwiększać wymianę handlową. Europa Środkowo-Wschodnia ma ogromny niewykorzystany potencjał, a stymulowanie inwestycji i wymiany gospodarczej na tym rynku mogłoby zmniejszyć zależność od gospodarek zachodnioeuropejskich, zwłaszcza niemieckiej. Nie chodzi przy tym o zrywanie więzi z korporacjami zachodnimi, lecz raczej o dywersyfikację kierunków rozwoju gospodarczego. Osobiście zgadzam się z wieloma kierunkami modernizacji proponowanej przez UE, ale uważam, że mamy prawo dostosowywać te zmiany do potrzeb własnej gospodarki. Ratujmy klimat, owszem, dokonujmy transformacji energetycznej, ale opierajmy to na własnych technologiach, a nie wyłącznie tych zachodnioeuropejskich, a także zmniejszajmy zależność od zewnętrznych dostaw surowców. Dostosowujmy tempo zmian do uwarunkowań krajowych. Powinniśmy zmienić filozofię modernizacji lansowanej w Polsce przez Brukselę. Powinna ona być przede wszystkim korzystna dla nas.

Południe Europy jest w Unii dłużej niż nasz region, ma więcej politycznych argumentów na zwiększenie funduszy dla siebie. Nas Bruksela nie chce słuchać.

A jednak dyskusja o strefie euro pokazuje, że jeżeli się konsekwentnie zwraca uwagę na nieprawidłowy rozwój Unii, to zwiększa się swoją pozycję negocjacyjną. Dominacja unijnego centrum nad peryferiami to mechanizm, który w dłuższej perspektywie nie jest dobry dla nikogo – także dla najsilniejszych graczy. My chcemy, żeby Europa była bardziej konkurencyjna w stosunku do największych rywali, zwłaszcza Chin czy Stanów Zjednoczonych, a bardziej optymalny model rozwoju całej Unii jest tu pożądany.

Jak to możliwe, że na temat tak oczywisty – kształtowania Unii w duchu symetrycznych korzyści – w Polsce zaczynamy rozmawiać dopiero półtorej dekady po przystąpieniu do UE?



Fot. Mateusz Grochock/East News

Polscy i zagraniczni ekonomiści już wcześniej zwracali uwagę na te procesy, na to, że istnieje nierównowaga pomiędzy transferami finansowymi między nami a Europą Zachodnią. Nasz raport stał się głośny za sprawą awantury politycznej i przypisania nam intencji promowania polexitu, co jak wspomniałem, nie jest prawdziwe. Wolałbym, aby skutkiem tej wrzawy było rozpoczęcie debaty na temat kształtu naszych relacji z UE oraz zwiększenia korzyści naszej obecności we wspólnocie. Chciałem też wywołać temat zmiany modelu rozwoju gospodarczego, z egzogenicznego na endogeniczny. Wcześniej czy później będziemy musieli podjąć na poważnie tę dyskusję.

eprasa.pl 1499ff6129

Bezużyteczni prezydenci

Co dla Polski, a co dla siebie robią Lech Wałęsa, Aleksander Kwaśniewski i Bronisław Komorowski? Czy wzmacniają wizerunek naszego kraju na świecie?



STANISŁAW JANECKI

Żadne albo wręcz niekorzystne dla Polski skutki wywołują działania byłych prezydentów – Lecha Wałęsy, Aleksandra Kwaśniewskiego i Bronisława Komorowskiego. Po odejściu z urzędu dwóch pierwszych zajmowało się wyłącznie zarabianiem pieniędzy, i to za wszelką cenę, Komorowski zaś robił bardzo mało, gdyż poza Polską nie jest znany ani poważnie traktowany.

Lech Wałęsa przez lata korzystał z wizerunku „legendy Solidarności", laureata Pokojowej Nagrody Nobla i wyzwoliciela Europy Wschodniej od komunizmu, lecz poza inkasowaniem za to pieniędzy („wykłady") ani nie był w stanie lobbować na rzecz Polski, ani tworzyć pozytywnego obrazu naszego kraju. A często był wręcz pośmiewiskiem z powodu swoich zachowań i „odlotowych" wypowiedzi (np. o kosmitach, co kilka tysięcy lat robiących rewolucję na Ziemi). Degradacja Wałęsy w czasie pandemii i wysiłki, żeby zarobić nawet niewielkie sumy, jeszcze pogłębiły obraz osoby żałosnej, niekompetentnej i szkodzącej wizerunkowi Polski.

Aleksander Kwaśniewski po zakończeniu dwóch kadencji prezydenckich zaczął lobbować, ale nie na rzecz Polski. Bronisław Komorowski po odejściu z urzędu jest emerytem, od czasu do czasu komentującym politykę w polskich mediach. Bez znajomości i wpływów za granicą jest bezużyteczny dla polskich interesów. A z powodu swoich dziwnych wypowiedzi nie jest w ogóle brany pod uwagę jako doradca czy osoba, o której zdanie warto zabiegać.

W przeciwieństwie do emerytowanych głów innych państw byli polscy prezydenci funkcjonują wyłącznie jako łasi na pieniądze egoiści. Co o tyle przykre, że Lech Wałęsa był znany w skali globalnej, Aleksander Kwaśniewski zaś traktowany poważnie, przynajmniej gdy chodzi o kwestie Europy Środkowej i Wschodniej. Dla Polski jej byli prezydenci albo nie są w stanie nic zrobić, albo nie chcą, albo nie mają takich możliwości. W mediach goszczą głównie jako celebryci bądź wtedy, gdy zrobią lub powiedzą coś budzącego zdumienie. Najbardziej aktywny jest Aleksander Kwaśniewski, lecz to on korzysta na sprawowanej w latach 1995–2005 funkcji, a nie Rzeczpospolita. Nawet gdy mówi rzeczy rozsądne i warte rozpowszechniania za granicą. Ale to wszystko przykrywa jego wieloletnia pogoń za pieniędzmi, co sprawiało, że pracował nawet na rzecz krwawego dyktatora.

Oto, co robili byli prezydenci po odejściu ze stanowiska.

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI

Po odejściu z najwyższego urzędu w Polsce Aleksander Kwaśniewski doradzał miliarderowi Janowi Kulczykowi, z którym wiele go łączyło wtedy, gdy biznes-

Fot. praszkiewicz/Shutterstock, paparazzza/Shutterstock, Drop of Light/Shutterstock, Naumov S/Shutterstock

eprasa.pl 1499ff6129



men działał na styku z państwem, a były lider SdRP i SLD był głową tego państwa. Sporo o tym dowiedziała się polska opinia publiczna pod koniec 2004 r., gdy ujawniono notatki polskiego wywiadu dotyczące spotkania w lipcu 2003 r. w Wiedniu Jana Kulczyka z Władimirem Ałganowem, rosyjskim agentem działającym w Polsce w latach 90. Kwaśniewski zasiadał w międzynarodowej radzie doradców firmy Kulczyk Investments. Wraz z byłym prezydentem Niemiec Horstem Köhlerem i emerytowanym generałem Jamesem L. Jonesem, w latach 2009–2010 doradcą prezydenta Baracka Obamy ds. bezpieczeństwa narodowego. Kwaśniewski miał otrzymywać z tego tytułu ok. 200 tys. dol. rocznie.

Krótko po odejściu z urzędu Aleksander Kwaśniewski został dobrze opłacanym przewodniczącym zarządu założonej przez Wiktora Pinczuka fundacji Yalta European Strategy. Pinczuk, zięć byłego prezydenta Ukrainy Leonida Kuczmy, był jednym z najbardziej wpływowych ukraińskich oligarchów. „Pinczuk pieniądze ma, a ja ich nie mam" – tłumaczył po ujawnieniu informacji o płatnym doradzaniu oligarsze (w Radiu Tok FM) Kwaśniewski. Mówił, że korzysta z pomocy ukraińskiego oligarchy m.in. dlatego, że w Polsce trudno mu znaleźć sponsora dla jego działań o zasięgu międzynarodowym. Kwaśniewski był też przewodniczącym Europejskiej Rady ds. Tolerancji i Pojednania, której fundatorem jest Wiaczesław Mosze Kantor, rosyjski biznesmen żydowskiego pochodzenia, prezes Europejskiego Kongresu Żydowskiego, ale przede wszystkim współwłaściciel firmy Acron, która próbowała przejąć udziały w polskiej Grupie Azoty. W 2007 r. Kwaśniewski mówił: „Moja fundacja podpisuje porozumienia z partnerami, np. ze środowisk żydowskich, bo pracujemy na rzecz pojednania polsko-żydowskiego, amerykańskimi, ponieważ jesteśmy zainteresowani rozwojem współpracy euroatlantyckiej". Polska tyle z tego miała, że mogła utracić kontrolę nad jedną ze strategicznych firm.

Najbardziej znacząca, a jednocześnie z wielu względów wątpliwa była „fucha" Kwaśniewskiego w Międzynarodowej Niezależnej Grupie Doradczej przy prezydencie Kazachstanu Nursułtanie Nazarbajewie (sam ustąpił z tej funkcji 20 marca 2019 r., ale nie przestał mieć wpływu na to, co się dzieje w państwie). Ta „fucha" przez lata gwarantowała Kwaśniewskiemu stałe i wysokie dochody. Nazarbajew rządził Kazachstanem od 1991 r., gdy była sowiecka republika ogłosiła niepodległość. Rządził też w czasach ZSRS, gdy był sekretarzem generalnym partii komunistycznej w republice. Po 1991 r. dowolnie zmieniał pod siebie konstytucję, mógł nakazać parlamentowi właściwie wszystko (np. zmianę nazwy stolicy kraju z Astany na Nursułtan, nadanie mu tytułu Wodza Narodu i zapewnienie właściwie dożywotniej władzy – w roli honorowego prezydenta) oraz immunitetu od odpowiedzialności karnej.

Po 1991 r. OBWE nie uznało żadnych wyborów w Kazachstanie za demokratyczne. Zwyciężała w nich zawsze partia prezydenta, a on decydował, jaka siła polityczna będzie w danej kadencji odgrywać rolę opozycji. Realna opozycja była przez Nazarbajewa prześladowana, a jej działacze nawet mordowani. Nazarbajew nie miał żadnych problemów z wydaniem polecenia strzelania do protestujących robotników, choćby w mieście Żanaozen. Dla Kwaśniewskiego Nazarbajew miał jedną zaletę – posiadał pieniądze i chciał je wydawać na doradców takich jak on. Dyktatorskie rządy, łamanie praw człowieka i prześladowanie opozycji miały znaczenie marginalne. Kwaśniewski mógł zarobić u Nazarbajewa kilka milionów dolarów.

Były polski prezydent doradzał też ukraińskiemu oligarsze Mykole Złoczewskiemu. W 2002 r. założył on spółkę Burisma Holdings, zajmującą się wydobyciem ropy i gazu. Szybko stała się ona jednym z największych producentów ropy i gazu na Ukrainie, gdyż Złoczewski otrzymał licencję na eksploatację trzech głównych złóż w kraju oraz dostęp do gazociągów. Politycznie osłaniało go członkostwo w Partii Regionów i finansowanie Wiktora Janukowycza. Za to został ministrem ekologii (2010–2012) i przyznał sobie licencję na eksploatację kolejnych złóż ropy i gazu. Burisma szybko stała się drugą pod względem wielkości prywatną spółką wydobywającą gaz i ropę na Ukrainie. Gdy skończyła się władza Janukowycza, za Złoczewskim wydano list gończy. Przebywał wtedy w Monako. Potrzebował międzynarodowej osłony i „ubezpieczenia", więc zaprosił do rady dyrektorów (organu nadzorczego Burismy) kilka znanych postaci z zagranicy. W tym gronie znalazł się Aleksander Kwaśniewski. Obok byłego polskiego prezydenta pieniądze od Burismy brał m.in. Hunter Biden, syn ówczesnego wiceprezydenta USA Joe Bidena. „Jestem byłym politykiem, który to, co ma, to jego wiedza, doświadczenie. I jeżeli ktoś jest tym zainteresowany, a są to ludzie poważni, to nie widzę powodów, by nie dzielić się tym doświadczeniem czy wiedzą. I jeżeli jeszcze są pieniądze, które mogę zarobić, to też nie widzę w tym

eprasa.pl 1499ff6129

żadnego problemu" – mówił Kwaśniewski po ujawnieniu w 2014 r. informacji o jego pracy dla Złoczewskiego. Biden dostał od Złoczewskiego łącznie ok. 3 mln dol., Aleksander Kwaśniewski zaś milion euro (na konto w PKO BP). W aktach ukraińskiego śledztwa w sprawie Złoczewskiego wskazano, że pieniądze dla Bidena juniora oraz dla Kwaśniewskiego „pochodzą z przestępstwa".

Holdingiem Burisma zainteresował się prokurator generalny Ukrainy Wiktor Szokin, co zagroziło synowi Joego Bidena, więc ojciec, obecny prezydent USA, naciskał na władze Ukrainy, by Szokina wyrzucić. I Szokin został zdymisjonowany (w marcu 2016 r.). Sam Joe Biden tak o tym mówił w styczniu 2018 r.: „Powiedziałem im: »Nie damy wam miliarda dolarów«. A oni mi mówią: »Nie ma pan takich pełnomocnictw, nie jest pan prezydentem, a prezydent mówił, że da«. Odpowiedziałem: »Zadzwońcie do niego. Mówię wam, że nie dostaniecie miliarda dolarów«. Popatrzyłem na nich i powiedziałem: »Wyjeżdżam za sześć godzin i jeśli do tego czasu nie zdymisjonują waszego prokuratora generalnego, tego sukinsyna, nie dostaniecie pieniędzy«. I zwolnili go. I nominowali tego, który w tym momencie pasował".

Aleksandrowi Kwaśniewskiemu nie przeszkadzało ani to, jak Złoczewski zdobywał majątek i wpływy, ani toczące się przeciw niemu śledztwa. Nie przeszkadzały mu też działania Joego Bidena, by ratować syna i samego siebie. Liczyły się tylko pieniądze. W żaden sposób nie zdyskontował znajomości z Bidenem juniorem, nie mówiąc o tym, że mógł ją wykorzystać dla dobra Polski.

LECH WAŁĘSA

Choć był dużo bardziej znany za granicą niż Kwaśniewski, miał znacznie mniejsze możliwości spożytkowania swoich „fuch" dla dobra Polski, bo poza ojczyzną lansował wyłącznie siebie, nawet chyba nie myśląc o promowaniu Polski. A okazji trochę miał. W 2008 r., głównie dzięki ówczesnemu premierowi Donaldowi Tuskowi, został członkiem unijnej rady mędrców. Ta 12-osobowa „grupa refleksji" miała znaleźć rozwiązania w sprawie przyszłości Unii Europejskiej. Pomysłodawcą był ówczesny prezydent Francji Nicolas Sarkozy, a jej przewodniczącym został były socjalistyczny premier Hiszpanii Felipe González. Poza Lechem Wałęsą w grupie znaleźli się m.in. była prezydent Łotwy Vaira Vike-Freiberga, były unijny komisarz ds. konkurencji Mario Monti (Włochy), polityk niemieckiej CDU Wolfgang Schuster, była szefowa francuskiej socjalistycznej centrali związkowej CFDT Nicole Notat, Richard Lambert, były redaktor naczelny dziennika „Financial Times", oraz Jorma Ollila, były prezes fińskiego koncernu Nokia.

Rada Mędrców miała określić problemy, przed jakimi do 2030 r. stanie zjednoczona Europa, oraz sposoby radzenia sobie z nimi. Udział Wałęsy w tym gremium był raczej groteską, gdyż jego „mądrości" wywoływały albo politowanie, albo żarty. Na pewno nie służyły wizerunkowi Polski jako poważnego państwa. I to był właściwie jedyny „poważny" epizod w karierze Lecha Wałęsy po prezydenturze.

> W przeciwieństwie do emerytowanych głów innych państw byli polscy prezydenci funkcjonują wyłącznie jako łasi na pieniądze egoiści. Co o tyle przykre, że Wałęsa był znany w skali globalnej, Kwaśniewski zaś traktowany poważnie, przynajmniej gdy chodzi o kwestie Europy Środkowej i Wschodniej

W listopadzie 2020 r. Lech Wałęsa oświadczył: „Jestem bankrutem! Żona pyta o pieniądze, a ja ich nie mam". Wszystko wydał, a tego wszystkiego mogło być nawet kilkadziesiąt milionów złotych. Przyznał, że to, co miał, rozdał „rodzinie, znajomym i Kościołowi". A to dlatego, że utrzymuje kilkanaście osób, głównie rodziny swoich dzieci. Płacił nawet alimenty za jednego z synów.

Przez lata źródłem utrzymania byłego prezydenta RP były wykłady wygłaszane za granicą i bazujące na legendzie Solidarności oraz pokojowym Noblu. Sam Wałęsa twierdził, że za jeden wykład zagraniczny dostawał od 10 do 100 tys. dol. Ale większość tych pieniędzy przeznaczał ponoć na działalność instytutu swojego imienia. Gdy ogłosił, że jest bankrutem, wyjaśniał: „Liczyłem, że tak jak było, będzie zawsze, więc rozdawałem, a nie gromadziłem. Dzisiaj już nie mam co rozdawać. Potrzebne mi to, ale chyba nie dożyję czasów, kiedy znowu będę mógł wsiąść do samolotu i polecieć na drugi koniec świata spotykać się z ludźmi".

Wszystko zepsuła pandemia. Przed zarazą Lech Wałęsa miał przeciętnie jeden wykład w tygodniu, co by oznaczało, że rocznie miał z tego źródła ok. 2 mln zł (przed opodatkowaniem). Niestety Polska miała z jego wykładów tyle, że wielu ludzi wcześniej przychylnych naszemu krajowi i samemu Wałęsie ze zdumieniem pytało, jak ktoś taki mógł być głową dużego państwa.

BRONISŁAW KOMOROWSKI

Jako prezydent nie był nawet w ułamku procentu tak znany na świecie jak Lech Wałęsa czy Aleksander Kwaśniewski. Z rzadka miewał wykłady i mógł liczyć na wynagrodzenie rzędu 3–5 tys. dol. za jeden. To drobne „na waciki" w stosunku do tego, co otrzymują byli prezydenci USA.

George W. Bush za jedno wystąpienie dostawał 100–150 tys. dol. (tygodniowo wygłaszał nawet trzy). Bill Clinton za wykład inkasował od 200 do 700 tys. dol., a Barack Obama 400–800 tys. dol. (prezydenci USA otrzymują emeryturę w wysokości 200 tys. dol. rocznie). Ale w ich przypadku, podobnie jak to jest z innymi emerytowanymi głowami państw, ponad pieniędzmi był interes, wpływy i wizerunek państwa. Dla byłych polskich prezydentów kasa jest najważniejsza. A pęd do jej zdobywania sprawia, że częściej Polskę kompromitują, niż działają dla jej dobra. Są to źle wykorzystane zasoby, choć może inaczej być nie mogło, gdy wziąć pod uwagę ich biografie, uwikłania i „osiągnięcia".

Reklama | 31/0821/F

eprasa.pl 1499ff6129

WŁĄCZ RMF Classic



I ZMIEŃ SWÓJ ŚWIAT



NAJPIĘKNIEJSZA MUZYKA FILMOWA
– GDZIEKOLWIEK JESTEŚ

rmfclassic.pl

eprasa.pl 1499ff6129

Gdzie jest ołtarzyk Tuska?

Pojawia się i znika. W zależności od potrzeb, sondaży i ogólnego klimatu. Chodzi o krzyż i tzw. ołtarzyk w domu Donalda Tuska, a szerzej o podejście lidera PO do kwestii wiary i religijności



DOROTA ŁOSIEWICZ



W normalnych okolicznościach to, czy ktoś ma w domu krzyż, czy go nie ma, byłoby prywatną sprawą danej osoby. Jednak temat staje się kwestią publiczną wówczas, gdy osoba, o której mowa, w tym przypadku Donald Tusk, używa symboli religijnych dla własnych korzyści politycznych. Raz się one pojawiają, a raz znikają i nikt już nie wie, pewnie włącznie z samym bohaterem tej historii, co jest prawdą.

„W 2007 r. Tusk zrobił w domu ołtarzyk, dziś mówi, że chce zdjąć krzyż w Sejmie i że miejsce krzyża jest w kościele. Zmienia zdanie w zależności od badań opinii publicznej" – mówił w „Kwadransie politycznym" TVP wicemarszałek Senatu Stanisław Karczewski.

Większość czytelników bez wątpienia pamięta ołtarzyk, o którym wspominał senator. Rok 2007. Mieszkanie w Sopocie. Świeżo upieczony premier Donald Tusk, jego żona Małgorzata i córka Katarzyna pozują do fotografii przy biurku, na którym stoi m.in. duży krzyż, obraz Jezusa Miłosiernego, a obok szopka i figurka świętego. Kilka lat później, w 2013 r., na tle tego samego biurka przeprowadza z Tuskiem wywiad Agata Młynarska. Wywiad jest świąteczny, ale już stylistyka miejsce zupełnie inna. Na zdjęciu w tle widać ten sam kącik bez krzyża i obrazów. W ich miejscu na biurku stoją zdjęcia w białych ramkach, a szopkę zastąpił bałwanek. Wszystko wygląda laicko, bez religijnych akcentów. Zdjęcie z 2007 r. było zrobione „na polski" rynek i użytek. W 2013 r. Tusk już myślał o unijnej karierze i szykował się na brukselskie salony. Wizerunek konserwatysty, „katola" mógłby być obciążeniem w ubieganiu się o stanowisko szefa Rady Europejskiej.

Niedawno temat owego krzyża znów powrócił. Jedna z uczestniczek czatu z liderem PO zapytała go, gdzie zniknął krzyż, z którym fotografował się w 2007 r. Tusk zapewnił, że wciąż jest w jego domu. „Krzyż tam gdzie był, tam jest. W moim życiu nic się nie zmieniło – odparł i natychmiast zaatakował Kościół. – Wielu biskupów pokazało, że Kościół, ten instytucjonalny, się zmienił".

CUD NAWRÓCENIA

Rzeczywiście w życiu Tuska nic się chyba nie zmieniło i w zależności od potrzeb wciąż gra symbolami religijnymi. Kiedyś były premier chętnie się chwalił zdjęciami ze Janem Pawłem II. Na jednym z nich widać młodego Tuska z żoną i kilkuletnią córką klęczących przed Ojcem Świętym podczas audiencji generalnej. Na innym Tusk żarliwie całuje Jana Pawła II w pierścień. To drugie zdjęcie pochodzi z 11 czerwca 1999 r. Wówczas, w 10. rocznicę demokratycznych zmian z 1989 r., do Sejmu zawitał papież Polak. To właśnie pod wpływem Jana Pawła II lider PO, jak twierdził, miał wziąć ślub kościelny w 2005 r. Ten cywilny z Małgorzatą Sochacką zawarł w 1978 r. W kolejnych latach jakoś nie przeszkadzało parze to, że nie był to związek sakramentalny. Na świecie pojawiły się dzieci – Michał i Katarzyna. Ale coś się zmieniło przed wyborami prezydenckimi 2005 r., w których Tusk kandydował – para nagle zdecydowała się na ślub kościelny. Uroczystość odbyła się w Katedrze Oliwskiej, a sakramentu udzielił abp Tadeusz Gocłowski. „Nie ukrywam, że największe znaczenie miały moje rozmowy i spotkania z arcybiskupem Gocłowskim i przyjaciółmi. To oni przekonywali mnie, że mój powrót do Kościoła ma głęboki sens" – mówił wówczas Tusk.

W 2011 r., wspominając pogrzeb Jana Pawła II, Tusk stwierdził w jednym z wywiadów: „Nie byłem żarliwym katolikiem, jednak to doświadczenie, osobiste spotkania, ale przede wszystkim jego śmierć [JP II – przyp. red.], to było coś, co mnie przywróciło do Kościoła – mówił premier w jednym z wywiadów. Z kolei trzy lata później, będąc z wizytą w Radomiu, opowiadał: „Byłem świadkiem nadzwyczajnych cudów związanych z Ojcem Świętym. [...] To, co się działo z nami, to, co się działo w Polsce, jest w najlepszym

Fot. Maciej Kosycarz / KFP

eprasa.pl 1499ff6129

tego słowa znaczeniu cudem. Nie akceptuję w żaden sposób tonacji drwiny albo ironii, kiedy mówimy o kanonizacji Jana Pawła II, bo czy jest się wierzącym, niewierzącym, świeckim, duchownym, to co do cudu, jaki nam się zdarzył tutaj, w Polsce, dzięki obecności Jana Pawła II, ja nie mam żadnych wątpliwości. Sam je widziałem na własne oczy".

WRÓG KRZYŻA

Ten sam Tusk, który widział cuda na własne oczy, w 2021 r. nie widzi już miejsca dla krzyża w przestrzeni publicznej: „W szkołach czy urzędach nie powinno być krzyży, to powinny być miejsca wzajemnego respektu i szacunku, niezależnie od tego, czy ktoś jest wierzący czy nie". Słowa te współbrzmią z jego deklaracją z 2011 r. „Ten rząd i przyszły, jeśli wygramy wybory, nie będzie się nisko kłaniał ani bankierom, ani związkowcom, nie będziemy klęczeli przed księdzem. Do klęczenia jest kościół. Przed Bogiem, a nie przed księdzem" – mówił Tusk na konwencji z okazji 10. rocznicy Platformy Obywatelskiej. Dziesięć lat później, na wiecu na Długim Targu w Gdańsku, posłużył się podobną retoryką, atakując Prawo i Sprawiedliwość za politykę wobec Kościoła. „Oni głoszą wszem wobec, że są katolikami, że wierzą w Boga i Boga mają w sercu. Nikt tak bardzo nie przyczynił się do upadku Kościoła w Polsce, jak rządy PiS-u przez sześć lat. Komuniści 40 lat nie dali rady".

Ten sam Tusk, który kiedyś cieszył się z powrotu na łono Kościoła, po latach promował w Brukseli liderkę tzw. Strajku Kobiet Martę Lempart. Sam szef PO wrzucił wówczas do sieci zdjęcie w maseczce z symbolem zwolenniczek aborcji. Nie przeszkadzało mu wówczas, że to podczas awantur tzw. Strajku Kobiet atakowano i niszczono kościoły oraz przerywano msze święte. Czerwone pioruny na ulicach były esencją tego, co Jan Paweł II nazywał cywilizacją śmierci.

SYN MARNOTRAWNY?

Jednak podczas tegorocznej wrześniowej konwencji w Płońsku Tusk zaskoczył wszystkich kolejnym zwrotem postawy. Chętnie pocałował chleb, którym został powitany, i wyznał: „Ja ciągle pamiętam, jak moja mama znak krzyża nakreślała na bochenku, zanim go rozkroiła".

Wówczas oniemieli ze zdziwienia wyborcy zaczęli się zastanawiać w mediach społecznościowych, czy przypadkiem lider PO nie zacznie za chwilę śpiewać: „Jak ten chleb, co łączy złote ziarna, niechaj miłość złączy nas ofiarna. Jak ten kielich łączy kropel wiele, tak nas Chryste w swoim złącz Kościele!". To nie był jednak koniec ukłonów w stronę katolików, którym Sławomir Nitras zapowiedział „opiłowanie z pewnych przywilejów". „Niedawno w rodzinie miałem bardzo miłą uroczystość, chrzest, było dużo ludzi z kilku rodzin. [...] Są katolikami, prawie wszyscy, nie chcą być »opiłowani«. Sławek się nie pogniewa, znamy się tyle lat, wiemy, jakim serdecznym i mądrym jest człowiekiem. [...] Naszym przeciwnikiem nie są katolicy, bo przecież my jesteśmy katolikami w dużej większości, nie wpadajmy w schizofrenię" – dodał absolutnie bez cienia schizofrenii Tusk.

> Tusk jest jak obrotowy billboard, który z jednej strony jest dla prawicy, z drugiej dla wyznawców błyskawicy – mówi Marek Suski

Jednak wygląda na to, że spektakl z Płońska na ten moment jest już nieaktualny. Podczas ostatniego czatu, tego „od teściowej", internauci chcieli wiedzieć, czy były premier odegrał „przebierankę", całując chleb na konwencji PO. Tusk przyznał, że był to celowy zabieg. „Mam konkretne zadanie i oczywistą aspirację: żeby wygrać wybory, muszę przekonać Polaków w tych mniejszych miastach" – stwierdził. Zdaniem Tuska, jeśli ktoś powie, że to „propaganda", to „w pewnym sensie" tak jest.

OBROTOWY BILLBOARD

Politycy z prawa i z lewa nie mają wątpliwości, że wszystko, co robi lider PO, jest podyktowane czystą kalkulacją. – Kolejne etapy w karierze Tuska raz z krzyżem na ścianie, raz z błyskawicą na ustach rozmówczyni. Dla każdego coś miłego. Tusk jest jak obrotowy billboard, który z jednej strony jest dla prawicy, z drugiej dla wyznawców błyskawicy. Przed wyborami obraca się, podążając za oczekiwaniami wyborców – komentuje Marek Suski, wiceprzewodniczący klubu parlamentarnego PiS. – A po wyborach pokazuje prawdziwą twarz. Tak było choćby z wiekiem emerytalnym. Kto uwierzy Tuskowi, ten już przepadł. Dziś nawet twierdzi, że program 500+ to ich pomysł. Czy w tej sytuacji można wierzyć w któryś propagandowy wizerunek Tuska? Zawsze przy takim pytaniu przypomina mi się żart o rozszyfrowaniu skrótu: TUSK – Teraz Usłyszycie Same Kłamstwa – żartuje poseł.

Równie krytycznie wolty Tuska oceniane są na lewicy. – To, jak Donald Tusk aranżuje przestrzeń w swoim sopockim mieszkaniu, jest jego prywatną sprawą. Zdarzało się jednak, że sam lider PO robił z wystroju swojego mieszkania sprawę publiczną. Nagłośniony w kampanii prezydenckiej ślub kościelny po kilkunastu latach małżeństwa oraz zdjęcie z domowym ołtarzykiem były symbolami zwrotu PO w prawo i próbą wykreowania tzw. Kościoła łagiewnickiego. Nic z tego nie wyszło. Kościół łagiewnicki okazał się zbiorem pustym – mówi Marcin Kulasek, sekretarz generalny Nowej Lewicy. – Tusk wrócił z Brukseli w wydaniu mocno antyklerykalnym. Jednym z pierwszych jego komunikatów był postulat zdejmowania krzyży. Przyznam, że byłem tym zszokowany. Jestem konsekwentnym zwolennikiem rozdziału Kościoła od państwa, przeniesienia lekcji religii do salek parafialnych, likwidacji przywilejów podatkowych księży i Kościoła, ale rozpoczynanie dyskusji o świeckim państwie od hasła zdejmowania krzyży, to sabotaż. Tusk musiał się na tym sparzyć, stąd radykalny zwrot w prawo na konwencji w Płońsku i opowieść o kreśleniu znaku krzyża na chlebie – dodaje poseł.

Jedno jest w życiu Donalda Tuska niezmienne: jego całkowita zmienność. Jest dokładnie tak, jak napisałam na łamach tygodnika „Sieci" w lipcu. Tusków musi być dwóch. Jeden nie dałby rady aż tak lawirować.

eprasa.pl 1499ff6129

Żmijowisko

Patrzę teraz na wielu moich kolegów i na koleżanki z mediów liberalnych, którzy są flekowani za podważanie antypisowskiego dogmatyzmu, i im współczuję. Boją się, że to żmijowisko ich w końcu dopadnie. A ja mam to już za sobą

Z Rafałem Wosiem, dziennikarzem, publicystą, autorem książek o problematyce ekonomicznej, rozmawiał Goran Andrijanić

„Polityka", Gazeta.pl, a teraz „Tygodnik Powszechny". To redakcje, które przestały z panem współpracować, ponieważ nie pasował pan do ich polityki redakcyjnej, czyli nie był wystarczająco krytyczny wobec PiS. Czy te wydarzenia nie zaczęły już pana frustrować?

Rafał Woś: Przeciwnie. Przestało mnie to frustrować. „Nie, nie żałuję. Przeciwnie. Bardzo im dziękuję" – jak pisała kiedyś Agnieszka Osiecka w piosence dla Edyty Geppert. Dzięki tym moim przygodom nie tylko się zahartowałem, dorosłem, ale też udało mi się przebić tę moją bańkę. Patrzę teraz na wielu moich kolegów i na koleżanki z mediów liberalnych, którzy są flekowani za podważanie antypisowskiego dogmatyzmu, i im współczuję. Widzę, jak przeżywają te ciągłe donosy do naczelnych, te wezwania do zwolnienia ich z pracy wyrażane przez różnych frustratów w mediach społecznościowych, jak boją się, że to żmijowisko ich w końcu dopadnie. W efekcie sami zaczynają się cenzurować. W ten sposób zawęża się punkt widzenia. A ja mam to już za sobą. Mnie się udało tę bańkę przebić i dzięki temu w ostatnich latach zdobyłem bardzo wielu nowych czytelników. Teraz mówię do nich z różnych miejsc. Przede wszystkim z Salonu24.pl, który pod nowym kierownictwem przechodzi właśnie powtórne narodziny. Mamy tu z kolegami i koleżankami z nowej redakcji rozległe plany i chcemy trochę w polskim dziennikarstwie namieszać. A przede wszystkim nie pozwolić odebrać sobie intelektualnej wolności.

Na jaką publikę pan liczy?

Swój przekaz kieruję ostatnio najczęściej do odbiorcy, który ideowo jest gdzieś pomiędzy szeroko zrozumianą lewicą a PiS. W takich rejonach, gdzie okazuje się, że istnieje podobne spojrzenie na bardzo ważne kwestie. Gdzie nie ma obaw przed krytyczną oceną polskiej transformacji. Gdzie wysoko na agendzie jest temat sprawiedliwości społecznej. Gdzie jest miejsce na mocną rolę państwa w rozwijaniu państwa. Gdzie panuje przekonanie, że podatki powinny być bardziej sprawiedliwe. I gdzie nie ma świętości i wolno krytykować nawet przenajświętszą Unię Europejską albo sposoby realizacji przez nią tzw. zielonej rewolucji. To są ostatnio moje tematy.

> Media liberalne przeistoczyły się w fabryki do wytwarzania produktu ze ściśle określoną ilością antypisowskiej trucizny. „Gazeta Wyborcza" daje ją w niemal czystej postaci, „Tygodnik Powszechny" w nieco rozwodnionej

Ilu jest takich czytelników?

Bardzo wielu i są oni jeszcze zupełnie niezagospodarowani. To jest ten świat, który się nazywa czasem alt-leftem albo prawdziwą lewicą. Chodzi o sposób myślenia, który wychodzi od postulatu, że wyzwania ekonomiczne i socjalno-bytowe są podstawową emancypacją człowieka,

eprasa.pl 1499ff6129

a debaty o innych emancypacjach przychodzą dużo później. To jest w zdrowej, ożywczej kontrze do lewicy, która w Polsce (i nie tylko w Polsce) dominuje. Czyli wobec tej, która koncentruje się przede wszystkim – i niestety jak pokazuje aktywność w tej kadencji Sejmu – niemal wyłącznie na kwestiach emancypacji seksualnej i obyczajowej. Taka lewica brnie moim zdaniem w ślepą uliczkę. Ogranicza swój przekaz wyłącznie do bardzo wąskiej grupy społecznej – nazwijmy ją wielkomiejską klasą średnią ze szczególnym uwzględnieniem średnioklasowej inteligencji. Inteligencji, która czuje się lepsza od tego całego pospólstwa, z którym nie chce mieć nic wspólnego. Mam wrażenie, że mój czytelnik, ten z prawdziwej lewicy, po prostu bardzo często zazębia się z czytelnikiem tzw. prawicowym. Mnie to nie przeszkadza. Ja nie walczę przeciw. Ja się upominam o pewne ważne sprawy. O wolność. O równość. O braterstwo.

Może nadszedł czas, aby zaangażować się w jakieś konserwatywne medium?

Mnie jest dobrze tu, gdzie jestem. Jednocześnie mam i zawsze miałem dużo szacunku dla polskich mediów prawicowych. Pamiętam te dźwięki zgrzytania zębów i otwierania kieszonkowych scyzoryków, gdy mówiłem o tym głośno na kolegiach w „Polityce" albo w „Tygodniku Powszechnym". Jak mówiłem im, że od prawicy można się uczyć stawania po stronie słabszego, np. ofiar transformacji. Albo tolerancji na inne poglądy. Jeden z moich dawnych

Fot. Andrzej Wiktor

prasa.pl 1499ff6129

przełożonych napisał nawet kiedyś, że z powodu tego, co mówię, wielu jest w redakcji takich, którzy chcieliby mnie zepchnąć ze schodów. Oczywiście to była taka niezwykle zabawna retoryczna figura. Patrząc na moje dalsze losy w tym szacownym tytule, widać, że chyba jednak nie do końca i nie tak całkiem to było metaforyczne.

Pracowałem zarówno w lewicowych, jak i prawicowych mediach. I twierdzę, że u prawicowców istnieje większy pluralizm opinii. Nie uważa pan?

Ja też pracowałem w różnych redakcjach i też myślę, że w dzisiejszej Polsce w mediach liberalnych istnieje większa jednomyślność opinii i co za tym idzie – mniejsza tolerancja na inność. Wszystko to kłuje w oczy, tym bardziej że media liberalne uwielbiają najwyżej wymachiwać sztandarem pochwały tolerancji i obrony inności. Pisałem o tym kilka razy. Za każdym razem zawsze byłem kontrowany przez kolegów i koleżanki, którzy nie znoszą mediów prawicowych i którzy przekonują mnie, że tak mi się tylko wydaje. I że zbytnio bazuję na osobistym doświadczeniu. Nie wiem, na jakim doświadczeniu oni bazują. Może mają na ten temat badania naukowe? Nie wiem. Nigdy mi ich nie pokazali. Musimy więc poprzestać na starym dobrym „słowo przeciwko słowu".

Co się takiego stało, że pożegnał się z panem również „Tygodnik Powszechny"?

Z grubsza to samo, co w poprzednich redakcjach. Po prostu redakcje, w których pracowałem, nie były w stanie poradzić sobie z dysonansem poznawczym wynikającym z różnorodności opinii, które wnosiłem do ich świata. Zamiast pomyśleć: „Nie zgadzam się z nim", woleli przyjąć: „Jest głupi" albo „Prowokuje dla samej prowokacji". To jest problem stary jak świat. Już w „Antygonie" mamy taką historię, gdy tyran Kreon nie może znieść buntu tytułowej bohaterki. Wyszukuje więc uzasadnienia, które pozwolą mu zachować dobre mniemanie o sobie samym. Zarzuca więc Antygonie próżność, nieuczciwość, przerost ambicji. Ja też takie zarzuty wobec siebie słyszałem. Bo to jest uniwersalne. Tak się niszczy buntowników. Na szczęście mnie nie dało się tak łatwo „skanselować",

> Liberalne środowiska chcą wierzyć, że u nich panuje pełen pluralizm. Tyle że tego pluralizmu od dawna nie ma, bo wywalili i przeklęli wszystkich inaczej myślących

bo nawet w czasie pracy w tych redakcjach miałem grono wiernych czytelników, a moje teksty budziły zaciekawienie. Skończyło się więc rozstaniem. Niestety, to nie jest tylko historia jednego Wosia. Po zwycięstwie PiS w 2015 r. liberałom zaczął się walić świat. W efekcie przestrzeń wolnej myśli w mediach liberalnych zaczęła się dramatycznie zacieśniać. Inaczej myślący byli poddawani różnym rodzajom presji, a na końcu eliminacji. Są tacy, którzy się temu podporządkowali, są też tacy, którzy opuścili redakcję. I w jednym, i w drugim przypadku efekt jest taki, że w tych redakcjach jest dziś mniej wolnej myśl i ożywczego fermentu niż kiedyś. A czytelnik, słuchacz albo widz nie dostanie już innej opowieści niż obowiązująca antypisowska nagonka. Media liberalne przeistoczyły się w ponure fabryki do produkowania wystandaryzowanego produktu ze ściśle określoną ilością antypisowskiej trucizny. „Gazeta Wyborcza" daje ją w niemal czystej postaci, „Tygodnik Powszechny" w nieco rozwodnionej. Ale to ciągle ta sama trucizna. Niestety.

Najbardziej martwi to, że media przestają pełnić funkcję miejsca konfrontowania opinii.

Kiedy wchodziłem do mediów, robiłem to ze świadomością, że ma to być właśnie miejsce spotkania się różnych punktów widzenia. Swoją poważną karierę dziennikarską zaczynałem w „Dzienniku Gazecie Prawnej". Pamiętam dobrze, jak na kolegium pojawił się temat rocznicy katastrofy smoleńskiej i słychać było różne głosy. Od takich, że to tylko wypadek, po te, że istnieją dowody na zamach. I ci ludzie wspólnie robili gazetę. Byłem przekonany, że to jest coś normalnego. Potem jednak zobaczyłem redakcje, które są tak nieznośnie jednomyślne, że przywilej pokłócenia się o sprawy fundamentalne wydawał mi się czymś w rodzaju yeti albo jednorożca. Na szczęście w Salonie24.pl znów się kłócimy. Ostatnio np. była ostra bitwa o uchodźców.

Niedawno Agnieszka Holland ogłosiła publicznie, że zrywa wszelkie kontakty z Waldemarem Kuczyńskim tylko dlatego, że odnosząc się sprawy imigrantów w Usnarzu Górnym, stwierdził, iż „Polska ma prawo bronić swej granicy i obowiązek bronić granicy Unii".

To jest najlepszy dowód na to, jak napędzają się te procesy, które opisuję. Bo jeśli wojowniczo antypisowski Waldemar Kuczyński zostaje atakowany przez równie mocno antypisowską Agnieszkę Holland, to znaczy, że ta debata się tak umocniła, że to środowisko zaczyna zjadać własny ogon. Nie potrafię tego inaczej opisać niż jako rewolucję zjadającą własne dzieci. To jest nieuchronny proces. Liberalne środowiska chcą wierzyć, że u nich panuje pełen pluralizm. Tyle że tego pluralizmu od dawna

eprasa.pl 1499ff6129

nie ma, bo wywalili i przeklęli wszystkich inaczej myślących. Oni potrzebują iluzji pluralizmu, więc najmniejsza nawet różnica urasta do kwestii fundamentalnej. Ale tak naprawdę to jest sekciarstwo. Dziś Holland „kanseluje" Kuczyńskiego, a za chwilę to samo może spotkać ją. Na to wszystko nakłada się fakt, że to środowisko liberalne – do którego należą i Holland, i Kuczyński, medialnie obsługiwane przez „Gazetę Wyborczą", „Politykę, czy Tok FM – nie potrafi się pogodzić z tym, że przegrało kilka wyborów demokratycznych. Oni czują, że są w defensywie i utracili pozycję hegemoniczną, monopol na kształtowanie klimatu opinii. Tutaj mamy do czynienia z elitami kulturotwórczymi, przyzwyczajonymi do tego, że kiedy coś mówią, tak jest. Teraz się okazuje, że ich głos stał się jednym z wielu. I oni są do tego kompletnie nieprzygotowani. I dlatego wpadają w histerię i opisują sytuację w najczarniejszych barwach.

I potem ta histeria rezonuje w dyskusjach publicznych.

Tak. Ale mam wrażenie, że ludzie są mądrzejsi niż elity. W Polsce mamy bardzo mocny etos inteligencji, która widzi siebie jako najważniejszą część społeczeństwa. W związku z tym ta inteligencja bardzo lubi toczyć między sobą boje i posługiwać się intrygami czy podobnymi grami. Na szczęście nie przekłada się to na większość społeczeństwa. Ludzie słuchają tych inteligenckich sporów, ale potem i tak myślą po swojemu. I chwała Bogu.

Tymczasem PO nadal nie chce zrezygnować z swojego konceptu totalnej opozycji.

Też uważam to za nieracjonalnie. Kiedyś nawet próbowałem im to mówić. W naiwnej nadziei, że usłyszą, przemyślą i wyciągną wnioski. Ilekroć jednak krytykowałem opozycję, że sama sobie szkodzi, będąc nadmiernie antypisowska, byłem natychmiast przedstawiany jako pisowski agent. I nic to, że kolejne już wybory oraz sondaże pokazują, że ta droga jest złą drogą. Złą dla nich, bo przegrywają. Najbardziej mnie zadziwia, że absolutnie cała opozycja idzie tą drogą.

Dziwię się temu, że lewica, mimo tak wielu punktów wspólnych z PiS, nie potrafi wypracować sobie innej formuły obchodzenia się z tą partia. Dlaczego umieją tylko powtarzać antypisowskie slogany? Nie wiem. Pewnie ma to związek z tymi czystkami w mediach, które opisałem wcześniej. Wszelkie głosy inne niż „więcej antypisu" zostały wytępione. I dlatego mamy to, co mamy.

Ile się zmieniło od pana tekstu „Lewico, czas na współpracę z PiS" z 2018 r.? Czy wciąż jest przestrzeń do współpracy?

> Zawsze miałem dużo szacunku dla polskich mediów prawicowych. Pamiętam te dźwięki zgrzytania zębów i otwierania kieszonkowych scyzoryków, gdy mówiłem o tym na kolegiach w „Polityce" albo w „Tygodniku Powszechnym"

Ta przestrzeń obiektywnie istnieje. Od 2015 r. PiS realizuje politykę, o której spora część ludzi deklarujących się jako lewica mogła tylko pomarzyć. Projekty takie jak 500+, płaca minimalna na poziomie 50 proc. średniej krajowej, wolne niedziele w handlu. Gdyby lewica chciała posłuchać takich głosów jak mój, to mielibyśmy prawdopodobnie już bardziej progresywne podatki, bo przecież PiS szukało większości w Sejmie dla pierwotnej wersji Nowego Ładu. Większości nie dostało, bo nie wszystkim się te podatki podobają, a lewica odmówiła współpracy. Niestety jest tak wielkie kulturowe obustronne obrzydzenie, że dla wielu ludzi ten pomysł współpracy jest absurdalny. Ma to wiele przyczyn, ale rzeczywistość pokazuje, że gracze nie chcą zmienić swojego sposobu myślenia. Dotyczy to głównie lewicy, ale Jarosława Kaczyńskiego i jego środowiska również.

Jest pan w swoich wizjach i opiniach dość osamotniony. Jaka jest pana motywacja do wytrwania w ich reprezentowaniu?

To nie jest dla mnie problem, bo nie mam ambicji politycznych. Nie chcę być guru żadnego środowiska. Starczy mi satysfakcja, że to, o czym piszę, sprawdza się zazwyczaj po czterech–pięciu latach. I wszyscy – nawet ci, którzy mnie kiedyś obśmiewali albo lekceważyli – zaczynają mówić Wosiem. Kiedy 10 lat temu zająłem się krytyką transformacji, byłem odsądzany od czci i wiary, zarzucano mi, że się nie znam albo że to niemożliwe. Minęło parę lat i... bum. Od 2015 r. PiS robi w dużej mierze to, co postulowałem w swoich ówczesnych tekstach o „dziecięcej chorobie liberalizmu". Teraz kupiłem już popcorn i tylko czekam, kiedy wreszcie lewica i PiS zrozumieją, że są sobie pisane. Idę o zakład, że za pięć lat będzie to najzupełniej oczywiste. Mnie w publicystyce najbardziej interesuje eksplorowanie takich pomieszczeń, do których jeszcze nikt nie zaglądał. Wchodzę tam z latarką, oglądam to po raz pierwszy, odwracam się i mówię: „Chodźcie, jest bezpiecznie". Ja się usuwam i idę dalej. Tak definiuję w tym momencie swoją rolę, mimo że przysparza mi to wielu krytyków. Spotykam potem ludzi, którzy mówią, że to, co piszę, otworzyło im oczy lub pomogło stworzyć kompletną wizję rzeczywistości. To mnie napędza.

eprasa.pl 1499ff6129

Msza jak niespodzianka

Liturgia odprawiona przez abp. Grzegorza Rysia na stadionie w Łodzi wywołała burzę medialną i falę krytyki w polskim Kościele





GRZEGORZ GÓRNY

13 września, nazajutrz po beatyfikacji prymasa Stefana Wyszyńskiego, na stadionie żużlowym klubu Orzeł Łódź doszło do wydarzenia, które wstrząsnęło wieloma katolikami w Polsce. Rzecz działa się podczas spotkania ewangelizacyjnego „Arena Młodych. Reset", któremu przewodniczył metropolita łódzki abp Grzegorz Ryś.

NIECODZIENNA MSZA

Spotkanie trwało w najlepsze, gdy w pewnym momencie hierarcha oświadczył zdumionym wiernym, że znajdują się właśnie w połowie mszy św. Powiedział: „Kiedy układaliśmy tę Arenę, słuchając Pana Boga, co On by od nas chciał, to było dla nas jasne, że nie może się skończyć na rozmowie ani nawet na spowiedzi. Dlatego postawiliśmy na środku duży stół. On zaraz będzie odsłonięty. Na tym stole póki co jest chleb, jeszcze nieprzemieniony w Ciało Jezusa, ale jak ja tam przejdę i wszyscy księża razem ze mną staną wokół stołu, to zaczniemy już tylko tę część Eucharystii, która się zaczyna od prefacji. I dojdziemy do komunii św. Wszystkich, którzy chcą komunię przyjąć, już zapraszam, żeby otoczyli ten stół [...] Idziemy do tego, żeby spożyć pokarm, który Jezus nam daje. Wiem, że jesteście trochę zaskoczeni, nikt nie wiedział, że jest na mszy, ale wszystkie elementy mszy św. były, począwszy od »Należę do Ciebie, Boże Ojcze«. Msza św. zaczyna się od znaku krzyża. Potem we mszy św. jest modlitwa, którą nazywamy kolektą – to była wasza modlitwa w trójkach. Wyście modlili się, przedstawiając Bogu i zbierając wszystkie intencje. Potem na mszy św. jest przepraszanie Boga za grzechy. Mieliśmy spowiedź. Jest potem Słowo głoszone, Ewangelia, którą żeśmy czytali. To jest Ewangelia, którą Kościół czyta dzisiaj na wszystkich mszach św. [...] Więc wszystkie elementy mszy św. już były, musimy więc doprowadzić do tego finału, jakim jest komunia św."

Kiedy nagranie tego wydarzenia przedostało się do internetu, wybuchła burza medialna. Pod adresem łódzkiego hierarchy padły mocne słowa krytyki za niepoważne traktowanie Eucharystii. Na pierwszy plan wysuwały się zwłaszcza głosy zgorszonych księży, m.in. Macieja Słyża, Daniela Wachowiaka czy Tomasza Brussego. Jan Buczyński na Twitterze skomentował stadionową celebrację następująco: „Wychodząc z domu, zrobiłem znak krzyża, w przelocie powiedziałem »przepraszam« żonie, na pierwszej przerwie na dyżurze w szatni pomodliłem się w myślach, w międzyczasie zerknąłem na komórce w tekst Ewangelii – i człowiek nawet nie wie, że połowę mszy ma za sobą!".

KOMISJA EPISKOPATU ZABIERA GŁOS

W związku z zamieszaniem spowodowanym przez abp. Rysia głos postanowiła zabrać Komisja Episkopatu ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów. Jej przewodniczący bp Piotr Greger wydał oficjalne oświadczenie, w którym przypomniał, że „kapłan jest sługą świętej liturgii i nie wolno mu na własną rękę w celebracji mszy św. niczego dodawać, opuszczać ani zmieniać". Podkreślił, że „naturalna dynamika mszy św. określona w mszale przewiduje obrzędy wstępne poprzedzające liturgię słowa Bożego, łącznie z aktem pokuty oraz kolektą odmawianą

Fot. NowaEwangelizacjaKEP / Twitter

eprasa.pl 1499ff6129

przez przewodniczącego zgromadzenia". Dodał, że „nie wolno łączyć sakramentu pokuty z mszą św., tak, aby odbywała się tylko jedna czynność liturgiczna", modlitwa powszechna zaś nazywana kolektą „nie może być zastępowana innymi modlitwami".

Powołując się na Konstytucję o liturgii Soboru Watykańskiego II bp Greger napisał, że „nowości należy wprowadzać tylko wtedy, gdy tego wymaga prawdziwe i niewątpliwe dobro Kościoła", natomiast „w przypadku, gdy z powodu jakiejś celebracji wiele osób jest zgorszonych, pomimo że nawet jakaś grupa odniosła pożytek ewangelizacyjny, trudno mówić o »niewątpliwym dobru Kościoła«".

Hierarcha przywołał też słowa Jana Pawła II z encykliki „Ecclesia de Eucharistia", że „począwszy od czasów posoborowej reformy liturgicznej, z powodu źle pojmowanego poczucia kreatywności i przystosowania nie brakowało nadużyć, które dla wielu były przyczyną cierpienia". Zacytował też ostatni dokument Franciszka, motu proprio „Traditionis custodes", w którym czytamy: „Podobnie jak Benedykt XVI ja również ubolewam nad faktem, że w wielu miejscach odprawiano liturgię, nie stosując się do wskazań nowego mszału, które rozumiano wyłącznie jako przyzwolenie na kreatywność liturgiczną – a nawet jako wymaganie takowej. To często prowadziło do trudnych do zniesienia deformacji liturgii".

Nie sposób odebrać wspomnianego dokumentu inaczej jak zdecydowane odcięcie się polskiego Episkopatu od postawy łódzkiego metropolity. Tym bardziej, że bp Greger zwrócił się z prośbą do abp. Rysia o wyjaśnienia, dlaczego sprawował Eucharystię z pominięciem obrzędów wstępnych mszy i liturgii słowa.

PRZEPROSINY ABP. RYSIA

Wywołany do odpowiedzi hierarcha wydał oświadczenie, że „szczerze przeprasza wszystkich, którzy poczuli się zgorszeni lub choćby zaniepokojeni formą celebracji Eucharystii sprawowanej na stadionie Orła w Łodzi". Jak przyznał: „Uznaję, iż podczas tej celebracji nie dochowałem wszystkich norm i kanonów z nią związanych". Zaraz jednak dodał: „Powodem mojego postępowania nie było wszakże ani lekceważenie czy kwestionowanie przepisów liturgicznych, lecz rozeznanie (poprzedzone także długą modlitwą i konsultacjami) zarówno co do charakteru samego wydarzenia, jak i co do duchowych potrzeb, wrażliwości i pobożności biorących w nim udział młodych ludzi".

Arcybiskup podkreślił, że wydarzenie miało charakter „wyjątkowy i jednorazowy", zaznaczając: „Na co dzień jestem z pełnym przekonaniem wiary posłuszny normom i przepisom liturgicznym, w myśl zasady »lex orandi – lex credendi«; tego też uczę – jak ufam – wiernych powierzonego mi Kościoła". Dodał: „Ufam także, że chociaż niektóre z norm liturgicznych nie zostały dochowane co do litery, to jednak nie zostały naruszone co do sensu i co do Ducha". Fakt, że wielu młodych przystąpiło do spowiedzi i komunii, hierarcha uznał za wystarczające usprawiedliwienie swego postępowania: „W tym świetle wszelkie zarzuty o rzekomą profanację czy brak szacunku wobec Eucharystii uważam za dalece niesprawiedliwe i bezpodstawne".

> Abp Grzegorz Ryś napisał, że celebracja na stadionie Orła Łódź miała charakter „wyjątkowy i jednorazowy". Miejmy nadzieję, że tak pozostanie

SACRUM, MISTERIUM, OFIARA

Zapewne abp Ryś miał dobre intencje. Chciał włączyć jak najszerszą wspólnotę wiernych w misterium eucharystyczne, o co apelowali ojcowie Soboru Watykańskiego II. W wielu krajach, zwłaszcza zachodnich i latynoskich, źle zinterpretowano jednak to wezwanie, co doprowadziło do licznych nadużyć liturgicznych. Samozwańczy reformatorzy zaczęli tam dokonywać desakralizacji Eucharystii, odzierając ją z aspektu ofiarniczego i ograniczając do wymiaru biesiadnego.

Komentując łódzkie wydarzenie, ks. Paweł Bortkiewicz napisał, że przypomina mu ono celebracje teologów wyzwolenia, którzy przybywali do południowoamerykańskich faweli, „by tam tworzyć wspólnotę z biednymi, ludźmi marginesu, wykluczonymi. Dzielili z nimi zwykłe zajęcia, a w stosownym czasie gromadzili się na czytanie fragmentów Biblii, najczęściej z Księgi Wyjścia zawierającej tak istotny dla teologii tamtego kontekstu kulturowego element wyzwolenia. Omawiano wspólnie przeczytane Słowo, przekształcano refleksje na formę modlitwy zanoszonej do Boga, potem dokonywało się pieczenie placków z manioku, a następnie dzielenie tymi plackami i popijanie winem. Całość rozłożona na wiele godzin z przerwami w postaci zwykłych czynności miała stanowić liturgię mszy św.".

Teologia wyzwolenia poniosła jednak ewangelizacyjną klęskę, o czym świadczy masowe przechodzenie latynoamerykańskich katolików do wspólnot zielonoświątkowych i ewangelikalnych. Także w krajach zachodnich różne samowolne innowacje liturgiczne nie zaowocowały na dłuższą metę przyciąganiem ludzi do kościołów. Doświadczenie pokazuje, że włączenie wiernych w misterium eucharystyczne i odkrycie przez nich duchowej głębi tego sakramentu (czego tak mocno domagał się Sobór Watykański II), nie może się dokonywać przez eksperymenty liturgiczne, które rozmywają sferę sacrum w otaczającej nas świeckiej rzeczywistości.

Polskę na szczęście ominęło posoborowe zamieszanie, które tak mocno dotknęło wiele krajów na skutek fałszywych interpretacji Vaticanum Secundum. Nie dochodziło u nas również do nadużyć liturgicznych, często spotykanych w niektórych kościołach na Zachodzie. Duża w tym zasługa beatyfikowanego właśnie prymasa Wyszyńskiego.

Abp Grzegorz Ryś napisał, że celebracja na stadionie Orła Łódź miała charakter „wyjątkowy i jednorazowy". Miejmy nadzieję, że tak pozostanie.

eprasa.pl 1499ff6129



Dworek Koryznówka

Matejko i Pilecki pod jednym dachem

Dworek Koryznówka w Starym Wiśniczu (Małopolska). Tu słynny malarz rysował karykatury i szkice oraz przywoził rodzinę na wakacje. Także tu bohater II wojny światowej ukrywał się przez kilka miesięcy po brawurowej ucieczce z Auschwitz i napisał pierwsze zeszyty słynnego raportu



JAROMIR KWIATKOWSKI

„Cudowna podróż w prawdziwą polskość". Marię Serafińską-Domańską najbardziej cieszą takie wpisy do księgi pamiątkowej dworku Koryznówka.

Pani Maria tu się urodziła, ale później los rzucił ją do Krakowa i Warszawy. Wróciła jednak w rodzinne strony i od 40 lat wraz z mężem Stanisławem Domańskim prowadzą Muzeum Pamiątek po Janie Matejce – oddział Muzeum Okręgowego w Tarnowie. Jest córką Tomasza Serafińskiego, zastępcy dowódcy wiśnickiej placówki AK, pod którego nazwiskiem Witold Pilecki przebywał w Auschwitz, oraz prawnuczką pierwszego właściciela Koryznówki Leonarda Serafińskiego

eprasa.pl 1499ff6129

i jego żony Joanny z Giebułtowskich. A Joanna była starszą siostrą Teodory, żony Jana Matejki.

GIEBUŁTOWSCY, SERAFIŃSCY, MATEJKOWIE…

Joanna i Teodora to córki Pauliny i Antoniego Giebułtowskich (miały też braci Stanisława i Stefana). Antoni Giebułtowski był urzędnikiem w Trybunale Sądu Wolnego Miasta Krakowa, jego żona prowadziła stancję dla chłopców. Byli oni zaprzyjaźnieni z Franciszkiem Matejką, nauczycielem muzyki, ojcem Jana. Obie rodziny mieszkały blisko siebie przy ul. Floriańskiej.

Leonard Serafiński, mąż Joanny, urodzony w Jaśle, był prawnikiem i sędzią, W latach 50. XIX w. został zatrudniony jako justycjariusz, czyli administrator prawny ówczesnego właściciela zamku w Wiśniczu, hrabiego Maurycego Potockiego. Zamieszkali z żoną w tzw. pańskim domu, czyli w służbowym mieszkaniu, które pobudował jeszcze Lubomirski w rynku w Wiśniczu. Tu przyszły na świat ich dzieci. Paulina Giebułtowska odwiedzała w Wiśniczu swoją najstarszą córkę, już zamężną. Zabierała wtedy synów Stanisława i Stefana, a także córkę Teodorę, młodszą o 13 lat od Joanny.

Stanisław i Stefan przyjaźnili się z Janem Matejką od lat szkolnych. – Dlatego Paulina Giebułtowska zapraszała go niekiedy do Wiśnicza. Jasiu był bardzo wątły i zmizerowany – opowiada Maria Serafińska-Domańska. Był także półsierotą – miał siedem lat, kiedy zmarła jego matka.

Jak podają źródła, nastoletni Jan pierwszy raz spędził wakacje w Wiśniczu w 1853 r. Później bywał tam już regularnie – w Koryznówce, drewnianym dworku podmiejskim w pobliżu zamku, który wybudował w tamtym czasie Leonard Serafiński. W Wiśniczu Matejko przeżywał okres narzeczeństwa z Teodorą Giebułtowską. Ślub wzięli w listopadzie 1864 r. w Krakowie. Później przywoził do szwagrostwa na wakacje żonę i dzieci.

– W pamiętnikach Stanisławy Serafińskiej, córki Joanny i Leonarda, można wyczytać, że wuj przyjeżdżał i zaraz wyjeżdżał – zaznacza Maria Serafińska-Domańska. A wyjeżdżał do Krakowa, gdzie malował.



Pilecki (w środku), Redzej i Ciesielski przed Koryznówką



Tablica upamiętniająca pobyt Witolda Pileckiego w Koryznówce

W Wiśniczu Matejko tylko rysował szkice i karykatury. Wcześniej utrwalił na rysunkach drewnianą zabudowę miasteczka, którą był zauroczony. Niestety, spłonęła ona w wielkim pożarze w 1863 r.

Stefan Giebułtowski zginął w powstaniu styczniowym, w bitwie pod Miechowem. To zrobiło ogromne wrażenie na przyjacielu. – Matejko nie zdecydował się iść ze Stefanem do powstania – podkreśla Stanisław Domański. – Ale na pewno je wspierał, także finansowo. Uczestniczył też w akcji organizowania broni.

AWANTURA O STASIĘ

Muzeum Pamiątek po Janie Matejce mieści się we frontowej części dworku. Składa się zaledwie z trzech pomieszczeń, gdzie do dziś prawie nic nie uległo zmianie. Niezwykłe skoncentrowanie pamiątek historycznych daje nie tylko szczupła powierzchnia muzeum, ale i to, że od czasu budowy dworku w połowie XIX w. pozostaje on nieprzerwanie w rękach rodziny Serafińskich, którzy przez kilka pokoleń otaczali opieką i zabezpieczali przed rozproszeniem pamiątki związane z autorem „Bitwy pod Grunwaldem". W okresie międzywojennym były one udostępniane tylko okolicznościowo lub wypożyczane na wystawy. Po wojnie Tomasz Serafiński społecznie, sezonowo udostępniał je zwiedzającym. W 1981 r. zostało tu otwarte muzeum, także dzięki pomocy Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz prof. Wiktora Zina.

– Te pomieszczenia zostały zachowane z takim umeblowaniem, jakie przetrwało, na co są dokumenty w postaci zdjęć – podkreśla Maria Serafińska-Domańska. – Moi rodzice spędzili tu okupację i nie naruszali tej historycznej warstwy.

eprasa.pl 1499ff6129

Jedno z pomieszczeń pani Maria nazywa „pokojem cioci Stasi". Jest ono związane ze Stanisławą Serafińską, córką Joanny i Leonarda. – Jako mała dziewczynka pozowała ona wujowi do portreciku ołówkowego, a także do postaci Urszulki Kochanowskiej – opowiada pani Maria. – W 1876 r. została przez wuja sportretowana jako piękna 20-letnia dziewczyna. Stało się to powodem awantury i głośnego w Krakowie skandalu. Teodora, żona Matejki, która zresztą chorowała na cukrzycę i niejednokrotnie reagowała dość gwałtownie, zniszczyła swój ślubny portret, czego Kraków do dziś nie może jej darować. Ale Matejko darował jej stosunkowo szybko, bo jak tylko ukończył „Bitwę pod Grunwaldem", namalował portret żony jeszcze raz. Można go obecnie oglądać w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Natomiast twarz Stanisławy Serafińskiej z portretu Matejki została umieszczona na przedwojennych pięciozłotowych banknotach.

Stanisława do śmierci w 1924 r. pisała pamiętniki. Ich część została opublikowana w 1955 r. w formie książkowej pt. „Jan Matejko. Wspomnienia rodzinne". Kiedy odwiedziłem Koryznówkę, Maria Serafińska-Domańska wraz z Agnieszką Opiołą – przewodniczką w Muzeum Pamiątek po Janie Matejce – kończyły przygotowanie do druku dziennika Stanisławy Serafińskiej, dotyczącego niezwykle ważnego okresu kształtowania się polskiej państwowości w 1920 r.

W pokoju uderza autentyzm pamiątek: m.in. stoliczek do ręcznych robótek z wyszywankami, którymi zajmowała się głównie Teodora, czy biblioteczka zawierająca książki z czasów, gdy bywał tu Matejko.

SALONIK Z FORTEPIANEM I FOTOGRAFIE

Bardzo ciekawy jest też salonik po przeciwnej stronie. Najważniejszym meblem jest tu fortepian, na którym grywał Jan Matejko.

– Turyści zazwyczaj dziwią się, że przyszli do domu, w którym bywał słynny malarz, a ja im opowiadam o fortepianie – śmieje się Maria Serafińska-Domańska. – Matejko był synem nauczyciela muzyki, a muzykowanie było wtedy częścią naszej kultury.

W czasie kiedy rozwijała się kariera Matejki, zaczęła się również kariera nowego wynalazku, czyli fotografii. Matejko współpracował z Walerym Rzewuskim, jednym z pierwszych krakowskich fotografów, którego imię nosi Muzeum Fotografii w Krakowie. Sam malarz nie zajmował się fotografią, ale 14 maja 1869 r. był z synkiem u fotografa i wydarzenie to przedstawił na jednej z karykatur. Nad fortepianem możemy oglądać pierwszą fotografię olejnego obrazu „Portret dzieci artysty", którą wykonał Rzewuski.



Pokój cioci Stasi w Koryznówce

– Podpisał z Matejką umowę: robił zdjęcia jego obrazów i potem sprzedawał ich odbitki. Dzięki temu mamy zdjęcie zaginionego obrazu „Śmierć Urszulki Kochanowskiej" – podkreśla pani Maria.

W Koryznówce można też podziwiać kilka oryginałów karykatur, które zostawił mistrz. Te, które wymagały pilnej konserwacji, trafiły do muzeum w Tarnowie.

JAK TOMASZ SERAFIŃSKI Z TOMASZEM SERAFIŃSKIM

Na początku maja 1943 r. do Koryznówki dotarli uciekinierzy z KL Auschwitz: Witold Pilecki, Jan Redzej i Edward Ciesielski. Do obozowego piekła Pilecki poszedł na ochotnika z dokumentami na nazwisko Tomasza Serafińskiego, ojca pani Marii.

Uciekinierzy, wędrując przez Puszczę Niepołomicką, natknęli się na niemiecki patrol. Pilecki został lekko postrzelony w ramię. Zdołali jednak zbiec i dzień później dotarli do Bochni, gdzie spotkali się w domu Józefa Obory, którego adres dostali od jednego ze współwięźniów.

Pilecki prosił o umożliwienie mu szybkiego kontaktu z AK. Znajomy państwa Oborów Leon Wandasiewicz zaprowadził go do Koryznówki, do zastępcy dowódcy wiśnickiej placówki AK, którym był prawdziwy Tomasz Serafiński.

– Życie często składa się z niezwykłych wydarzeń – podkreśla Maria Serafińska-Domańska. – Mój ojciec mógł pomyśleć, że to prowokacja i powiedzieć: „Nie, nie możemy panu udzielić schronienia, jest to zbyt niebezpieczne". Ale tego nie zrobił. Sam Pilecki też musiał być mocno zdziwiony tym spotkaniem.

Początkowo miejscowa komenda AK nie dała wiary wyjaśnieniom Pileckiego i jego towarzyszy, obawiając się, że rzeczywiście jest to niemiecka prowokacja. Na szczęście 1 czerwca 1943 r. do Wiśnicza dotarł wysłannik Komendy Głównej AK Stefan Bielecki, który potwierdził tożsamość rotmistrza. Pilecki został w Koryznówce, a jego towarzysze przez jakiś czas ukrywali się w różnych domach na terenie Wiśnicza i Bochni.

Rotmistrz namawiał m.in. szefa dywersji obwodu ZWZ-AK w Bochni

Fot. Jaromir Kwiatkowski (5x); Archiwum Muzeum w Koryznówce

eprasa.pl 1499ff6129



Fortepian, na którym grywał Jan Matejko

Andrzeja Możdżenia ps. Sybirak do zorganizowania akcji zbrojnej, której celem byłoby uderzenie na obóz KL Auschwitz i oswobodzenie więźniów. Na tak ryzykowną akcję nie zgodziło się jednak dowództwo Komendy Okręgu AK w Krakowie. Pilecki i jego towarzysze brali natomiast udział w akcjach placówki AK w Nowym Wiśniczu, Rzezawie i Królówce.

W Koryznówce Pilecki zaczął pisać swój pierwszy raport o sytuacji w KL Auschwitz. Z tamtego czasu zachował się jego portret namalowany przez również działającego w konspiracji malarza Jana Stasiniewicza.

STÓŁ TRAFIŁ DO BERLINA

Angielski dziennikarz i korespondent wojenny na Bliskim Wschodzie Jack Fairweather, autor wydanej w 2020 r. także w Polsce książki „Ochotnik. Prawdziwa historia tajnej misji Witolda Pileckiego", zbierając do niej materiały, odwiedził Koryznówkę. – Wśród wielu pytań, jakie mi zadawał, było i takie, którym mnie zaskoczył: „Co oni wtedy jedli?". Właściwie do dziś nie wiem, co mogłabym mu odpowiedzieć – przyznaje pani Maria. – Nie umiałam wymienić potraw, które moja matka mu dawała. Wiem, że ja byłam wychowana na mleku z zacierką. A czym się mogli żywić? Jak to na wsi: jajkami, mlekiem i żytnim chlebem z mąki ze zmielonego w żarnach ziarna. O chleb było trudno.

I dodaje: – Miałam wtedy dwa lata i nie mogę wiedzieć, jak wyglądały relacje pomiędzy Pileckim a moim ojcem. Po wojnie nie wolno było o nim mówić, a rodzice też nie opowiadali mi, jak to było. Nie mogę więc zaspokoić ciekawskich jakąś barwną opowieścią.

Stanisław Domański, mąż pani Marii, wskazuje na zdjęcie Pileckiego, Redzeja i Ciesielskiego, stojących przed Koryznówką, zrobione w ostatni dzień ich pobytu w tym miejscu. – Proszę zwrócić uwagę, jak im odrosły włosy. Po tych trzech miesiącach trochę odżyli – mówi.

Pilecki przebywał w Koryznówce od pierwszych dni maja do końca sierpnia 1943 r.

– To było lato, teściowie prowadzili gospodarstwo rolne, przychodzili tu różni ludzie. Niemcy stacjonowali w znajdujących się nieopodal zabudowaniach poklasztornych, gdzie było więzienie. Było więc niebezpiecznie. Teściowa opowiadała, że uciekinierzy w dzień ukrywali się w stodole nad boiskiem, czyli tzw. klepiskiem, gdzie trzymano siano. Pilecki nocami przychodził do domu i prowadził zapiski. Stół, przy którym powstał jego pierwszy raport, został wypożyczony w 2019 r. i stał się eksponatem na wystawie otwierającej działalność Instytutu im. Witolda Pileckiego w Berlinie – opowiada pan Stanisław.

Natomiast pobyt Witolda Pileckiego na Koryznówce upamiętnia tablica umieszczona na granitowym kamieniu przywiezionym z Auschwitz.



Stodoła, w której ukrywał się Witold Pilecki

ŁĄCZNIKIEM JEST HISTORIA

Koryznówkę odwiedza wielu turystów z całej Polski. Wśród nich jest młodzież ze szkół, których patronem jest Witold Pilecki.

Dla jednych zwiedzających większym magnesem jest Jan Matejko, dla innych rotmistrz Pilecki. – Nam natomiast chodzi o to, żeby zwiedzający zrozumieli, że łącznikiem między tymi dwiema wybitnymi postaciami jest historia Polski, która jest ciągłością – podkreśla Maria Serafińska-Domańska.

eprasa.pl 1499ff6129



Olaf Scholtz, lider zwycięskiej SPD

Merkelizm bez Merkel

Niemieckie partie polityczne przymierzają się do rozmów koalicyjnych, które mogą potrwać tygodnie, a nawet miesiące. Bez względu na to, kto będzie rządzić, w niemieckiej polityce zagranicznej niewiele się zmieni



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Była to długa kampania wyborcza, pełna błędów, wpadek i gaf. I nikt nie popełnił ich więcej niż kandydat CDU/CSU na kanclerza Armin Laschet. Można powiedzieć, że gafą zakończył wyścig, gdy oddając głos w lokalu wyborczym w swoim rodzinnym mieście, Akwizgranie, nieprawidłowo złożył kartę do głosowania. Osoby postronne mogły bez problemu zobaczyć, co premier Nadrenii Północnej-Westfalii zaznaczył. Media za Odrą miały używanie, zdjęcie źle złożonej karty do głosowania obiegło internet i stało się symbolem porażki chadecji. Bo Laschet uzyskał najgorszy w historii wynik przy urnach dla CDU. Wygrali socjaldemokraci, co najmniej w teorii, mniejsze bowiem partie, Zieloni i Liberałowie – liczone wspólnie – zdobyły większe poparcie wyborców niż SPD (14,8 i 11,5 proc., czyli 210 mandatów). Zieloni jednocześnie przegrali, w końcu jeszcze kilka miesięcy temu sondaże dawały im zwycięstwo i poparcie jednej czwartej elektoratu. Medialny hype wokół Annaleny Baerbock był ogromny. Kobieta walcząca o przyszłość planety, silna, atrakcyjna – zachwycały się media, nie tylko

eprasa.pl 1499ff6129

w Niemczech. Baerbock w ten szum medialny uwierzyła. Nastroje u Zielonych były znakomite. Ale potem pojawiły się oskarżenia o plagiat, o mniejsze i większe kłamstewka w CV kandydatki, a jej propozycje programowe stawały się coraz bardziej radykalne: ograniczenie spożycia mięsa, azyl dla wszystkich czy zakaz lotów wewnątrzkrajowych. Nie wspominając o klimatycznej histerii, zupełnie oderwanej od przyziemnych problemów większości Niemców. Podobnie jak Laschet szefowa Zielonych (kieruje partią wraz z Robertem Habeckiem) potknęła się o własne nogi.

Kandydat CDU/CSU także musiał się zmagać z zarzutami o plagiat i z własnymi słabościami, z których największą – oprócz tego, że nie jest Angelą Merkel – jest jego rubaszne poczucie humoru. W lipcu podczas wizyty na terenach zajętych powodzią w Nadrenii-Północnej Westfalii, która kosztowała życie 182 osób, śmiał się głośno z własnych żartów, podczas gdy prezydent Frank-Walter Steinmeier składał rodzinom ofiar kondolencje. Zdjęcia radosnego Lascheta w obliczu tragedii zapewne kosztowały chadeków kilka punktów procentowych przy urnach.

Na tym tle Olaf Scholz jawił się jako prawdziwy profesjonalista polityki. Spokojny, rzeczowy. Pełen empatii. Ta ostatnia cecha jest zresztą w jego przypadku nowością. Gdy był burmistrzem Hamburga (2011–2018), media zarzucały mu, że jest drewniany, pozbawiony emocji. Typ urzędnika, nie wizjonera, a już tym bardziej lidera. Dano mu nawet przydomek „Scholzomat" (połączenie jego nazwiska i automatu). No, ale na bezrybiu i rak ryba. Tak więc Scholz zapewnił socjaldemokratom pierwsze zwycięstwo w wyborach do Bundestagu od 2002 r.

WALKA O POLITYCZNE PRZETRWANIE

Wyrównany wynik wyborczy CDU/CSU i SPD – socjaldemokraci wyprzedzili chadeków o 1,6 pkt proc. (25,7 do 24,1 proc.) – wymusi najprawdopodobniej utworzenie pierwszej od lat 50. koalicji na szczeblu federalnym złożonej z trzech klubów parlamentarnych. A inicjatywa utworzenia tej koalicji przypadła mniejszym partiom w możliwym przyszłym rządzie – Zielonym i FDP, nazwanym przez gazetę „Bild" koalicją „cytrusową". Przy czym będą oni usiłowali się najpierw porozumieć między sobą, zanim przystąpią do rozmów z socjaldemokratami.

FDP to partia prorynkowa, reprezentująca przemysł oraz małe i średnie przedsiębiorstwa. Od lat lobbuje za obniżeniem podatków, zmniejszeniem obciążeń fiskalnych dla przedsiębiorców. Zieloni dążą do czegoś wprost odwrotnego: podwyższenia podatków dla najbardziej zamożnych, nie wspominając o wysokich kosztach forsowanej przez nich transformacji energetycznej. Dla Habecka i Baerbock Niemcy powinny odejść od węgla wcześniej niż w przewidzianym obecnie 2038 r. Jeśli uda im się porozumieć, co wcale nie jest pewne, powstanie szansa na utworzenie tzw. kolacji sygnalizacji świetlnej (Ampelkoalition) – czerwono-żółto-zielonej.

Na to, że się nie uda, liczy Laschet, bo jest to jedyna szansa, by zachował stanowisko szefa CDU oraz kandydata na kanclerza. Wewnętrzne rozliczenia w chadecji już się bowiem rozpoczęły. Premier Hesji i wiceprzewodniczący CDU Volker Bouffier już dzień po wyborach mówił o „ogromnej porażce" i przypominał Laschetowi o tym, że „nie ma prawa do uformowania rządu". Bo to prawo przypada Scholzowi. Potem odezwali się posłowie chadecji z Badenii-Wirtembergii, którzy zgłosili wątpliwości, czy jeszcze kandydat na kanclerza jest w stanie „wygenerować konieczne do utworzenia koalicji rządzącej energię i entuzjazm". We własnych szeregach, rozumie się. Pojawiły się też głosy płynące z prawicowego skrzydła CDU, tzw. unii wartości, by Laschet się wycofał i przekazał rolę kandydata na kanclerza oraz negocjatora koalicyjnego komuś innemu, np. premierowi Bawarii i szefowi CSU Markusowi Söderowi, lub zwyczajnie pogodził się z przejściem chadecji do opozycji. Söder zresztą usilnie kopie doły pod Laschetem. Najpierw serdecznie pogratulował Scholzowi zwycięstwa, dodając, że ma on obecnie „największe szanse, by zostać kanclerzem", żeby potem nawoływać do tego, by Laschet „uznał swoją porażkę". Jak na razie nie utworzyła się jednak frakcja otwarcie wroga wobec nieudanego kandydata na kanclerza, a on sam przetrwał pierwszą próbę sił w chadecji. Szef frakcji CDU/CSU w Bundestagu Ralph Brinkhaus został ponownie wybrany na tę funkcję – ale tylko do końca kwietnia 2022 r. Wtedy zastąpi go Laschet, jeśli chadecja wyląduje jednak w opozycji. A jak wiadomo, nadzieja umiera ostatnia. FDP w końcu nie ukrywa, że wolałaby być w koalicji z CDU niż SPD. Nawet Zieloni wolą trzymać tę opcję otwartą. W końcu Laschet negocjowałby z nimi ze słabej pozycji w przeciwieństwie do Scholza. Mogliby od niego więc uzyskać o wiele więcej koncesji, szczególnie w tak ważnych dla nich kwestiach, jak rezygnacja z silników spalinowych w niemieckim przemyśle motoryzacyjnym (Zieloni marzą o tym, by przejąć ministerstwo transportu). Szef liberałów Christian Lindner mówił wielokrotnie o „bliskości politycznej" z CDU. Zieloni nie kryją, że im dłużej na stole będzie opcja koalicji z chadekami, tym lepsza ich pozycja negocjacyjna w rozmowach z SPD. Na tej nadziei – porażki utworzenia koalicji sygnalizacji świetlnej i utworzenia zamiast tego koalicji „Jamajka" z CDU/CSU, Zielonych i FDP – wisi polityczna przyszłość Lascheta. Nawet w Nadrenii Północnej-Westfalii, gdzie CDU rządzi pod jego wodzą od lat i właściwie powinna mieć przewagę, wylądowała trzy punkty za SPD, z 26 proc.

Niemieccy wyborcy nie chcą Lascheta: 68 proc. z nich opowiedziało się w sondażu tygodnika „Der Spiegel" za tym, by wycofał się z polityki. Wiadomo jednak, że rozpoczął on już – równolegle do SPD – negocjacje z FDP i Zielonymi.

Negocjacje koalicyjne mogą potrwać tygodniami lub miesiącami i wcześniej czy później doprowadzą do wewnętrznych napięć zarówno u Zielonych, jak i FDP, najpóźniej wtedy, gdy trzeba będzie podjąć decyzję, z kim rządzić: CDU czy SPD. Kolejna Wielka Koalicja z chadecji i socjaldemokratów, choć nie jest wykluczona, nie jest chciana ani przez obie te partie, ani ich wyborców. Dla SPD byłoby to ponadto ryzykowne. Tak jak porażka chadecji jest w dużej mierze wynikiem potknięć Lascheta, tak sukces SPD jest bez wątpienia oparty na Scholzu. Socjaldemokracja od lat

Fot. Britta Pedersen/dpa via AP/EastNews

eprasa.pl 1499ff6129

jest w kryzysie i dryfuje bez wyraźnego kierunku. Wikłanie się w kolejną Wielką Koalicję może zniweczyć to, co osiągnęła dzięki swojemu kandydatowi na kanclerza, który jest dokładnie takim politykiem, jakiego lubią Niemcy: centrystycznym, pojednawczym, posiadającym wysoką zdolność koalicyjną. Zupełnie jak Angela Merkel, którą usiłował podczas kampanii emanować. Podobnie jak Laschet, któremu się to nie udało.

Dlatego bez względu na to, kto będzie rządził w Niemczech, będzie to rząd kontynuacji, a nie zmiany. Najwyżej akcenty będą inaczej rozłożone. Sukces Merkel i jej długie rządy opierały się na tym, że była ona emanacją konsensu rządzącego niemiecką polityką. A ten konsens się za jej panowania znacznie pogłębił. Chadecja od lat dryfuje w kierunku Zielonych, a Scholz jest tak umiarkowany jako socjaldemokrata, że dwa lata temu partia nie wybrała go na przewodniczącego, a on był zmuszony zapewniać na partyjnym zjeździe, że jest „naprawdę taki sam jak oni", czyli lewicowy.

STRUKTURALNE WADY

Co to wszystko oznacza dla Europy, dla świata? W kampanii zabrakło wyraźnych odniesień do polityki zagranicznej, żaden z kandydatów nie mówił o ambicji Niemiec prowadzenia Europy, świata, gospodarczo, politycznie czy kulturowo. Wiadomo, że Zieloni byli przeciwni projektowi gazociągu Nord Stream 2, i to od samego początku, oraz opowiadają się za twardszym kursem wobec Rosji. SPD i FDP, tak samo jak CDU, są za zachowaniem status quo. Jaki będzie kurs przyszłego rządu, będzie zależało od tego, co zostanie wpisane do umowy koalicyjnej i na czym Zielonym będzie bardziej zależało – na ekologii czy prawach człowieka. Wiadomo także, że Scholz, podobnie jak szef FDP Christian Lindner, opowiada się za „suwerennością" Unii Europejskiej, czyli wspólną polityką zagraniczną UE „z prawdziwego zdarzenia". Oznacza to rezygnację z zasady jednomyślności podczas głosowań w Radzie Europejskiej. Ma on także świadomość, że siła Niemiec jako globalnego gracza wynika z jej pozycji w Unii, dlatego – jak zadeklarował – polityka europejska będzie w jego rządzie odgrywała główną rolę. Jest to dość ogólne sformułowanie, ponieważ w detalach partie, które potencjalnie utworzą przyszłą koalicję rządzącą, mają często całkowicie odmienne zdanie. SPD jest za reformą strefy euro, taką, jakiej chcą Francja i przewodzone przez nią kraje południa Europy. FDP jest temu całkowicie przeciwna, a partia Lindnera zapewne zażąda dla siebie teki ministra finansów. Wszystkie trzy partie będą się więc zapewne równoważyć.

> Wyrównany wynik wyborczy CDU/CSU i SPD wymusi najprawdopodobniej utworzenie pierwszej od lat 50. koalicji na szczeblu federalnym złożonej z trzech klubów parlamentarnych

W konsekwencji wielkiego odwrotu od tego, co było, dotychczas nie będzie. Niemcy pozostaną na proeuropejskim kursie transatlantyckim. Na dodatek niemiecka polityka zagraniczna od lat jest „merkantylistyczna", oparta na wąskim interesie przemysłu, szczególnie samochodowego. I tak długo jak niemiecka siła gospodarcza będzie oparta na eksporcie, to się nie zmieni. Dotyczy to stosunku zarówno do Chin, jak i Rosji. Zwolennicy ustępującej kanclerz Niemiec obawiają się końca stabilności, którą według nich stworzyła, i być może zmniejszenia potęgi Niemiec – w Unii Europejskiej i poza nią – które widzą jako wynikające z jej osobistych wpływów i pozycji. Jej krytycy mają nadzieję, że teraz nareszcie dojdzie do tak potrzebnych reform, choćby w dziedzinie cyfryzacji, gdzie nasi zachodni sąsiedzi mają duże zapóźnienia, oraz – jak pisze Hans Kundnani na łamach pisma „Foreign Affairs" – do dostosowania niemieckiej polityki zagranicznej do epoki „zaostrzonej konkurencji wielkich mocarstw". To jest jednak mało prawdopodobne. Do tego konieczne byłyby strukturalne zmiany, a skomplikowana układanka, którą zawsze jest koalicja trzech partii, raczej na to nie pozwoli.

Może Niemcy zrezygnują z uczestnictwa w programie odstraszania nuklearnego NATO – SPD i Zieloni są przeciwni nuclear sharing – a może nie. NATO w każdym razie wciąż będzie traktowane jako podstawa obrony zbiorowej w Europie.

Zarówno Zieloni, jak i FDP oraz SPD podkreślają także znaczenie tzw. wartości europejskich, czyli liberalnych, i na tym polu może dojść do kontynuacji napięć między Berlinem a Warszawą, a szerzej z Europą Środkową i Wschodnią. Angela Merkel, jeśli miała jakieś zalety z naszego punktu widzenia, to wykazywała je na początku swojego kanclerstwa i polegały one na zręcznym manewrowaniu pomiędzy interesami dużych i małych państw UE, na odgrywaniu roli arbitra. Potem tę zdolność zatraciła i nie ma co liczyć na to, że nagle ją w sobie odkryje Olaf Scholz. Jeśli relacje między Niemcami a Polską są złe, to zdecydowanie z winy Berlina, nie wiemy więc, czy kanclerz SPD będzie szukał nowego otwarcia z rządem PiS, który jego formacja jeszcze bardziej niż CDU/CSU uważa za rząd niewygodny, czy wręcz przeciwnie – zaostrzy jeszcze kurs wobec Polski. Bezpieczniej jest się nastawić na nastanie tej drugiej opcji, co najmniej w warstwie retorycznej. Laschet wprawdzie odwiedził Polskę w trakcie kampanii z okazji rocznicy powstania warszawskiego, ale czy i jak ten przyjazny gest przełożyłby się na politykę wobec naszego kraju, gdyby jednak został kanclerzem, nie wiadomo. Jedno jest za to pewne, nasi zachodni sąsiedzi będą przez najbliższy czas, jak długi nie wiemy, zajęci głównie sobą. A niemiecka chadecja, uważana za martwą i pogrzebaną, jeszcze nie powiedziała ostatniego słowa.

eprasa.pl 1499ff6129



Olejowe kompetencje LOTOSU

Trwa proces budowy koncernu multienergetycznego, którego częścią ma być Grupa LOTOS. W Gdańsku powstanie m.in. centrum kompetencyjne związane z produkcją olejów bazowych i środków smarnych. Inwestycja, dzięki której rafineria w 2025 r. będzie produkować wysokiej jakości bazowe oleje smarowe, wchodzi w fazę realizacji. 28 września br. LOTOS zawarł umowę na budowę hydrokrakingowego bloku olejowego (HBO)

Głównym wykonawcą projektu została firma KT – Kinetics Technology S.p.A., z którą gdański koncern współpracował podczas Projektu EFRA. W zakres inwestycji wchodzą m.in. budowa instalacji hydrokrakingu, wykorzystującej procesy odparafinowania katalitycznego i uwodornienia, parków zbiorników wsadu i produktów instalacji, rurociągów międzyobiektowych i stacji zasilania elektrycznego. Ponadto planowane są adaptacja i modernizacja obiektów już istniejących, powiązanych technologicznie lub technicznie z nowymi obiektami. Wartość inwestycji to ponad 1,4 mld zł. Przyjęty harmonogram zakłada przekazanie do eksploatacji wszystkich instalacji i obiektów w pierwszej połowie 2025 r.

Projekt HBO nie będzie przedmiotem dezinwestycji w ramach realizacji środków zaradczych określonych przez Komisję Europejską w związku ze zgodą na przejęcie przez PKN Orlen kontroli nad Grupą LOTOS.

– Realizacja Projektu HBO pozwoli skutecznie konkurować z bazami olejowymi importowanymi w Europie oraz wypełnić niszę rynkową. Ponadto lokalizacja naszej rafinerii umożliwia efektywną logistykę drogą morską i lądową. Wdrożenie produkcji wysokiej jakości olejów grupy II zapewni stabilną i konkurencyjną bazę dla produkcji środków gotowych, także po przewidywanej reorganizacji przemysłu naftowego – mówi Jarosław Wróbel, prezes zarządu Grupy LOTOS ds. inwestycji i innowacji.

NOWE, WYSOKOMARŻOWE PRODUKTY

Celem Projektu HBO jest dalsza poprawa ekonomiki przerobu ropy naftowej poprzez wygenerowanie wyższych marż w wyniku produkcji i sprzedaży nowych, wysokomarżowych produktów. Instalacja ma produkować rocznie ponad 400 tys. ton baz olejowych grupy II oraz kilkadziesiąt tysięcy ton półproduktów paliwowych. Inwestycja jest odpowiedzią na wyzwania, jakie pojawiają się przed rafineriami skupionymi na produkcji paliw motorowych.

– Grupa LOTOS jest obecna na rynku olejów bazowych od wielu lat. Projekt HBO to więc niejako powrót do korzeni oraz jednocześnie najlepszy sposób dywersyfikacji portfolio w kierunku nowych produktów niepaliwowych. Wysokiej jakości bazy olejowe umożliwią nam produkcję środków smarnych oraz olejów, które będziemy sukcesywnie lokowali na rynku po jak najbardziej atrakcyjnych cenach – podkreśla Zofia Paryła, prezes zarządu Grupy LOTOS.

OLEJE BAZOWE GRUPY II

Surowcem nowej instalacji będą destylaty ze zbudowanej w ramach Projektu EFRA instalacji destylacji próżniowej hydrowaksu. Sercem Projektu HBO będzie instalacja katalitycznego odparafinowania i uwodornienia, wykorzystująca procesy wodorowe stosowane na instalacjach hydrokrakingowych.

Obecna produkcja LOTOSU to w przeważającej części oleje bazowe grupy I, których produkcja opiera się na technologiach rozpuszczalnikowych. Zmiana technologii pozwoli na eliminację rozpuszczalników uciążliwych m.in. dla środowiska. Rozwiązanie polegające na wprowadzaniu nowych baz olejowych grupy II przełoży się na wzmocnienie koncernu nie tylko na rynku polskim, ale także na rynkach zagranicznych.

Szacuje się, że poziom produkcji olejów przemysłowych wzrośnie z 30 proc. całości produkcji olejowej w poprzednich latach i osiągnie przewidywany poziom 50–60 proc. do końca tej dekady. Jednym z dodatkowych czynników wpływających na zwiększone zużycie olejów przemysłowych o wysokiej jakości, w tym ciężkich baz olejowych, są przewidywane nowe, duże inwestycje związane z tzw. zieloną energią.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 89/0921/F

eprasa.pl 1499ff6129

„Spisek Anglosasów”

Brytyjski „The Economist” porównał podpisanie przez Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię i Australię umowy AUKUS do rzadko oglądanych „tektonicznych zmian w światowej geopolityce”, takich jak kryzys sueski w 1956 r., podróż Nixona do Chin czy upadek muru berlińskiego. Z kolei w Australii pisze się o najważniejszej decyzji geostrategicznej od czasów II wojny światowej



MAREK BUDZISZ

W Europie reakcja na podpisanie porozumienia AUKUS zdominowana została przez „francuski gniew” z powodu wycofania się Australii z wartego 50 mld euro kontraktu na dostawy 12 okrętów podwodnych typu Shortfin Barracuda napędzanych silnikiem Diesla. Francuski minister spraw zagranicznych Jean-Yves Le Drian nazwał zawarcie tej umowy „ciosem w plecy”, a pytany w wywiadzie telewizyjnym, czy postępowanie Joego Bidena przypomina mu politykę jego poprzednika, odpowiedział, że „za wyjątkiem tweetów”. Paryż zdecydował się wezwać na konsultacje swoich ambasadorów w Waszyngtonie i Canberze, a komentatorzy francuscy otwarcie piszą o kryzysie, a nie konflikcie w relacjach atlantyckich. Umowa zawarta przez Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię i Australię prezentowana jest w kategoriach „zmowy Anglosasów”, a w czasie niedawnej wizyty premiera Grecji we Francji Emmanuel Macron powiedział, że „Europa powinna przestać być naiwna” i zacząć budować swą autonomię strategiczną.

W krajach azjatyckich decyzja Waszyngtonu o zawarciu porozumienia AUKUS jest traktowana w kategoriach realnego potwierdzenia reorientacji na Azję amerykańskiej „wielkiej strategii”, w Europie raczej wywołuje ona obawy o przyszłość i skłania do stawiania pytań o siłę więzi atlantyckich.

PARYŻ WYPADA Z GRY

Umowa AUCUS nie dotyczy wyłącznie udostępnienia Canberze technologii budowy atomowych okrętów podwodnych. Jak napisała na łamach „The New York Times” Sylvie Kauffmann, dyrektor wydawnicza „Le Monde”, jej zakres jest na tyle szeroki – obejmuje również transfer zaawansowanych technologii, współpracę wywiadowczą, kwestie związane z bezpieczeństwem w cybersferze czy udzielenie przez Wielką Brytanię wojskowego wsparcia dla Australii – że dla innych spoza tej trójki, przede wszystkim Francji, w układzie nie ma już miejsca.

Paryż ma co najmniej kilka powodów do niezadowolenia. Utrata kontraktu na dostawy okrętów podwodnych nie jest miłą wiadomością, zwłaszcza sześć miesięcy przed wyborami, ale nie to wywołało gniew Francji, która nadal uważa się za mocarstwo mające swe interesy w rejonie Indo-Pacyfiku. Utrzymuje tam cztery bazy wojskowe i posiada kilka wysp, takich jak choćby Reunion czy Majotta. W 2018 r. Paryż opracował swoją strategię obecności w regionie i był głównym orędownikiem tego, aby Unia Europejska również zaczęła być aktywna w tej części świata. Francja, mówiąc w pewnym uproszczeniu, chciała wykorzystać potencjał gospodarczy i polityczny Europy dla realizacji swych geostrategicznych ambicji. Fundamentem, na którym Francja chciała budować, miało być jej partnerstwo z Australią, a kontrakt na dostawę okrętów podwodnych – wisienką na torcie, narzędziem wiążącym na dziesięciolecia Canberrę z Paryżem. Teraz w to miejsce wchodzą Anglosasi, a francuska strategia okazuje się pozbawiona głównego elementu. Co więcej, Europa oprócz dość ogólnych deklaracji Charles'a Michela, który powiedział, że podpisanie umowy świadczy „o braku lojalności i przejrzystości w relacjach między sojusznikami”, jako całość zajęła dość powściągliwe stanowisko.

Zdaniem komentatorów to, co się stało w związku z AUKUS, może wręcz oznaczać powrót do czegoś w rodzaju XIX-wiecznej Wielkiej Gry, rywalizacji mocarstw, w której już na starcie Francja została zdystansowana. To wywołuje frustrację Paryża, tym bardziej że francusko-brytyjskie relacje w szybkim tempie się pogarszają. W ostatnich dniach do starych kontrowersji dołączył ostry spór związany z polityką Londynu w sprawie pozwoleń połowowych dla francuskich rybaków wykorzystujących łowiska u brzegów wyspy Jersey.

Kolejną kwestią wywołującą irytację Paryża jest to, że nie był on informowany o toczących się przez wiele miesięcy rokowaniach w sprawie AUKUS. Tym bardziej że, jak ujawnił doradzający brytyjskiemu resortowi obrony prof. Julian Lindley-French, rokowania między Londynem a Canberrą zaczęły się już wiosną ub.r., a ostatnie szczegóły dopinane były w trakcie tegorocznego czerwcowego szczytu państw G-7 w Kornwalii. Przy czym, jak napisał Lindley-French, rozmowy

Fot. Brendan Smialowski/AFP

eprasa.pl 1499ff6129



15 września 2021 r. prezydent USA Joe Biden, premierzy Australii Scott Morrison i Wielkiej Brytanii Boris Johnson ogłosili utworzenie wzmocnionego trójstronnego partnerstwa w dziedzinie bezpieczeństwa o nazwie AUKUS

toczone były w takiej tajemnicy, że w Wielkiej Brytanii wiedziało o nich „nie więcej niż 10 osób". Rzeczniczka Białego Domu Jen Psaki powiedziała co prawda, że rząd Francji był „informowany z wyprzedzeniem" o planowanym porozumieniu, jednak jak relacjonuje „The Washington Post", który powołuje się na Antony'ego Blinkena, to „wyprzedzenie" oznacza w tym przypadku jeden, co najwyżej, dwa dni.

W takiej sytuacji trudno się dziwić irytacji Paryża i słowom szefa francuskiego MSZ Le Draina, który w wywiadzie radiowym powiedział, na co warto zwrócić uwagę, że „to, co mnie również zdumiewa, to zachowanie Amerykanów. Mamy do czynienia z brutalną, jednostronną, nieprzewidywalną decyzją, która bardzo przypomina to, co pan Trump robił kiedyś... Sojusznicy nie robią sobie tego. To raczej nie do zaakceptowania".

Inne reakcje Francuzów były w podobnym tonie. I tak Gérard Araud, były francuski ambasador w Izraelu oraz w USA, napisał w jednym ze swoich tweetów, że „zważywszy na powagę ciosu dla naszych interesów gospodarczych i strategicznych, jakim było zerwanie przez Australię kontraktu na zakup produkowanych przez francuską firmę okrętów podwodnych, Paryż odczuwa potrzebę zrewidowania swojej polityki zagranicznej na obszarze Indo-Pacyfiku w stosunku do USA i NATO, w stosunku do Chin". W kolejnym wpisie dodał, że nowe realia międzynarodowej rywalizacji powinny skłaniać Francję do przyjęcia strategii, którą on określił mianem gaulizmu 2.0, polegającej na tym, że Francja pozostanie państwem sojuszniczym, ale niezobowiązanym do podejmowania określonych kroków. „Niektóre konfrontacje nie są nasze" – skonkludował Araud. Aby była jasność, o co chodzi, napisał też, że „postrzegane z Europy Chiny są rywalem, konkurentem, ale nie wrogiem. Geografia ma znaczenie". Francuski dyplomata i publicysta rozwinął tę myśli w komentarzu w „Le Point", gdzie napisał m.in., że sposób, w jaki Joe Biden przeprowadził ewakuację Afganistanu, oraz afera z okrętami podwodnymi świadczą o tym, że amerykański prezydent „gardzi Francją i czas wyciągnąć z tego wnioski".

MOŻLIWY PARALIŻ NATO

Frustracja francuskich elit i ich poczucie, że zostały wystrychnięte przez Anglosasów na dudka, nie uzasadnia jednak przyjęcia przez Paryż kursu, który w praktyce pogłębia podziały i faktycznie paraliżuje NATO.

Niedawna wizyta premiera Grecji Mitsotakisa w Paryżu wskazuje, że wnioski, które chciałaby wyciągnąć Francja, sprowadzają się do postawienia na europejską samodzielność strategiczną. Emmanuel Macron podpisaną z Atenami, wartą 5 mld dol., umowę na dostawę trzech fregat określił mianem „śmiałego pierwszego kroku w stronę europejskiej samodzielności strategicznej". Jak informuje brytyjski „The Guardian", oferta Paryża nie była najtańsza, ale o jej wyborze przez Ateny zadecydowały inne względy, w tym deklaracje o wsparciu, w razie potrzeby, Grecji przez francuskie siły zbrojne. Precedens w tym zakresie był już uczyniony w 2020 r., w czasie ostrej fazy konfliktu Aten z Ankarą na tle sporu o podwodne pokłady ropy naftowej i gazu ziemnego. Dwustronna umowa wojskowa, którą

eprasa.pl 1499ff6129

zawarły dwa państwa będące członkami NATO, wymierzona w trzeciego członka Paktu Północnoatlantyckiego raczej nie wzmocni spoistości tego sojuszu.

Jeśli na tym ma polegać „europejska suwerenność strategiczna", to presja Paryża na obranie przez Europę tej drogi nie tylko nie spotka się z poparciem, ale wręcz przeciwnie, będzie rodzić kolejne podziały i w konsekwencji może sparaliżować NATO. W tym sensie oceny Emmanuela Macrona o „mózgowej śmierci NATO" mogą się okazać samospełniającą się, w wyniku polityki Paryża, przepowiednią.

Premier Grecji w Paryżu określił francuską wizję budowy europejskich sił zbrojnych w ramach suwerenności strategicznej mianem „dojrzałej propozycji", a także dodał, że „nasza umowa toruje drogę do autonomicznej i silnej Europy przyszłości. Europy, która może bronić swoich interesów w swoim szerszym sąsiedztwie, na Morzu Śródziemnym, na Bliskim Wschodzie, w Sahelu".

Mamy tu do czynienia z nieprzypadkowym pominięciem kwestii sytuacji na wschodniej flance NATO i relacji z Rosją. Zarówno z punktu widzenia Paryża, jak i Aten Moskwa powinna zostać wciągnięta do europejskiej polityki bezpieczeństwa, a główne zagrożenia nie są związane z agresywną polityką Putina. Choć obydwaj politycy w swej retoryce akcentowali, że silniejsza Europa będzie lepszym partnerem dla Stanów Zjednoczonych, to konsekwencje zaproponowanych przez nich posunięć mogą być odmienne od deklaracji. Porozumienie dwóch państw członkowskich Paktu Północnoatlantyckiego, wymierzone w innego członka tego sojuszu (Turcja), nieuwzględniające ocen w zakresie bezpieczeństwa państw Północy i wschodu Europy, budowane w kontrze do amerykańsko-brytyjskiej inicjatywy w rejonie Indo-Pacyfiku raczej nie wzmocni NATO.

KONSEKWENCJE GEOSTRATEGICZNE

Eksperci francuscy, tacy jak dyrektor Instytutu Studiów Strategicznych Bruno Tertrais, podnoszą jeszcze jeden istotny wątek. Otóż sprzedaż atomowych okrętów podwodnych Australii może być uznana za złamanie porozumień w sprawie nierozprzestrzeniania broni atomowej. Rosyjscy specjaliści wręcz uważają, że brytyjskie i amerykańskie technologie, oparte na wykorzystaniu wysoko wzbogaconego paliwa uranowego, umożliwiają państwu, które wejdzie w posiadanie tego rodzaju reaktora, szybką budowę własnej bomby atomowej. Tertrais wprost napisał, że Francja, mimo iż w przeszłości podlegała presji ze strony swych partnerów w rodzaju Brazylii, nie zdecydowała się na kontrakt przewidujący sprzedaż okrętów o napędzie atomowym właśnie z tego powodu. James Acton z Carnegie Endowment, wypowiadając się w tej sprawie, napisał, iż wprowadzenie ponownie tej kwestii do agendy debaty światowej może dodatkowo pogłębić podziały.

> Frustracja francuskich elit i ich poczucie, że zostały wystrychnięte przez Anglosasów na dudka, nie uzasadnia jednak przyjęcia przez Paryż kursu, który w praktyce pogłębia podziały i faktycznie paraliżuje NATO

Jednak geostrategiczne następstwa porozumienia AUKUS wydają się znacznie poważniejsze niż kwestie związane z francuską polityką przemysłową czy zagrożenia dla nierozprzestrzeniania broni jądrowej. Ulrich Speck, wpływowy niemiecki komentator i dziennikarz zbliżony do chadecji, napisał, że zawarcie porozumienia AUKUS może być uznane jako sygnał płynący z Waszyngtonu, iż administracja Bidena „porzuciła nadzieję, że Europa, szczególnie Francja i Niemcy, będą kluczowymi partnerami w amerykańskiej strategii powstrzymywania Chin". W jego opinii Waszyngton zniecierpliwiony opieszałością Europy przyjął propozycję Australii i Wielkiej Brytanii gotowych pogłębić współpracę wojskową, a cenę, jaką za ten krok przyjdzie zapłacić, którą będzie „frustracja Francji", uznał za niezbyt wygórowaną.

Eksperci anglosascy odrzucają zresztą oskarżenia płynące z Europy, że Francja, jak oświadczyła Ursula von der Leyen, „została potraktowana nie fair". Andrew Small z German Marshall Fund przypomniał, że w grudniu ub.r. przedstawiciele nowej amerykańskiej administracji, która jeszcze nie sprawowała władzy, a konkretnie Jake Sullivan, publicznie proponowali państwom Europy, przede wszystkim Niemcom i Francji, aby te przeprowadziły konsultacje sojusznicze, zanim w przyspieszonym tempie podpiszą umowę z Chinami. Wówczas, jak napisał Small, postawa największych stolic Europy, które zdecydowały się zlekceważyć głosy płynące z Waszyngtonu, przedstawiana była jako triumf „strategicznej autonomii" Europy, a wszelkie sugestie, aby poczekać z umową z Chinami do objęcia urzędowania przez ekipę Bidena, były odbierane w Europie wręcz w kategoriach afrontu. Teraz, kiedy Waszyngton zaczął energicznie realizować politykę koncentrowania swej uwagi na rywalizacji z Chinami, nie przejmując się interesami państw europejskich, ta retoryka uległa zdecydowanej zmianie.

Henry Foy, komentator „The Financial Times", napisał, że porozumienie AUKUS uświadomiło w wielu stolicach europejskich, że „jest tylko kwestią czasu" wycofanie przez Amerykanów kolejnych sił z Europy i przerzucenie ich w rejon Indo-Pacyfiku. To oznacza, że Europa będzie zmuszona do budowy własnych zdolności wojskowych, ale bez Ameryki, w kontrze do jej polityki, nie będzie w stanie tego w dającej się przewidzieć przyszłości osiągnąć. W praktyce oznacza to, że droga proponowana przez Paryż nie tylko nie prowadzi do wzrostu bezpieczeństwa naszego kontynentu, ale mnożąc podziały i spory, dodatkowo osłabia siły NATO.

Reklama | 84/0921/F

eprasa.pl 1499ff6129

żabka

NOWA OFERTA

✓ **17 000 zł**
przychodu gwarantowanego miesięcznie przez rok

✓ **do 12 000 zł**
na rozwój biznesu

Oferta ważna do 28.02.2022 r., ograniczona czasowo i uzależniona od spełnienia określonych warunków.



To żabkość na rynku!

Polecam! Katarzyna, franczyzobiorczyni z Otwocka

Otwórz własny sklep Żabka!
Sprawdź jak na **franczyza.zabka.pl**

eprasa.pl 1499ff6129



Pieniądze z PROW na zapobieganie klęskom żywiołowym

Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa oferuje pomoc rolnikom, którzy chcą zabezpieczyć swoje gospodarstwa przed afrykańskim pomorem świń, a także spółkom wodnym chcącym zainwestować w urządzenia chroniące gospodarstwa przed powodzią. Do 26 listopada br. można składać wnioski o wsparcie „Inwestycji zapobiegających zniszczeniu potencjału produkcji rolnej”

Ta propozycja pomocy, finansowana z PROW na lata 2014–2020, skierowana jest do dwóch grup odbiorców. Pierwszą stanowią rolnicy, którzy zajmują się chowem lub hodowlą nie mniej niż 50 świń bądź zrealizowali zobowiązania rolno-środowiskowe w ramach wariantu 7.4 – zachowanie lokalnych ras świń, i chcą przeprowadzić inwestycje chroniące ich gospodarstwa przed rozprzestrzenianiem się wirusa afrykańskiego pomoru świń (ASF). Pomoc w wysokości do 100 tys. zł mogą otrzymać m.in. na utworzenie lub zmodernizowanie niecki dezynfekcyjnej, wyposażenie gospodarstwa w urządzenie do dezynfekcji czy budowę lub przebudowę magazynu do przechowywania słomy dla świń, zakup silosu na paszę gotową do bezpośredniego spożycia przez świnie i wykonanie robót związanych z jego posadowieniem (zwrot do 80 proc. kosztów kwalifikowanych zrealizowanej inwestycji), a także wykonanie ogrodzenia. W tym przypadku zwrotowi podlega do 80 proc. kosztów określonych według standardowych stawek jednostkowych, które wynoszą:

- 230 zł – koszt wykonania 1 metra bieżącego ogrodzenia,
- 2100 zł – koszt wykonania 1 bramy,
- 710 zł – koszt wykonania 1 furtki.

Drugą grupę tworzą spółki wodne lub ich związki, w których większość stanowią rolnicy posiadający grunty rolne lub w których więcej niż połowa zmeliorowanych gruntów objętych działalnością spółki jest w posiadaniu rolników. Ta grupa beneficjentów może otrzymać maksymalnie 1 mln zł na zakup maszyn i urządzeń zapobiegających zniszczeniu gospodarstw przez podtopienie czy powódź, np. koparek, ciągników, rębaków do drewna, kos spalinowych, odmularek, przyczep. Także w tym przypadku limit dofinansowania wynosi 80 proc. kosztów kwalifikowanych zrealizowanej inwestycji.

Co ważne, spółki i związki spółek, które chciałyby się ubiegać o dofinansowanie następujących kosztów robót dotyczących urządzeń wodnych: przebudowy lub remontu rowu melioracyjnego; budowy, przebudowy lub remontu progu, zastawki, przepustu ze spiętrzeniem; prac na sieciach drenarskich, będą mogły to zrobić dopiero w kolejnym naborze.

Wnioski o przyznanie pomocy przyjmują oddziały regionalne ARiMR. Dokumenty można dostarczać do placówek Agencji osobiście lub przez upoważnioną osobę, lub elektronicznie – za pośrednictwem skrzynki podawczej ePUAP, lub przesyłką rejestrowaną nadaną w placówce Poczty Polskiej.

Dotychczas ARiMR przeprowadziła sześć naborów wniosków o pomoc na „Inwestycje zapobiegające zniszczeniu potencjału produkcji rolnej”. Wsparcie zostało dotychczas przyznane nieco ponad 4,7 tys. beneficjentów, a jego kwota wynosi na razie blisko 291 mln zł (na inwestycje chroniące przed ASF przyznano pomoc 4,5 tys. rolników w wysokości ok. 211,5 mln zł, pozostałe środki to wsparcie dla spółek wodnych lub ich związków).

Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 86/0921/F

eprasa.pl 1499ff6129

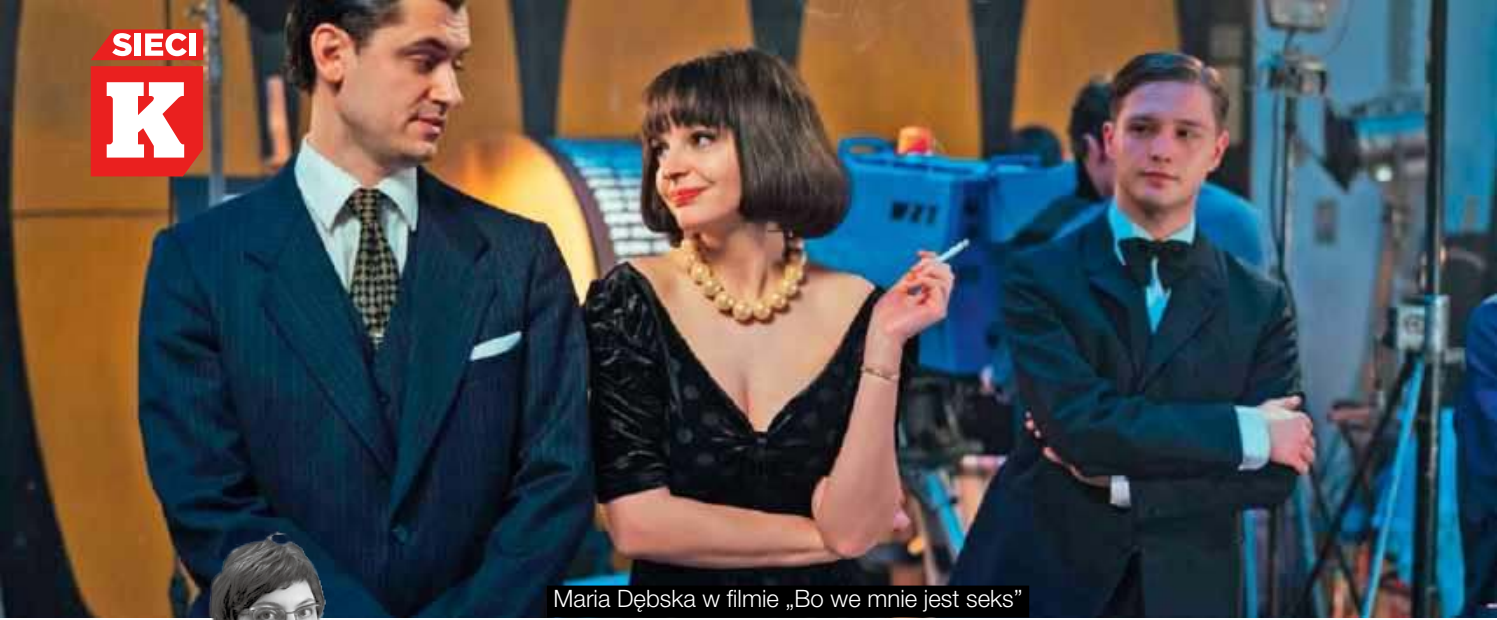


Maria Dębska i Jacek Beler otrzymali na tegorocznym Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni nagrody za główne role. Złote Lwy trafiły do twórców obrazu „Wszystkie nasze strachy", a Srebrne do ekipy „Żeby nie było śladów". Pojedynek na kreacje kobiece był podczas tego festiwalu wyjątkowy. Wygrała odtwórczyni roli Kaliny Jędrusik w filmie „Bo we mnie jest seks"

Zostawili tam wszystko

Fot. Kurnikowski/AKPA, Piotr Hukało/East News

eprasa.pl 1499ff6129



Maria Dębska w filmie „Bo we mnie jest seks”

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

„Za kruchość i siłę. Nie tylko za seks” – tak, wręczając nagrodę za najlepszą pierwszoplanową rolę żeńską, komentowała werdykt Agnieszka Smoczyńska, reżyserka i tegoroczna jurorka. „Dusza kobiety, walka i delikatność” zdecydowały o przyznaniu festiwalowego trofeum Marii Dębskiej, odtwórczyni roli Kaliny Jędrusik w filmie „Bo we mnie jest seks” w reż. Katarzyny Klimkiewicz.

Nim jednak statuetka trafiła do zjawiskowo wyglądającej aktorki – wizualnie zupełnie już innej od bohaterki wykreowanej na ekranie – Smoczyńska przywołała odtwórczynie innych wspaniałych, jej zdaniem, ról. Podkreśliła, że stawka aktorska kobiet była w tej edycji festiwalu bardzo mocna i wymieniła: Agatę Buzek, chwaląc jej „kreację poruszającą i intymną” („Moje wspaniałe życie” w reż. Łukasza Grzegorzka); Sandrę Korzeniak – „we wstrząsającej roli matki, która walczy z systemem” („Żeby nie było śladów”, reż. Jan P. Matuszyński); Wiktorię Gorodecką, której bohaterka „mierzy się z własną śmiercią” („Przejście”, reż. Dorota Lamparska); Weronikę Książkiewicz w „poruszającej roli współuzależnionej matki walczącej, ale też bardzo kruchej” („Powrót do Legolandu” Konrada Aksinowicza); Magdalenę Koleśnik w „Innych ludziach”; Magdalenę Popławską w „Prime Timie” Jakuba Piątka; Małgorzatę Foremniak – również we wstrząsającej roli matki („Sonata”, reż. Bartosz Blaschke); Kingę Preis, która „wniosła radość życia na kinową salę”, oraz Irenę Melcer („Lokatorka” reż. Michał Otłowski).

MIARA LEGENDY

Statuetka za główną rolę mogła jednak powędrować tylko do jednej aktorki. Maria Dębska, jak mówi, przyjmując rolę Kaliny Jędrusik, zmierzyła się z legendą. Na szczęście, by wejść w postać, miała półtora roku i „hollywoodzkie warunki”. Pracowała z dwoma trenerkami: personalną i wokalną, oraz coachem aktorskim.

– Z jednej strony przygotowywałam się do tego intelektualnie i emocjonalnie, a z drugiej trzeba było zakasać rękawy i się po prostu fizycznie zmienić. Czułam, że przez ten czas jestem inną osobą. Miałam zmienione włosy i sylwetkę. Zostałam poproszona, żeby sporo przytyć do roli [blisko dziesięć kilogramów – przyp. red.], co uważałam za bardzo potrzebne. W całym temacie seksu i kobiecości czułam się wtedy bardzo dobrze sama z sobą. Czułam, że to niezbędne do zagrania Kaliny. Takie były wtedy standardy, może dzisiaj też powinny być – podkreśla aktorka.

Niezwykle istotne okazały się przygotowania wokalne: – Oczywiście okazało się, że to nie jest takie proste – zaśpiewać jak ktoś inny – mówi Dębska. – Jednocześnie zależało mi, żeby to było moje i prawdziwe. Żeby nie było „kserówką”, tylko emocjonalną wypowiedzią.

Najważniejszym zadaniem było jednak złożenie wszystkich wspomnianych elementów w wyrazistą postać – zjawiskową i kusicielską. Pierwszą seksbombę PRL. Żyjącą na własnych zasadach, wbrew pruderyjnemu społeczeństwu.

Wypowiadając się dla RMF24, Maria Dębska mówiła: „Jedną z naczelnych cech Kaliny Jędrusik, które wydawały mi się wyjątkowe już od początku przygotowań do filmu, był jej bezwstyd. Myślę, że jesteśmy często zawstydzane, już od momentu, kiedy jesteśmy bardzo małe... Słyszymy: »Nie wypada ci, jak ci nie wstyd, nie wolno ci tego robić. Dziewczynka nie powinna...«. Myślę, że to samo słyszą chłopcy. A Kalina to była jednostka pozbawiona w pewnym sensie tego kagańca”.

POWROTY I ODKRYCIA

Przywołując barwną postać stworzoną w „Bo we mnie jest seks” (film trafi do kin 12 listopada), warto też wspomnieć o może mniej spektakularnej wizualnie, ale ważnej, choć drugoplanowej roli. Mowa o kreacji stworzonej przez wracającą w wielkim stylu na duży ekran Sławomirę Łozińską („Lokatorka”). Ekranowa Janina Markowska wzorowana była na zamordowanej dziesięć lat temu Jolancie Brzeskiej. Odbierając nagrodę, aktorka wyraziła nadzieję, że winni śmierci Brzeskiej zostaną ukarani.

Wyróżniony w kategorii drugoplanowa rola męska Andrzej Kłak w obrazie „Prime Time” zagrał jednego z zakładników – ochroniarza Grzegorza. W ciągu ostatnich miesięcy (premiera odbyła się w kwietniu 2021) aktora mogliśmy też oglądać w wojennym filmie „Cudak” Anny Kazejak, gdzie stworzył równorzędną (z bohaterem Kazimierza Mazura) pierwszoplanową postać – muzyka, Szymona Akermana, oraz w serialu „Kowalscy kontra Kowalscy”. Teraz, na małym ekranie, wciela się w kucharza Leszka. Na planie serialu „Kuchnia” spotkał się m.in. z Marią Dębską.

eprasa.pl 1499ff6129

TERAZ ON

Andrzej Kłak to aktor, którego się zapamiętuje. Podobnie jak twarz Jacka Belera, nieobcą m.in. widzom serialu „Stulecie Winnych" (to on zagrał wracającego po latach, schorowanego Pawła Bartosiewicza). W obsypanym nagrodami obrazie „25 lat niewinności" wcielił się w jednego z więźniów. Jego charakterystyczna aparycja skutecznie działała też w roli gangstera z serialowego „Królestwa kobiet".

Beler (rocznik 1983, dyplom warszawskiej Akademii Teatralnej z 2009) trochę poczekał na swoją szansę. Film „Inni ludzie" (premiera zapowiadana na 18 marca 2022) – choć zdominowany przez kobiety (reżyser i scenarzystka: Aleksandra Terpińska; podstawa: książka Doroty Masłowskiej; bohater żyje w ciasnym mieszkaniu z matką i siostrą) – właśnie jemu przyniósł nagrodę za główną rolę męską.

Gdy po gdyńskiej gali usłyszał stwierdzenie dziennikarki, że wygrał w kategorii obstawionej znakomitymi aktorami, odpowiedział, że zna i ceni swoich konkurentów. Tym bardziej się cieszy, że „teraz to mógł być on". Pytany o doświadczenia związane z filmem podkreślał, że nigdy wcześniej nie miał okazji mierzyć się z takim materiałem, jaki zaproponowała Dorota Masłowska. – Zostawiłem tam wszystko – stwierdził. – Cała ekipa i każdy z osobna dał z siebie wszystko. Zaryzykowaliśmy, żeby zrobić materiał między musicalem, rapem a nawet poematem. Myślę, że jest tam wiele gatunków, które moglibyśmy wziąć na warsztat. I każdy jest bardzo interesujący.

Co było najtrudniejsze w roli? Wiek. – Bohater Doroty Masłowskiej, tak odebrałem to po przeczytaniu książki, jest dużo młodszy – zauważa aktor. – Mówiłem reżyser, że gdyby zadzwoniła kilka lat temu, to propozycja byłaby w punkt. Teraz nie ma we mnie tego ognia, który ma Kamil Janik; bohater, który nic innego nie robi, tylko biega po mieście. I nie może zdążyć na tramwaj. Nie może zdążyć na miłość. Wydawało mi się, że nie mam tyle energii... ale okazało się, że jest zupełnie inaczej. Ola [Aleksandra Terpińska – reżyser i scenarzystka – przyp. red.] podała mi konkretne argumenty, dlaczego chce, żebym to ja zagrał, i udało się to w takim stopniu, jakiego bym się nigdy nie spodziewał.

Aleksandra Terpińska też miała pewne wątpliwości dotyczące wieku, ale i tak Beler – aktor z doświadczeniem również reżyserskim i muzycznym (wokalista zespołu Mięśnie), poeta i grafik – był jej pierwszym wyborem. – Wiedzieliśmy, że rap w naszym filmie musi być na poziomie. Niełatwe zadanie, bo tekst na podstawie książki Doroty Masłowskiej ma swoje rytmy, a jednocześnie postawiliśmy sobie zadanie, żeby brzmiało to jak najbardziej naturalnie i zarazem minimalistycznie – komentowała po festiwalowym pokazie.

LWY I STRACHY

Srebrne Lwy na tegorocznym festiwalu w Gdyni zdobył film „Żeby nie było śladów" w reż. Jana P. Matuszyńskiego, przypominający postać Grzegorza Przemyka. Platynowe Lwy – za całokształt twórczości – przyznano Agnieszce Holland. Najważniejsze, Złote Lwy, powędrowały do ekipy obrazu „Wszystkie nasze strachy" Łukasza Rondudy i Łukasza Gutta (także autora zdjęć).

Wręczając statuetki, przewodniczący jury Andrzej Barański uzasadnił werdykt: – Film jest piękny i aktualny. To, że w przyszłości będzie piękny, to wiadomo, zobaczymy, jak będzie z jego aktualnością.

Według informacji dystrybutora zwycięski obraz trafi do kin w pierwszym kwartale przyszłego roku. Do tego czasu, ponieważ tylko nielicznym udało się go zobaczyć, musimy się opierać na opiniach krytyków i wypowiedziach twórców.

Pomysłodawca, reżyser i współscenarzysta Łukasz Ronduda, przedstawiając „Wszystkie nasze strachy" w Gdyni, mówił, że inspiracją było spotkanie z pracą artysty Daniela Rycharskiego pt. „Krzyż" – cały film jest wokół niej zbudowany. Przywołał sytuację wykreowaną przez Rycharskiego: „Pojechanie w to miejsce (gdzie powiesiła się dziewczyna o odmiennej orientacji), ścięcie drzewa, zrobienie krzyża, chęć przeprowadzenia drogi krzyżowej, wyjście do ludzi, którzy szykanowali tę osobę, a jednocześnie wyjście z komunikatem pełnym miłości, a nie nienawiści, chęci wspólnego poszukania przebaczenia... Ten film wziął się z tej opowieści".

Inni członkowie ekipy przypominali pobyt dokumentacyjny w Kurówku (Daniel Rycharski – pierwowzór głównego bohatera – mieszka i tworzy w niewielkiej wiejskiej wspólnocie i mimo swojej odmienności cieszy się jej szacunkiem), a także wystawę „Strachy", na której spędzili dużo czasu, obserwując reakcje ludzi.

Filmowego Daniela zagrał Dawid Ogrodnik. Rycharski, który na kinowym ekranie zobaczył „esencję swojej pracy, sztuki i swojego życia", wspomina, że aktor, poza tym, że obserwował jego ruchy i to jak chodzi... chciał się przyjrzeć bliżej jego duchowości, religijności. To go najbardziej interesowało.

Reżyser zapewnia, że „Wszystkie nasze strachy" to film z ducha chrześcijański. Wtóruje mu Rycharski: – Krzyż jest symbolem każdego, kto chce się do niego przyznać [...]. W moich projektach wracam do początków, zadaję sobie dwa podstawowe pytania: „Czym jest dla mnie chrześcijaństwo?" i „Kim jest dla mnie Jezus Chrystus?".

Twórcy filmu podkreślają też, że „Wszystkie nasze strachy" możemy pokonać, jeżeli będziemy wobec siebie czuli i uważni.


„Wszystkie nasze strachy" w reżyserii Łukasza Rondudy

Fot. Bartosz Mrozowski / Nextfilm

Fot. @jaroslawsosinski.pl/KinoŚwiat



W gorsecie

Kiedy świat obiegła wiadomość, że Hagai Levi pracuje nad remakiem „Scen z życia małżeńskiego" Ingmara Bergmana, wielu zadało sobie pytanie o sensowność takiej produkcji. Czy do Bergmanowskiej rozprawy o istocie monogamicznego związku – dzieła tak wnikliwego i spełnionego – można jeszcze cokolwiek dopowiedzieć? Przecież instytucja małżeństwa nie mogła się przez ostatnie pół wieku aż tak bardzo zmienić



KLARA PAWLICKA

A jednak wyprodukowany przez HBO amerykański serial, który premierowo zaprezentowano na niedawnym Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Wenecji, jest dowodem na to, że takie zmiany zaszły i przy nieco bardziej uważnym spojrzeniu okazuje się, że są znacznie poważniejsze, niż można się było spodziewać. Co więcej, by w pełni zrozumieć naturę i znaczenie instytucji małżeństwa w świecie ponowoczesnym, konieczne będzie rozpoczęcie od absolutnych podstaw polegających na ponownym zdefiniowaniu pojęć zupełnie kluczowych. Pojęć o znaczeniu niegdyś oczywistym i niekwestionowalnej wcześniej aksjologii. Dziś razem z Mirą i Jonathanem (w tych rolach niezwykle trafnie obsadzeni Jessica Chastain oraz Oscar Isaac) zaczynamy więc lekcję poruszania się w nowym układzie świata, posłusznie podążając ścieżką wyznaczoną przez współczesne autorytety, by gdzieś po drodze zastanowić się, czy aby nie zmierzamy ku przepaści.

Pierwszą, najbardziej wyrazistą zmianą „Scen..." wobec szwedzkiego oryginału jest zamiana ról w podziale małżeńskich obowiązków. Odnosząca sukcesy w korporacyjnej karierze Mira jest odpowiedzialna za utrzymanie rodziny, natomiast Jonathan skupia się na znacznie mniej dochodowej pracy profesora filozofii oraz zajmuje się ich jedyną córką. Mamy więc coraz powszechniejszy współcześnie obraz rodziny nuklearnej, w której to przede wszystkim kobieta zapewnia materialny byt rodzinie. Już ta decyzja oraz następne wynikające z niej elementy fabuły nadają serialowi świeżość. Mimo fizycznych podobieństw (Jessica Chastain z powodzeniem mogłaby grać siostrę Liv Ullmann) Mira i Jonathan nie są odzwierciedleniem Marianne i Johanna, których losy oglądaliśmy u Bergmana. Nie są również odwrotnościami swych szwedzkich odpowiedników – dzięki mieszance owych różnic i podobieństw udało się twórcom wykreować całkiem nowe, bardzo złożone osobowości, a przez to uzyskać unikatowość łączącej ich relacji.

Bohaterowie różnią się nie tylko podziałem domowych obowiązków, lecz przede wszystkim stosunkiem do

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 1499ff6129

przyjmowanej przez siebie roli. Bergman z rozbrajającym chłodem i bezkompromisowością opowiadał historię człowieka, który z pełną świadomością i bez większych wyrzutów sumienia (te przyszły nieco później) porzuca swą rolę wiernego małżonka, by szukać szczęścia poza monogamicznym związkiem. Człowieka, który z premedytacją stawia własne szczęście na miejscu pierwszym, by dopiero po latach zdać sobie sprawę z konsekwencji hiperegoizmu. Szwedzka wersja to także historia emancypacji porzuconej kobiety, która odnajduje w sobie nieznaną wcześniej siłę do samostanowienia. Bergman (sam będący pięciokrotnym rozwodnikiem) kreuje się więc na demaskatora gorzkiej prawdy na temat wyidealizowanej wizji instytucji małżeństwa.

Bohaterowie serialu Leviego znajdują się w zupełnie innym punkcie. Od początku są całkowicie świadomi irracjonalności oczekiwań wytwarzanych przez konsumencką kulturę zachodnią, w której małżeństwo musi się opierać na nieustającej intensywności, namiętności i seksie. „A przecież wszystko to bierze się z efektu nowości, więc to z gruntu błędna koncepcja" – stwierdza niby naukowo Jonathan podczas wywiadu na temat tajemnicy sukcesu swego małżeństwa, nie zdając sobie sprawy, że deprecjonuje małżeńską miłość. Krytykując współczesne postrzeganie małżeństwa jako kolejnego „projektu", nad którego realizacją trzeba pracować, słuchając porad modnego coacha, bohaterowie twierdzą, że dla nich związek małżeński to raczej środek, a nie cel – platforma do wspólnego rozwoju. Rozwoju dwóch – równych, ale osobnych – jednostek połączonych relacją opartą na partnerstwie. W teorii – słusznie. Ale też brzmi jak instrukcja obsługi zmywarki. Wyzbyta pasji, czułości i pragnienia duchowej wspólnoty.

Na przestrzeni pięciu odcinków twórcy serialu przeprowadzają bohaterów przez wiele sytuacji, w których przychodzi pora, by udowodnić owo gorliwie deklarowane partnerstwo. Na swej drodze bohaterowie dokonują więc różnych wyborów i podejmują niejednokrotnie niełatwe decyzje – najbardziej uderzające wydaje się jednak, że przez cały czas robią to nie po to, by przeciwko instytucji małżeństwa się buntować czy złamać obowiązujące zasady, ale wręcz przeciwnie – by ową „platformę rozwoju" pielęgnować i zachować. Podręcznikowo, za wszelką cenę, wręcz doktrynersko starają traktować siebie nawzajem z partnerskim szacunkiem rozumianym wedle zasad politycznej poprawności. Wstrząsająca jest scena dyskusji na temat kolejnego dziecka, gdy pozorna troska o zadowolenie drugiej strony sprawia, że okazanie szczerej radości z powiększającej się rodziny bohaterowie stają się ukryć pod pancerzem chłodnych kalkulacji. Nie mogę przecież okazać, że się cieszę, bo może ona tej ciąży nie chce? Nie mogę powiedzieć, że pragnę, by on tego dziecka chciał, bo może on go nie chce? W ten sposób nowoczesne, poprawne polityczne rozstrzygnięcie zamiast ratowania związku okazuje się pierwszym krokiem do jego upadku. I gdzieś pomiędzy jedną a drugą starannie wypracowaną reakcją czy upewnieniem się, czy na pewno każde z bohaterów robi to, czego druga osoba oczekuje, zdajemy sobie sprawę, że Mira i Jonathan powtarzają kroki Marianne i Johanna. Zachowując się dokładnie według wyuczonych, narzuconych przez współczesny świat schematów, dążą ku upadkowi dokładnie tak, jak pół wieku wcześniej czynili to bohaterowie Bergmana. Może dlatego nowa odsłona „Scen z życia małżeńskiego" nasycona jest znacznie większą dozą tragizmu.

Nie chcę zdradzać szczegółów fabuły, nie mogę więc odpowiedzieć na pytanie o to, który ze współczesnych drogowskazów prowadzi ku zgubie. Czy zawinił tu kult egocentryzmu, samorealizacji, tak modnego dzisiaj self-care przedkładanego nad relację z drugim człowiekiem? Czy nowe modele relacji przewartościowujących znaczenie pojęcia wierności i rodzicielstwa? Czy był to wspomniany brak małżeńskiej szczerości ściśniętej gorsetem poprawnych politycznie zakazów? A może pustka zawieszenia w świecie zmieniającym się tak szybko, że trudno się uchwycić czegokolwiek trwałego? Warto zwrócić uwagę, że reżyser wprowadza nieobecny u Bergmana autobiograficzny wątek religijny – Jonathan wywodzi się z ortodoksyjnej żydowskiej rodziny i mimo że teoretycznie zerwał swój związek z tą częścią swojego życia, to religia nadal jest kluczowym składnikiem jego tożsamości.

Warto zwrócić uwagę, że reżyser wprowadza nieobecny u Bergmana autobiograficzny wątek religijny – Jonathan wywodzi się z ortodoksyjnej żydowskiej rodziny i mimo że teoretycznie zerwał swój związek z tą częścią swojego życia, to religia nadal jest kluczowym składnikiem jego tożsamości

Każdy odcinek serialu rozpoczyna się od zakulisowego wprowadzenia – widzimy Jessicę Chastain i Oscara Isaaca na planie filmowym w momencie, w którym wchodzą w swoje role, stając się Mirą i Jonathanem, wkładając kostium społecznych ról męża i żony. Stając się produktem współczesności. I chyba właśnie ten paradoks stara się twórca nowych „Scen z życia małżeńskiego" przekazać widzowi. Że im mocniej walczymy o ową upragnioną podmiotowość według zasad współczesnego świata, idących w poprzek natury uczuć, tym bardziej prawdopodobne, iż ją właśnie stracimy. A pod sztywnym gorsetem modnych teorii i politycznie poprawnych reguł kryje się przecież opowieść o miłości pomiędzy dwojgiem ludzi. Miłości kruchej i okaleczonej przez to, co próbuje z nią zrobić współczesność, a jednak wciąż żywej. Miłości, która trwa.

eprasa.pl 1499ff6129

3 MIŁOŚCI

Pustka postchrześcijaństwa



ROBERT TEKIELI

Wczoraj rozmawiałem z Jackiem Hajnosem. Dziś dominikaninem, braciszkiem, który poświęca swe życie bezdomnym, kiedyś artystą, grafikiem prowadzącym artystyczne życie. W pewnym momencie zaczął świadomie pogrążać się w grzechu, co doprowadziło go do duchowego związania. W kulminacyjnym momencie leżał sparaliżowany na łóżku, wyzbyty władzy nad swym ciałem. I gdy wreszcie zaczął próbować wołać o pomoc, zamiast modlitwy wydobywał się z jego ust bełkot. Podobną historię paraliżu i manifestacji władzy demona nad ciałem człowieka opowiedziała mi kilka lat temu Ania Golędzinowska. Piotrek Jeleń, znany youtuber, w szkole filmowej miał obowiązkowe ćwiczenia jogi. Dla chrześcijanina religijna praktyka jogi to bałwochwalstwo. W jego przypadku skończyła się modlitwą o uwolnienie.

To nie są opowieści z mchu i paproci. Stoją za nimi konkretne osoby. Mówią, przedstawiając się z imienia i nazwiska.

Dzisiejsze wyobrażenia o opętaniu, zniewoleniu i egzorcyzmach ukształtowane zostały przez popkulturę. Lewitacje, głowy obracające się o 360 stopni. Z rzeczywistością ma to niewiele wspólnego, choć czasami w trakcie egzorcyzmów dzieją się rzeczy w materialnym świecie niewytłumaczalne.

Opętanie i zniewolenie to nadzwyczajne działania złego ducha. Ze zwyczajnym każdy z nas ma do czynienia codziennie – choćby z pokusami. Przed nimi osoba pozostająca w komunii z Bogiem zawsze może się obronić. Inaczej jest z duchowym związaniem. Tu obrona często jest niemożliwa, bo ataki idą z wnętrza duszy człowieka, są bowiem skutkiem otwarcia się na złego ducha. Inicjacji.

Piotrek budził się rano i nie mógł się poruszyć. Tak zdarzało się trzy–cztery razy w tygodniu. Czuł ucisk na klatkę piersiową, mógł poruszać jedynie gałkami ocznymi. Kiedyś sparaliżowany zobaczył, jak jego nogi zaczęły się same unosić i opadać. Potem zaczął słyszeć potworne krzyki. Dziś myśli, że to były odgłosy piekła. W trakcie modlitwy o uwolnienie okazało się, że paraliże są skutkiem „zabawy" w podróże astralne, modne w niektórych środowiskach OOBE – Out of Body Experience.

Grzegorz uzdrawiał ludzi, potrafił diagnozować na odległość, przeszedł kurs kontroli umysłu metodą Silvy. Uwolnienie trwało dwa lata. Nie mógł się pozbyć dwóch przewodników duchowych, których kazał mu przywołać prowadzący kurs. Dopiero miesięczna głodówka kilkunastu osób ze wspólnoty, do której trafił, sprawiła, że jest dziś wolnym człowiekiem. Swoje świadectwo zawiesił na YouTubie, obejrzało go już kilkaset tysięcy ludzi.

Wszystkie te historie są efektem oszustwa, manipulacji. Joga ma być np. tylko i wyłącznie ćwiczeniami fizycznymi. Ale jej istota jest religijna. Została stworzona dla osiągania celów religii naturalistycznych. Katolik ćwiczący jogę będzie miał problemy na pewno. A i dla osób nieochrzczonych intensywne zaangażowanie w nią jest destrukcyjne. Takich pułapek jest dziś cała masa.

Zachodnia kultura przeżywa renesans. Renesans pogaństwa. Pierwszym krokiem była rozłożona na dwa stulecia sekularyzacja, teraz puste postchrześcijańskie dusze są nasączane duchowościami pierwotnymi oraz mniej rozwiniętymi formami religijności, jak choćby politeistyczny hinduizm. Owocuje to ludzkimi tragediami. A destrukcyjna inwencja złego ducha jest zadziwiająca.

Gdy zobaczyłem Anetę, przedstawiała sobą obraz nędzy i rozpaczy. Była trzeci rok w żałobie i tyle samo czasu w głębokiej depresji. Straciła pracę, zerwała relację z kochającą i kochaną mamą, była skrajnie nieszczęśliwa. Przez prawie dwie godziny rozmowy nie byłem w stanie rozpoznać, kiedy i jak otworzyła się na rzeczywistość demoniczną. Dopiero pod koniec powiedziała: – Nie wiem, czy to ważne, ale trzy dni po śmierci mojego narzeczonego w wypadku, zaczął mi się pojawiać w snach. Zaczęłam z nim rozmawiać, dzieje się tak do dziś.

Demon przez rok mówił jej, jaki to Bóg jest dobry, jakie niebo jest piękne, a od pewnego czasu zaczął namawiać ją do czynów niemoralnych. Aneta robiła w realnym życiu to, co podpowiadał jej „narzeczony" we śnie. Nawiązała z nim relację. Była uzależniona.

Gdy dowiedziała się, że w istocie jest to zły duch, w trakcie modlitwy o uwolnienie wyrzekała się gorliwie tej relacji. Kapłan nałożył na nią ręce i po pięciu minutach wyszła z kaplicy jako inna osoba. Była wyprostowana, uśmiechnięta. Tak właśnie działają egzorcyzmy i modlitwy o uwolnienie. Człowiek wyrzeka się relacji ze złem, a moc Jezusa Chrystusa zrywa niewolące go więzy. Chodzi o to, by to wyrzeczenie się było jak najbardziej autentyczne. By opierało się na wolnej, nieprzymuszonej decyzji bazującej na intelektualnej akceptacji swojego stanu i jego przyczyn. Żeby ta decyzja była bezwarunkowa. I żeby oczekiwanie Bożej pomocy było szczere.

Dlatego tak ważna jest informacja o zagrożeniach duchowych ukrytych w kulturze. I świadomość, że z każdej sytuacji jest wyjście.

eprasa.pl 1499ff6129



WOJNA CYWILIZACJI

Warte Pusty dom, samotność, utrata dziecka, związek poddany dramatycznej próbie. Największym wyzwaniem dla współczesnego człowieka jest samotność. Brak miłości: „Czasem odpychamy ludzi tylko po to, żeby zobaczyć, czy wrócą". Twórcom filmu „Szpak" (Netflix) udało się opowiedzieć historię na ten nieśmiertelny temat w prosty, wręcz ascetyczny sposób.

Film fabularny wyczerpuje się powoli. W kolejnych i kolejnych produkcjach pojawiają się te same obrazy w tym samym rytmie, używane w tej samej funkcji. Ujęcie pt. „Piękno krajobrazu" jako kropka i enter. Scenarzysta mówi nam: tu kończy się epizod, przechodzimy do kolejnego akapitu. Te ujęcia i w filmie Theodore'a Melfiego są świetne, odświeżają wzrok, przemywają oczy. Ale są przewidywalne. I na tę chorobę umiera filmowa fabuła. Był czas, kiedy mogłem oglądać tylko filmy s.f. klasy D, a może nawet i F. Produkcje, w których permanentnie brakuje kasy i reżyser musi co jakiś czas stosować zabieg deus ex machina. Dzięki tym rozpaczliwym zabiegom historia staje się przynajmniej nieoczywista, choć nadal jest bezdennie głupia.

Tu historię opowiedziano wręcz genialnie. Nie ma zbędnych scen. Każda buduje nowy sens. I do tego jak ten film został zagrany! Świetny jest kiedyś niedoceniany Kevin Kline, a klasą samą w sobie – Melissa McCarthy. Oscarowa puszysta aktorka. W obcisłych dżinsach wyglądająca wręcz karykaturalnie. Taka postać dodaje wiarygodności obrazowi Melfiego. Dziś ludzie niemający problemów z nadwagą są już chyba w mniejszości. Hollywoodzkie, skatowane boskie ciała gwiazd, szczupłe, dziś są coraz mniej naturalne. Zaskoczeniem jest dla mnie natomiast Chris O'Dowd, z genialnie zagraną kulminacyjną sceną, gdy bohater uciekający przed traumą w izolację po raz pierwszy otwiera się przed ludźmi z grupy terapeutycznej. Film, który chce być czymś więcej niż tylko czystą rozrywką, jest po to, by wywoływał bezpieczne emocje, by pomagał widzowi obejrzeć siebie samego. Scenarzysta Matt Harris zręcznie operuje symbolem. Kontakt elektryczny, „pstryczek", staje się metaforą niezbędnej zmienności życia. Bo ciągła światłość czy ciągła ciemność są chore. Mamy też wzruszającą scenę uwalniania szpaka po rekonwalescencji. Biblia, w której są wszystkie obrazy, opowiedziała to tak: „Podarłeś sidła, dusza moja wzleciała".

Do tego żonglowanie wzruszeniem i humorem, żartem: w końcu, kto nie marzył, żeby zostać wegańskim rzeźnikiem. Wycinać małe steki z marchewek i robić kotlety wieprzowe z kalafiora.

Silną stroną „Szpaka" jest też przekładanie emocji na obrazy. Jak w świetnej scenie, gdy Lily wreszcie opróżnia dom z rzeczy dziecka, a na puszystym dywanie pozostają odciski po nogach łóżeczka. Czy można zatrzeć takie ślady? Rozmawiałem z małżeństwami, którym umierały dzieci. Cierpienie wyrywa w sercu ranę nie do zaleczenia do końca życia. Ale nie zawsze jest to rana śmiertelna. W filmie towarzyszymy kolejnym etapom żałoby bohaterów. Targowania się, gniewu, depresji. „Życie jest przewidywalne. Stwórz dla siebie rutynę. Jesteś labilny? To ci pomoże. To zdrowe".

Film ma kategorię 13+. I rzeczywiście, można go obejrzeć z nastoletnią córką. Jest wolny od ideologii. Do tego piękne zdjęcia, bystra anegdota. Na przykład o szpaku i Mozarcie, który urządził swemu ptasiemu geniuszowi pogrzeb, choć nie był na pogrzebie swojego ojca. Ale najważniejsza jest inna warstwa tej opowieści. „Szpak" to film przeciwko całemu światu. – Czy ptaki są monogamistami? Nie da się zmierzyć ze swoją ludzką kondycją, z pytaniem o sens tego całego pełnego szarpaniny życia, gdy człowiek ucieka. W kolejne związki, w alko, narko, porno. „Będziemy mówić, będziemy płakać, a potem wygrzebiemy się z tego". MY. Dojedziemy razem do miejsca, w którym imię córki będzie wspomnieniem, a nie bólem.

Dziś używamy zwrotów „trzebienie", „eksterminacja" – mówi sprzedawca w markecie przy stoiskach z trutkami. Dlaczego? „Bo nie używamy słowa »zabijanie«. Jest niehumanitarne". Cywilizowany świat stosuje magię dziecięcą, zakrywa oczy, tupie. Ale człowiek nie uniknie cierpienia. A liberalizm doprowadzony do swych konsekwencji jest machiną do wytwarzania samotności.

Co jest najważniejsze? Miłość dwojga ludzi. Wierna, owocna. Czy musisz dystansować się do tych słów ironią? Sarkazmem?

„Szpak" to pochwała zwykłych relacji, rozmów, bycia z drugim człowiekiem. Samotność zabija.

To, czego nie potrafią przekazać fabuła i obraz, można opowiedzieć finałową piosenką: „Gdy upadniesz, ja pomogę ci wstać. Czy spędzam czas z rodziną? Czy okazałam słabość? Gdy to dostrzeżesz, to będę ja".

Miłość, oddanie, rezygnowanie z siebie. Szpaki nie są stworzone do samotności.

A film warto obejrzeć już tylko po to, by zobaczyć genialną haftowankę na pstryczek w ścianie. Polecam.

Robert Tekieli
Polskie Radio

Fot. Netflix

eprasa.pl 1499ff6129



Wojciech Stanisławski

W państwie Psiego Cara

Kiedyś Lebiediew stanie się klasykiem, a jego proza znajdzie miejsce w antologiach, moszcząc się wygodnie między Pasternakiem a Nabokovem. Dziś jest objawieniem

Siergiej Lebiediew nieraz w swoich powieściach sięga po formułę ryzykownie bliską hellingerowskich „ustawień". Jego bohaterów, poszukujących prawdy o przeszłości, prowadzą nie tylko intuicje, skojarzenia i olśnienia. Bywa tak, że jakiś przedmiot czy postać w niepojęty sposób pojawiają się w tych fabułach w konkretnym miejscu i czasie, jakby nagle wysunął je z ukrycia tajemniczy mechanizm. Mam pokusę, by użyć tego samego zabiegu wobec tej prozy, by uznać, że Lebiediew pojawił się w drugiej dekadzie XXI w., ponieważ nie sposób byłoby bez jego książek pojąć długiego rosyjskiego stulecia, które rozpoczęło się w roku 1917.

Potęga jego prozy, jej przejrzystość, jasność, a zarazem złożoność przywodzą na myśl blok lodu, jednorodny, szklany i gładki – blok, który powstał z miriad niepowtarzalnych śnieżynek – i nie przestaje odbierać oddechu. Czwartą z kolei powieść autora, nawet wysoko przez nas cenionego, zwykle czytamy trochę inaczej niż pierwszą: nie zaskoczy już nas iskrzenie słów, możemy domyśleć się twistu fabuły, a jeśli pokarani zostaliśmy posiadaniem komparatystycznej uwagi – uśmiechniemy się nad podobieństwem jakiejś sceny, z ulgą odkrywając, że nie mamy do czynienia z dziełem absolutnie doskonałym. I tak, filolodzy mają już dość materiału, by pisać o „lebiediewizmach": reporterskim realizmie, który nie przeszkadza epifaniom, a wszystko to wpisane w fabułę powieści nieledwie łotrzykowskiej, w której nie brakuje mercedesów z przyciemnionymi szybami, cudownych ocaleń, tępej albo wyrafinowanej przemocy.



Siergiej Lebiediew, „Ludzie sierpnia", tłum. Grzegorz Szymczak, Claroscuro, 2021

I co z tego? Kiedyś, jeśli Lebiediewowi starczy życia, zdoła może opisać wszystkie wojny Rosji sowieckiej i posowieckiej, nie tylko, jak w „Ludziach sierpnia", klęskę roku 1941 i rzeźnię wojny czeczeńskiej. Kiedyś opisze wszystkie „ruskie ziemie" – nie tylko trzęsawiska zachodniej Syberii, „Głodowy Step" pustyni Betpakdała, pagórki ukraińskiego Zakarpacia. Kiedyś stanie się klasykiem, a jego proza znajdzie miejsce w antologiach, moszcząc się między Pasternakiem a Nabokovem. Dziś jest objawieniem, świeżym i zranionym jak biały od soku pień złamanego drzewa, trzaśnięta kra, rozłupana geoda.

Wąska fabuła „Ludzi sierpnia" rozpięta jest tym razem w ośmiu latach, jakie upłynęły między puczem Janajewa a wysadzeniem w powietrze czterech bloków we wrześniu 1999 r., aktem, który tak łatwo uznać za pierwszy trop pozostawiony przez tego, o którym autor pisze „człowiek z krótkim telegraficznym nazwiskiem podobnym do pseudonimu operacyjnego, kończącym się na »in«, jak Lenin i Stalin". Korzenie, pokłady, nitki rudy – Lebiediew nauczył nas mówić o Rosji językiem geologii! – sięgają roku 1941, 1937, 1921, ba, czasu, kiedy „w piwnicy Kremla stała pozłacana klatka z wyjątkowymi kogutami, które zastępowały moskiewskiemu władcy salamandry". I wszystko w tej powieści jest dociekaniem, szukaniem, śledztwem.

Nie będę pisał o poszukiwaniach, które w „Ludziach sierpnia" toczą się w tundrze, w pustyni, w zgiełku dyslokowanych nad Terek armii. Śledztwa Lebiediewa prowadzone są przecież również w pamięci, w snach, w tekstach – tekstach okaleczanych i redagowanych, służących zamaskowaniu, nieujawnieniu prawdy. Sowiecka przemoc nie ograniczała się do banalnego łamania kości i granic, deformowała i słowa. „Babcia wybierała na przykład słowo »karabin« i przez zamianę samogłosek lub spółgłosek jakby próbowała doprowadzić je do granic rozpoznawalności: karabin – kerabin – kerapen – gerapen – geraped; spadochron – spadochren – spedokrem – spedakrem...". To opis tworzenia w 1941 „szyfru pomyłek", jednego z tysiąca trików służb specjalnych,

eprasa.pl 1499ff6129

utrudniającego złamanie kodu – ale czy nie słychać tego trzeszczenia sylab w opisie wagonu-chłodni na bocznicy w Mozdoku w roku 1995? „Leżały tam ludzkie ułamki, różniące się od siebie mianownikiem – połówki, trzecie, czwarte, piąte i szóste części człowieka. [...] Wychodziło coś, czego nie da się nawet nazwać – ciało, trup, nieboszczyk. Dowolne słowo, którym próbowałbyś nazwać to, co zobaczyłeś, już nie było właściwe, ponieważ stanowiło całość. Najbardziej adekwatne byłyby porozrywane sylaby – ło, tr, nieboszcz, zab, ty, znów nieb, tr, p, p, p, nieb, cia, ło, o o, o, niebosz, czy, zab, zab...".

W takim języku, z takim mistrzostwem Lebiediew stawia Rosji diagnozy bardziej przerażające niż wszystkie kołyszące się na skrzypiących zawiasach scenariusze geopolityków: jest w stanie to zrobić, ponieważ jego proza jest anamnezą, nie analizą, ponieważ pisarz wnika w rosyjskie doświadczenie i po raz kolejny odkrywa, że jego rdzeniem jest przemoc: pokłady przemocy jak sklejone warstwy zmydlonych skór i mundurów w głębokich dołach, absurdalnej, przekazywanej dalej i niewybaczonej. Miąższość tych warstw, skala tej przemocy jest równie trudna do wyobrażenia co naiwność tych, którzy sądzili, że da się żyć z bagażem tych krzywd, w żaden sposób nieprzepracowanych. A tak żyje Rosja.

Tymczasem bezlitosny Lebiediew nie poprzestaje na tym. Daje nam posmakować urody świata, pisząc o wyrobisku, gdzie wydobywano różowy kwarc – i każe powrócić tej różowości kilkanaście stron później, w niesamowitym obrazie krwi rozcieńczonej mlekiem, po czym rzuca, jak ostatni kamień na rumowisko, jeszcze jeden obraz, będący przygotowaniem do ostatecznej diagnozy:

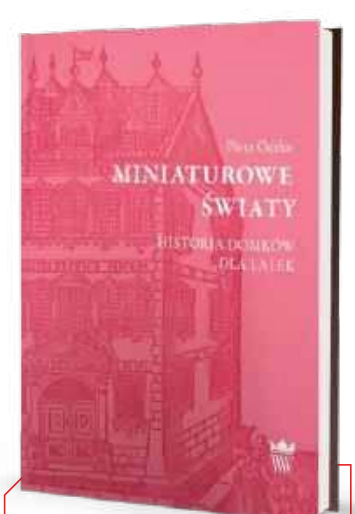
„Nagle zza muru intensywnie i słodko zapachniało chlebem. Podniosłem głowę – to była piekarnia, niska, ceglana. Zapach docierał zza muru gęsto oplecionego drutem kolczastym. Zapach chleba i ostre druciane kolce – jak całość, której nie da się rozdzielić, przygnębiające poczucie powinowactwa".

„Oto właśnie jest radzieckość, jej istota, jej cielesny wymiar" – myśli główny bohater. „To już w nas pozostanie". Ten dwugłowy splot przemocy, która stała się piątym żywiołem, oraz poczucia bezpieczeństwa, pachnącego chlebem, ten dylemat, doświadczany przez ludzi sierpnia 1991, ale i przez Rosję od jej zarania, konieczność wyboru między autarchą a anarchią – tak brzmi prawda dociekana między fałszywymi okładkami książek, nad położoną w środku pustyni studnią, na której wilgotne kamienie opadają truchła os. A nam, którzy to czytamy, robi się wstyd (niepotrzebnie może, ale nieuchronnie), że zmitrężyliśmy lata 90. zabawiając się lekturą Pielewina.

Księżyc makowy

Można się zanurzać w tym świecie, po prostu podziwiając go (i dalipan, tak właśnie często postępowano w krajach niemieckich, w wiktoriańskiej Anglii i w Niderlandach), tak jest nieobjęty, kipiący od detali. Jak u klasyka: „John Donne już śpi. Śpi mocno cały świat./ Posłanie, strop, obrazy, krzesła, ściany,/ zasuwy, haki, szafa pełna szat,/ zasłony, świeca, kredens, stół, dywany...". Dodajmy: dziewięć szczotek z domku Het Grachtenhuis, wiklinowa niby, sześciocentymetrowa kołyska spleciona z filigranu, fortepian wysokości kubka, na którym można było grać, uderzając w klawisze drutami do robótek, drewniane miniaturowe prawidła do miniaturowych butów... Na ziarnku maku stoi mały dom, pieski szczekają na księżyc makowy.

Można, pewnie nawet należy, patrzeć również na domki dla lalek jako źródło do dziejów zmieniającej się kultury materialnej i obyczaju: srebrne szkandele, miedziane rondle, kije do wygładzania pościeli po zasłaniu łóżka, baldachimy, nocniki, beczki, balie, rzędy miodowych i białych słojów w pokoju aptecznym i wykrochmalonych koszul – w bieliźnianym. A w domku królowej Marii z lat 20. XX w. – garaż na sześć rolls-royce'ów. Oczywiście jest to często opowieść nie o rzeczywistości ciasnych i ciemnych wnętrz, lecz projekcja marzeń, „dom idealny", jasny od pudru i sreber, w którym w dodatku, po rozchyleniu drzwiczek, widać strukturę rodzinną i społeczną równie wyraźnie co ścianki działowe, „szklane sufity" rzucają się w oczy niemal równie wyraźnie co te upiększone stiukami.



Piotr Oczko, „Miniaturowe światy. Historia domków dla lalek", Muzeum Pałacu w Wilanowie, seria Silva Rerum, 2021

Ale Piotr Oczko odsłania kolejne ścianki i poziomy tych konstrukcji, widząc w domkach dla lalek narzędzie pocieszenia lub spełnienia, czasem azyl dla tych, dla których świat okazał się zbyt nieprzewidywalny i zmienny – a tu mogli (jeśli było ich stać: niderlandzki pronkpoppenhuis kosztował tyle, ile kamienica nad kanałem!) uwić przytulny dom, w intarsjach i safianach, i sadzać w nim na lata woskowe manekiny.

Ta kultura skończyła się, mimo kilku wzruszających prób budowania domków w duchu Der Stijl czy Bauhausu: ani w Lego, ani w Minecrafcie nie da się wznieść azylu. Gdzie chowa się dziś przed światem, gdzie triumfuje współczesna Petronella Oortman, żona bławatnika?

eprasa.pl 1499ff6129

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Wyczarowują nam światy

Mówi się, że Teatr Telewizji to tylko kilkaset tysięcy widzów. A to wieleset razy więcej niż widownia największego teatru repertuarowego – przypominał Jan Tomaszewski, doradca zarządu TVP. To on był jedną z osób, które odbudowały Teatr Telewizji po roku 2015. Rzecz działa się na śniadaniu prasowym, w starym i zimnym Zamościu, do którego przeniesiono w tym roku festiwal Dwa Teatry.

Po pandemii produkcja Teatru Telewizji wyhamowała. Czekamy na ciekawe propozycje, choćby na spektakl „Stara kobieta wysiaduje" Tadeusza Różewicza w interpretacji speca od tej twórczości – Andrzeja Barańskiego. Rolę tytułową zagra Ewa Dałkowska. Moim marzeniem są wszakże dwie, trzy premiery miesięcznie. Jakub Majmurek drwi, że ten teatr to ramota. Tymczasem tę największą scenę robią wciąż najlepsi reżyserzy i aktorzy, o czym przypomniały nagrody za całokształt dla Ewy Wiśniewskiej i Jerzego Zelnika.

W Zamościu Grand Prix wygrał „Dzień gniewu" Romana Brandstaettera. Jacek Raginis wyreżyserował posępny katolicki dramat z czasów II wojny światowej. Swoisty pojedynek na siłę woli między przeorem klasztoru i esesmanem, jego dawnym kolegą. Ciarki przechodzą po plecach, kiedy się to ogląda. Wspaniałe role, zwłaszcza Radosława Pazury i Rafała Gąsowskiego. I uwaga na boku – pewnie żaden teatr repertuarowy, by dziś po tę sztukę, żywą, o czymś, nie sięgnął.

Mnie szczególnie ucieszyła nagroda za reżyserię dla „Innego świata" według Herlinga-Grudzińskiego. Igor Gorzkowski dokonał niemożliwego. Zmienił Herlingowe wspomnienie czy reportaż z sowieckiego łagru, piękny literacko, ale oparty na relacji, w rzeczywistość dialogu. W małych często scenkach wystąpili najlepsi aktorzy. Przewodnikiem po tym świecie był Philippe Tłokiński. Ale może największy wstrząs przeżywam, patrząc w twarz byłego popa Dimki granego przez Andrzeja Mastalerza.

Nieludzki świat i jednak wyzierające z niego człowieczeństwo. Dylematy nam nieznane, jak w rozmowie głównego bohatera z innym dawnym więźniem (Rafał Zawierucha), który miał alternatywę: donieść albo samemu skazać się na śmierć. Wielki to spektakl, jeden z najlepszych, jakie widziałem – nie w tym roku, a w życiu.

Mastalerz dostał aktorską nagrodę, podobnie jak Ewa Dałkowska za wspaniałe „Badyle" Różewicza-Barańskiego, Jan Englert za Dyapanazego Nibka w „Małym dworku" Witkacego i łódzka aktorka Monika Buchowiec za rolę Marii, żony Piłsudskiego, w „Ni z tego, ni z owego" Macieja Wojtyszki.

Englert, Barański, Gorzkowski, Dałkowska, Wojtyszko – niezły zestaw mistrzów ramoty. Majmurek powinien się wstydzić, ale nie będzie. Znałem już te wszystkie spektakle, więc ja w Zamościu biegałem na słuchowiska. Wielki urobek dyrektora Teatru Polskiego Radia Janusza Kukuły i rozgłośni regionalnych budzi respekt. Działali nawet w apogeum pandemii. Bez dekoracji, samymi głosami wyczarowywali nam wszelkie światy.

Oto i w radiu powstał „Inny świat". Nigdy mnie nie zawiódł autor adaptacji Wojciech Tomczyk, nie zawiodła i reżyserka Anna Wieczur-Bluszcz. Krótsza, mniej upozowana na fabułę, radiowa opowieść o łagrze, porusza niewiele mniej niż telewizyjna. I znowu głos Mastalerza...

W konkurencji radiowej wygrał „Wyszedł z domu" Różewicza w reżyserii Szymona Kuśmidra. Nie słyszałem, obiecuję, że nadrobię. Ale np. „Rzeczy, których nie wyrzuciłem" Michała Zdunika nagrodzone w kategorii adaptacji (napisał Marcin Wicha), to przejmująca przypowiastka o rozstawaniu się z umierającą matką. Wystarczy, że Danuta Stenka mówi do mikrofonu kilka zdań... Piękny świat, który na szczęście ma ciągłość, kontynuację...

Piotr Zaremba



eprasa.pl ff6129

EKOLOGIA Z ENERGĄ
Cykl dodatków dotyczących ekologicznych postaw, inwestycji w zieloną energię, odnawialnych źródeł energii

Energa
GRUPA ORLEN

- Na łamach tygodnika „Sieci” wspólnie z ekspertami z Grupy Energa opowiadamy o tym, jak wykorzystać energetyczną transformację z pożytkiem dla domowego budżetu i ochrony środowiska
- Sprawdź, jak zostać prosumentem
- Własny prąd z paneli fotowoltaicznych – to jest przyszłość
- Inwestycje energetycznej spółki w OZE
- Spójna strategia polskich czempionów

FOTOWOLTAIKA – TO NIE TAKIE TRUDNE

sprasa.pl 1499ff6129

Fotowoltaika bije rekordy. Programy wsparcia sprzyjają rozwojowi rynku

Na koniec czerwca 2021 r. moc zainstalowana we wszystkich źródłach wytwórczych energii wyniosła blisko 53 GW. Z raportu przygotowanego przez Agencję Rynku Energii wynika, że obecnie potencjał elektrowni konwencjonalnych wynosi ok. 37 GW, natomiast instalacji odnawialnych źródeł energii (OZE) – nieco ponad 14 GW. Fotowoltaika, której moc zainstalowana wynosi przeszło 5 GW, wśród źródeł OZE zajmuje drugie miejsce, za energetyką wiatrową (ponad 6,5 GW)

Dystans między energetyką słoneczną i wiatrową stopniowo się zmniejsza za sprawą fotowoltaiki. Moc zainstalowana w energetyce słonecznej w Polsce wzrosła w ciągu roku o 117 proc., w czerwcu 2021 r. fotowoltaika wyprodukowała 633,3 GWh energii elektrycznej, czyli o 168 proc. więcej niż rok wcześniej, przy czym energia elektryczna wyprodukowana przez tego typu instalacje stanowiła 5 proc. energii wyprodukowanej w czerwcu przez wszystkie źródła wytwórcze – informuje Jakub Król ze Stowarzyszenia Branży Fotowoltaicznej – Polska PV.

W EUROPEJSKIEJ CZOŁÓWCE

Europejskie stowarzyszenie branży fotowoltaicznej SolarPower Europe wskazuje, że według danych za 2020 r. Polska jest na czwartym miejscu pod względem przyrostu mocy w energetyce słonecznej. Pomimo kryzysu gospodarczego w UE wywołanego pandemią COVID-19 łączna moc zainstalowana w fotowoltaice w 2020 wzrosła w Europie o 11 proc., czyli o 18,7 GW i ostatecznie wyniosła 137,2 GW. Jest to największy przyrost od 2011 r.

Większość mocy instalacji fotowoltaicznych w Polsce stanowią mikroinstalacje prosumenckie – około 70 proc. Na wzrost popularności mikroinstalacji, w szczególności fotowoltaicznych, wpływają programy rządowe: Mój Prąd i Czyste Powietrze, które zapewniają dofinansowanie inwestycji w niezależne źródła energii dla gospodarstw domowych. 1 lipca wystartowała trzecia edycja programu Mój Prąd, w którym nowi prosumenci mogą liczyć na dofinansowanie w wysokości do 3 tys. zł.

Warto zauważyć, że właśnie kończy się budżet tej edycji programu, który wynosił 534 mln zł. Kwota alokacji wystarczy na dofinansowanie maksymalnie 178 tys. mikroinstalacji fotowoltaicznych, a zostało już złożonych ponad 162 tys. wniosków – informuje NFOŚiGW.

Energetyka przechodzi olbrzymią rewolucję. Odnawialne źródła energii stają się coraz ważniejsze dla globalnej gospodarki. Duże wyzwania w tym zakresie stoją również przed Polską. Osiągnięcie neutralności klima-



tycznej do 2050 r. przy 55-proc. redukcji emisji do 2030 r. w stosunku do roku 1990 – taki cel stawia sobie Unia Europejska.

– Przyjęta przez rząd Polityka Energetyczna Polski (PEP) do 2040 to swoisty kompas, pokazujący kierunek zmian polskiego systemu energetycznego – mówi Michał Kurtyka, minister klimatu i środowiska.

Spadek cen wytwarzania energii ze źródeł odnawialnych to jeden z najważniejszych czynników pozwalających założyć, że do 2030 r. udział węgla w krajowym miksie wyraźnie spadnie. Jak pokazują analitycy Polskiego Instytutu Ekonomicznego i Fundacji Instrat w raporcie „Przyszły miks energetyczny Polski – determinanty, narzędzia i prognozy", zróżnicowanie źródeł wytwarzania energii w polskim miksie będzie w najbliższych latach postępować.

Zgodnie z PEP w 2030 r. udział OZE w końcowym zużyciu energii brutto wyniesie co najmniej 23 proc., moc zainstalowana farm wiatrowych na morzu wyniesie ok. 5,9 GW w 2030 r. i wzrośnie do ok. 11 GW w 2040 r., a w 2033 r. zostanie uruchomiony pierwszy blok elektrowni jądrowej o mocy 1–1,6 GW. Kolejne bloki będą wdrażane co dwa–trzy lata, a cały program jądrowy zakłada budowę sześciu bloków.

– W tej chwili, ci którzy są największymi zwolennikami w Europie tego zielonego układu, zielonej transformacji, już akceptują to, iż energetyka jądrowa to nie jest konkurencja dla odnawialnych źródeł energii – to jest niezbędne uzupełnienie dla OZE i tak to trzeba traktować – mówi Piotr Naimski, sekretarz stanu, pełnomocnik rządu do spraw strategicznej infrastruktury energetycznej.

OD OZE NIE MA ODWROTU

Szacuje się, że dzięki transformacji energetycznej powstanie ok. 300 tys. nowych miejsc pracy w branżach związanych z odnawialnymi źródłami energii, energetyką jądrową, elektromobilnością, infrastrukturą sieciową, cyfryzacją czy termomodernizacją budynków.

– Firmy energetyczne funkcjonujące w Polsce już teraz podejmują działania mające na celu redukcję CO_2 i przejście na OZE. Wiele z nich widzi, że od tego trendu nie ma odwrotu i bycie bardziej „zielonym" jest koniecznością. Obecnie szczególnie dynamicznie rozwija się segment fotowoltaiki – mówi Maciej Tarnawski z Santander Bank Polska.

Zdaniem ekspertów Polskiego Instytutu Ekonomicznego czynniki ekonomiczne wskazują kierunek rozwoju sektora energetycznego w Polsce. W IV kwartale 2019 r. globalna cena węgla wynosiła 227 zł za tonę, w Polsce zaś 266 zł za tonę. Od 2017 r. aż pięciokrotnie wzrosła cena prawa do emisji CO_2, z niecałych 6 euro do ok. 60 euro za tonę. Jednocześnie spadają koszty wytworzenia energii elektrycznej z OZE, czego najjaskrawszym przykładem jest fotowoltaika, gdzie w okresie 2010–2018 odnotowano aż 77-proc. spadek.

W inwestycje fotowoltaiczne mocno angażują się koncerny energetyczne. Oferty dla inwestorów mają Energa, Polska Grupa Energetyczna PGE, Tauron, Innogy/E.ON.

Budowa PV Gryf, nowej farmy fotowoltaicznej Energi OZE – spółki zależnej Energi z Grupy Orlen – weszła właśnie w najważniejszy etap. Rozpoczął się montaż ok. 40 tys. paneli fotowoltaicznych. Farma będzie mieć moc zainstalowaną ok. 20 MW. Planowany termin uruchomienia PV Gryf to grudzień 2021 r. Energa OZE realizuje także pięć mniejszych farm fotowoltaicznych o łącznej mocy zainstalowanej ok. 5 MW, których uruchomienie planowane jest na 2022 r.

ZALETY PRODUKCJI ENERGII ZE SŁOŃCA

– Obecnie zarówno fotowoltaika, jak i energetyka wiatrowa dominują na rynku OZE pod względem przyłączanych mocy. Co stanowi przewagę energetyki słonecznej? Fotowoltaika jest bardziej przewidywalna, ale także jest bardziej dostępna. Jeżeli przyjrzymy się rynkowi mikroinstalacji OZE, to w tym sektorze fotowoltaika dominuje w 99 proc. Fotowoltaika jest łatwa do zaimplementowania, ale także w przypadku dużych instalacji OZE znacznie łatwiej jest znaleźć miejsce pod farmę fotowoltaiczną niż pod farmę wiatrową, co wynika z tego, że warunki słoneczne w większości kraju są bardzo podobne – mówił Bogdan Szymański, prezes Stowarzyszenia Branży Fotowoltaicznej – Polska PV, podczas IV edycji Konferencji „Forum Wizja Rozwoju", która odbyła się 26–27 sierpnia w Gdyni.

Zdaniem Bogdana Szymańskiego miarą opłacalności instalacji prosumenckich, czyli instalacji o mocy do 50 kWp, jest prosty okres zwrotu, który w obecnych warunkach wynosi sześć–osiem lat. Natomiast, jeśli mówimy o inwestycjach, które są finansowane kredytem, zwracamy uwagę na rentowność zainwestowanego kapitału. Patrząc na system aukcyjny, rentowność jest relatywnie niska i wynosi 4–7 proc. zainwestowanego kapitału.

– Znacznie ciekawszą opcją, która rozwija się w Polsce, są umowy cywilnoprawne. Ceny energii elektrycznej w Polsce podlegają tak dynamicznym zmianom, że opłaca się inwestować w farmę fotowoltaiczną i zawierać indywidualne kontrakty – poza giełdą – z firmami, które są bardzo energochłonne i w swoim miksie energetycznym potrzebują tańszej energii, a także chcą się wykazać inwestycjami w odnawialne źródła energii – mówi Bogdan Szymański.

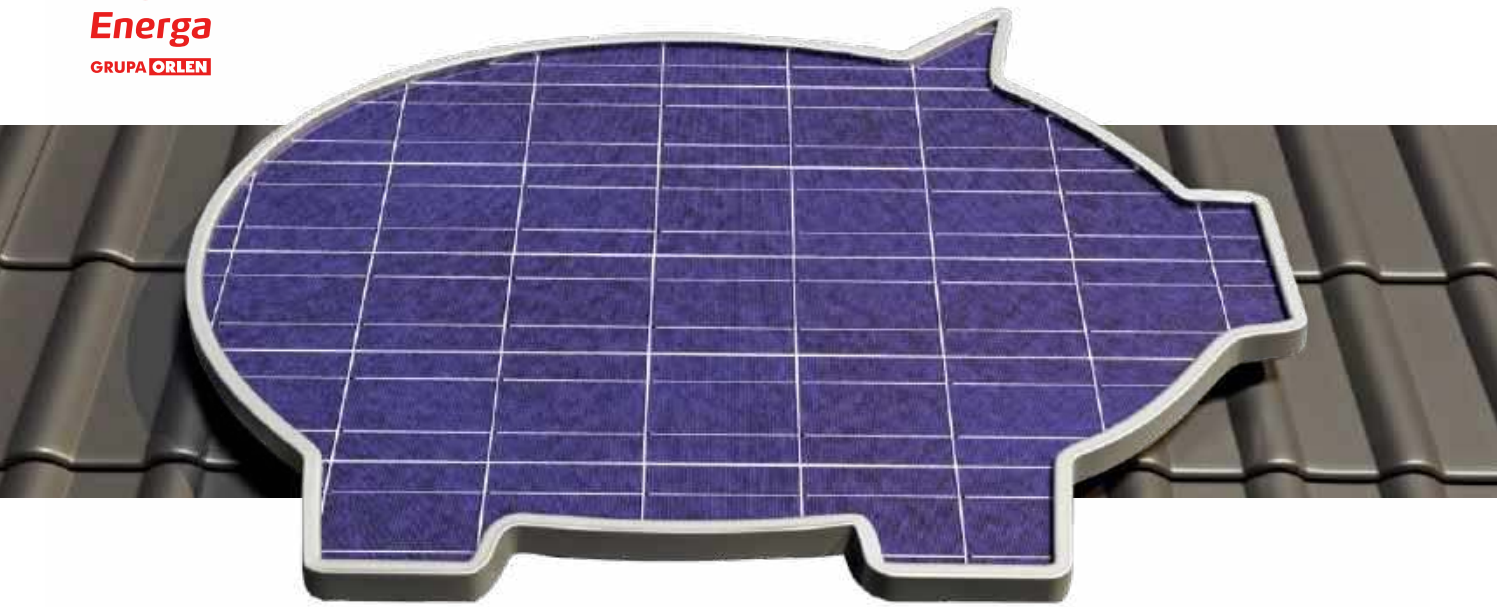
Do inwestowania w fotowoltaikę nadal będą zachęcały państwowe dofinansowania. Rząd już zapowiedział kontynuowanie w 2022 r. popularnego programu Mój Prąd. Dodatkowo w ramach Polskiego Ładu mają być uruchomione fundusze promujące magazynowanie energii oraz inteligentne systemy zarządzania energią w domu.

– Kolejnym impulsem wspierającym rozwój branży fotowoltaicznej jest ciągły wzrost elektromobilności w Polsce. Własny samochód elektryczny idzie w parze z instalacją PV oraz ładowarką domową – mówi Jakub Jadziewicz, członek zarządu Alians OZE.

Robert Olesiński

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 1499ff6129



Fotowoltaika – czy to się opłaca?

Pędzący naprzód świat wymaga coraz większej produkcji energii. Widzimy to także w Polsce – im szybciej rozwija się nasz kraj, tym więcej potrzebujemy zasilania, zarówno dla przemysłu, firm, jak i naszych domów. Skąd jednak czerpać energię w świecie, który stoi przed klimatycznymi wyzwaniami? Jak zasilać dom czy firmę, gdy potrzebujemy więcej prądu, ale jego produkcją nie chcemy obciążać środowiska? Coraz popularniejszym rozwiązaniem staje się fotowoltaika

ENERGIA PROSTO ZE SŁOŃCA

Zamontowane na dachu budynku (np. domu) lub na gruncie ogniwa tworzą moduły, stanowiące jeden z elementów instalacji. Samo określenie „fotowoltaika" pochodzi właśnie od zjawiska fotowoltaicznego – procesu, podczas którego energia ze słońca zostaje przekształcona w prąd stały, przekazany następnie do falownika (zwanego też inwerterem). Urządzenie to przekształca prąd stały na zmienny, który z kolei zasila urządzenia domowe, takie jak sprzęt RTV i AGD, pompy ciepła czy bojlery CWU.

Ale czy fotowoltaika działa też w pochmurne dni? Pytanie jest bardzo zasadne. W słoneczny dzień panele wytworzą nadwyżkę prądu, która trafi do sieci energetycznej i to właśnie stamtąd zostanie pozyskana energia, którą będzie można spożytkować nocą lub w mniej słoneczne dni. Skąd wiemy, ile prądu dana instalacja do sieci oddała, a ile pobrała? Jednym z elementów instalacji elektrycznej jest licznik dwukierunkowy, dokonujący pomiarów dwukierunkowego przepływu prądu. Licznik dwukierunkowy zlicza energię wytworzoną z instalacji PV, którą oddajemy do sieci z tzw. nadprodukcji... i oczywiście pobraną z sieci. Opisana technologia wydaje się jednak niezwykle skomplikowana. Czy inwestowanie w tak zaawansowaną technologię w ogóle się opłaca?

ENERGETYCZNA INWESTYCJA NA LATA

Rozwiązania fotowoltaiczne cieszą się w Polsce coraz większą popularnością. Nasi rodacy nie tylko pokocha-

eprasa.pl 1499ff6129

li ekoinnowację, jaką jest fotowoltaika, ale najwyraźniej uznali, że jest ona też korzystna dla ich portfeli.

Według pełnomocnika rządu ds. OZE Ireneusza Zyski w lipcu w Polsce było już 650 tys. prosumentów (czyli właścicieli instalacji fotowoltaicznych). Rozwój jest jednak w tym segmencie niezwykle dynamiczny i szacuje się, że do końca roku prosumentów może być już nawet milion. Wszystko to dzięki programowi Mój Prąd, którego jednym z założeń było dofinansowanie instalacji paneli fotowoltaicznych. Budżet trzeciej edycji tego programu wynosił 534 mln zł i szybko został wykorzystany, jednak czwarta edycja programu ma mieć znacznie większe możliwości finansowe. Ma ona zakładać nie tylko dofinansowanie zakupu i montażu paneli fotowoltaicznych, lecz także domowych magazynów: energii elektrycznej, ciepła, chłodu, systemów zarządzania energią oraz ładowarki dla samochodu elektrycznego. Oznacza to, iż chętni na zostanie prosumentami będą mieli jeszcze większe możliwości dofinansowania inwestycji, co znacząco odciąży ich własny, domowy budżet – zarówno na etapie instalacji, jak i potem, gdy wskutek działania ich własnej, domowej, fotowoltaicznej „elektrowni" znacząco obniżą się rachunki za prąd. Co więcej – wiele programów fotowoltaicznych oferuje dodatkowe ułatwienia. Np. w ramach fotowoltaiki od spółki Energa Obrót potencjalny prosument może liczyć na bezpłatną, zindywidualizowaną wycenę inwestycji, jak również nawet 25 lat gwarancji na panele. Drastyczne obniżenie rachunków za prąd także może być w tym wypadku istotnym argumentem, co warto opisać na przykładzie: mieszkając z rodziną w jednopiętrowym domu z ogrzewaniem podłogowym, rocznie zużywać można nawet 4000 kWh (średnie zużycie bez paneli podłogowych to ok. 2,5 tys. kWh), co znacząco wpływa na domowy budżet. Przyjmując, że decydujemy się na instalację 18 paneli o łącznej mocy 5,04 kW, zyskamy dzięki znacznemu obniżeniu rachunków za prąd. A to nie wszystko, bo zwrot kosztów zakupu i instalacji paneli także nastąpi szybko – w opisywanym przypadku już po sześciu latach.

FOTOWOLTAIKA TO TAKŻE PYTANIA

W porządku, zdecydowaliśmy. Jak teraz się do tego zabrać? Kto może zostać prosumentem, jak wygląda proces instalacji i czy są jakieś kwestie, które należy brać pod uwagę?

Prosumentem energii odnawialnej może zostać każdy, kto wytwarza energię elektryczną tylko z odnawialnych źródeł energii w mikroinstalacji na własne potrzeby, jest odbiorcą końcowym, czyli nie wykorzystuje energii na potrzeby wytwarzania, przesyłania lub dystrybucji energii elektrycznej, dokonuje zakupu energii elektrycznej na podstawie umowy kompleksowej, wytwarzanie energii elektrycznej nie stanowi przeważającej działalności gospodarczej. Prosumentami w szczególności mogą zostać gospodarstwa domowe, przedsiębiorcy, osoby fizyczne prowadzące gospodarstwo rolne, rybackie, sadownicze, hodowcy, jednostki sektora finansów publicznych, spółdzielnie i wspólnoty mieszkaniowe, Kościoły i związki wyznaniowe, nadleśnictwa, związki sportowe, jednostki badawcze czy też fundacje i stowarzyszenia. Co ważne w wypadku, gdy ktoś jest przedsiębiorcą i odsprzedaje wyprodukowaną przez siebie nadwyżkę energii na podstawie zawartej umowy – by stać się prosumentem, musi najpierw ową umowę rozwiązać. Proces ten jest jednak bardzo prosty i można go zainicjować jednym mailem wysłanym na adres oze@energa.pl.

Warto też pamiętać o tym, iż utrzymanie wysokiej wydajności instalacji fotowoltaicznej wymaga regularnego, dokładnego czyszczenia. Warto w takim wypadku zdać się na usługi profesjonalnych firm, których pracownicy mają uprawnienia i doświadczenie w pracy na wysokościach. Trzeba też mieć na uwadze, że na wydajność paneli fotowoltaicznych wpływają rozmaite czynniki, jak choćby orientacja montażu paneli względem stron świata, kąt nachylenia dachu, jakość montażu i jakość wykorzystanych komponentów. Nie należy się jednak martwić zasadnością instalacji paneli w naszych, polskich warunkach klimatycznych. Polska ma bowiem praktycznie takie same warunki nasłonecznienia jak nasz zachodni sąsiad – Niemcy, będące światowym liderem w liczbie zamontowanych paneli fotowoltaicznych. A co, gdy pogoda drastycznie się pogorszy? Czy panelom mogą zaszkodzić częste w ostatnich latach burze, śnieżyce lub gradobicia? To pytanie także jest zasadne – na szczęście obecnie wykorzystywana technologia jest bardzo zaawansowana. Współczesne panele zabezpiecza warstwa szkła hartowanego, które przechodzi odpowiednie testy wytrzymałościowe. Oznacza to, że są zabezpieczone przed niekorzystnymi warunkami atmosferycznymi. Dla wielu użytkowników ważny może być też wpływ paneli na ich nieruchomość. Ten wpływ istotnie występuje – nieruchomość wyposażona w panele fotowoltaiczne staje się w dużym stopniu niezależna energetycznie, co pozytywnie wpływa na jej cenę. Taka nieruchomość jest też bardziej eko, instalacja nie generuje bowiem żadnych zanieczyszczeń. Trzeba jednak mieć na uwadze, że instalację fotowoltaiczną należy montować na gruncie albo dachach skośnych i płaskich, unikając montażu na eternicie. Instalacja fotowoltaiczna ma nam służyć wiele lat, eternit zaś jest materiałem kruszejącym z wiekiem, co może prowadzić do potrzeby wymiany instalacji lub remontu. Sporo zamieszania wywołuje też nieprawdziwa informacja dotycząca przegrzewania się instalacji fotowoltaicznych – współcześnie montowane panele mają odpowiednie zabezpieczenia i przegrzanie im nie grozi.

Fotowoltaika to – jak widać – technologia zielonej przyszłości oraz innowacja, którą każdy z nas może mieć we własnym domu. Idea samowystarczalnych energetycznie domostw jeszcze 30 lat temu wydawała się wizją rodem ze śmiałej powieści science fiction. Dziś widzimy, że ta przyszłość już tu jest i może skutecznie ocieplać i zasilać nasze domy.

Arkady Saulski

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 1499ff6129

Klienci Energi Obrotu stawiają na rozwój „zielonej przyszłości”


Marcin Dawidowski

Energa Obrót, spółka zależna Energi z Grupy ORLEN, wychodzi naprzeciw oczekiwaniom swoich klientów, dlatego poszerzyła ofertę o instalacje fotowoltaiczne. Jako jedna z czterech największych spółek energetycznych w Polsce, zgodnie z trendami, stawia na odnawialne źródła energii, a jej oferta stanowi ciekawą alternatywę na rynku energetycznym. Co zyskują klienci korzystający z nowej oferty Energi Obrotu i dlaczego warto ją rozważyć? Na te pytania odpowiadają menedżerowie spółki – ***Marcin Dawidowski***, dyrektor Departamentu Sprzedaży Rynku Masowego, oraz ***Remigiusz Markizański***, kierownik Wydziału Sprzedaży Paneli


Remigiusz Markizański

Obecna oferta fotowoltaiki od Energi Obrotu skupiona jest na dostarczeniu możliwe jak najlepszych rozwiązań dostosowanych do oczekiwań klientów. Co wyróżnia ofertę Energi Obrotu od ofert konkurencyjnych?

Marcin Dawidowski: Oferta Energi Obrotu jest szyta na miarę potrzeb każdego klienta i warunków technicznych, jakie posiada. Pracujemy na wysokiej jakości komponentach, przykładamy uwagę do najmniejszych detali. Stale rozszerzamy naszą ofertę o różnego rodzaju nowinki techniczne. Zależy nam, aby nasi klienci czuli się zaopiekowani na każdym etapie inwestycji i eksploatacji instalacji fotowoltaicznej.

Remigiusz Markizański: Swoje działania opieramy na pięciu podstawowych filarach – stabilności, ekologii, nowoczesności, profesjonalizmie oraz wygodzie. Jako część Grupy ORLEN i jedna z czterech największych krajowych spółek energetycznych mamy ugruntowaną pozycję na rynku. Zapewniamy inteligentne, energooszczędne i ekonomiczne rozwiązania. Wybieramy nowoczesne technologie, zapewniające długoletnią pracę i bezawaryjność, mamy także fachowe ekipy monterskie. Co jednak najważniejsze, jesteśmy z klientem na każdym etapie inwestycji – od przygotowania i przedstawienia oferty, przez montaż, po przyłączenie instalacji do sieci dystrybucyjnej. Wszystkie formalności bierzemy na siebie.

Podczas podejmowania decyzji o zainstalowaniu fotowoltaiki oprócz pytań o ofertę pojawiają się także dylematy związane z zaletami tego

eprasa.pl 1499ff6129

rozwiązania i opłacalnością inwestycji. Czy warto inwestować w fotowoltaikę?

Remigiusz Markizański: Odpowiedź brzmi – zdecydowanie tak. Instalując panele fotowoltaiczne, w pewien sposób uniezależniamy się od zmieniających się cen na rynku energii elektrycznej, a rachunki za prąd zmniejszają się w znacznym stopniu. To zielona energia. Podczas 25-letniej pracy instalacji może się pojawić konieczność opłacenia usługi czyszczenia paneli czy serwisowania, ale poza tym instalacja jest w tym czasie w zasadzie bezkosztowa. Średni zwrot z inwestycji z przeznaczeniem na własny użytek (domowy) wynosi sześć–osiem lat. Czas ten może się skrócić w przypadku skorzystania z ulgi termomodernizacyjnej oraz różnego rodzaju dopłat, np. programu Mój Prąd, do którego nabór ruszył 1 lipca.

Marcin Dawidowski: Ważną zaletą instalacji fotowoltaicznej jest także jej aspekt ekologiczny. Instalacja jest rozwiązaniem ekologicznym ze względu na bezpośredni brak emisji dwutlenku węgla czy siarczanów. Nie produkuje spalin zanieczyszczających środowisko. Dodatkowo przy instalacjach stawianych na gruncie, a w szczególności większych farmach gruntowych, panele, pochłaniając promieniowanie słoneczne, chronią w znacznym stopniu ziemię przed erozją i odparowywaniem wody, co również pozwala pozytywnie wpływać na środowisko. Zamiana promieni słonecznych w energię elektryczną to milowy krok w ochronie środowiska.

Choć fotowoltaika jest rozwiązaniem popularnym i coraz bardziej powszechnym, wiele osób wciąż się zastanawia, jak działają instalacje fotowoltaiczne. Jak dokładnie funkcjonuje zatem system fotowoltaiczny od Energi Obrotu?

Remigiusz Markizański: Instalacja fotowoltaiczna w oferowanym przez Energę Obrót systemie on-grid składa się z paneli fotowoltaicznych, inwertera (falownika) oraz dodatkowego osprzętu. Sposób działania tego systemu jest w zasadzie bardzo prosty i opiera się na przetwarzaniu światła słonecznego na energię elektryczną, zasilającą cały dom. Za przetwarzanie energii słonecznej odpowiadają ogniwa fotowoltaiczne, umieszczone w panelach. W wyniku zjawiska fotowoltaicznego światło słoneczne jest przekształcane w prąd stały. Sprawność tego zjawiska zależy od kilku czynników: struktury ogniwa, umiejscowienia paneli oraz warunków atmosferycznych. Inwerter zamienia prąd stały na prąd zmienny, który płynie w gniazdkach i zasila domowe urządzenia.

Często spotykamy się także z pytaniami o nadprodukcję lub zbyt małą ilość wytwarzanego prądu. Każdy inwerter w ofercie Energi Obrotu współpracuje z aplikacją na urządzenia mobilne do monitorowania parametrów elektrycznych instalacji oraz produkcji prądu, dzięki czemu nasi klienci zyskują większą kontrolę. W przypadku wyprodukowania zbyt dużej ilości energii płynie ona do dystrybutora, a prosument może później z niej skorzystać. Jeżeli ilość wyprodukowanej energii jest zbyt mała, prąd jest pobierany z sieci. Dlatego w trakcie planowania zakupu instalacji bardzo ważny jest prawidłowy dobór mocy instalacji fotowoltaicznej.

Z roku na rok liczba firm oferujących instalacje paneli fotowoltaicznych rośnie. Wraz z nimi rośnie liczba osób szukających oszczędności i próbujących zamontować cały system samodzielnie. Czy takie działanie ma sens?

Marcin Dawidowski: Moim zdaniem takie działania mogą przynieść więcej szkody niż pożytku. W internecie można znaleźć wiele filmików z instruktażem, jak samodzielnie zamontować instalację fotowoltaiczną. Jednak dla osoby, która nie ma doświadczenia, to zadanie będzie bardzo trudne. Nie bez powodu do odbioru instalacji wymagane jest posiadanie odpowiednich uprawnień. Warto zaufać sprawdzonemu partnerowi, ponieważ zyskujemy pewność, że instalacja zostanie wykonana dobrze. Pewny partner to bezpieczeństwo na każdym etapie inwestycji oraz podczas długoletniej eksploatacji instalacji.

Zamawiając panele fotowoltaiczne od niesprawdzonego dostawcy, klient ryzykuje, że firma zniknie z rynku, a on pozostanie bez możliwości zamówienia serwisu lub zgłoszenia awarii. W przypadku naszych komponentów sprowadzamy je od zaufanych i sprawdzonych dostawców, którzy oferują gwarancję na produkty nawet do 25 lat. Dodatkowo zapewniamy też gwarancję na montaż instalacji.

Oferta fotowoltaiki od Energi Obrotu to oprócz bezpieczeństwa, profesjonalizmu i stabilności także wiele dodatkowych korzyści takich jak specjalna aplikacja mobilna, dostęp do preferencyjnego finansowania oraz pełne wsparcie w całym procesie instalacyjnym. Na co jeszcze mogą liczyć klienci?

Marcin Dawidowski: To prawda – zadowolenie klientów jest dla nas aspektem kluczowym. Posiadamy infolinię dla klientów, którzy chcą się umówić na bezpłatną wizję lokalną, oraz dla klientów, którzy zakupili już instalacje od Energi Obrotu. Szczegóły dotyczące montażu instalacji fotowoltaicznej przedstawiane są podczas spotkania w domu klienta lub zdalnie. Dla nowych klientów mamy także ofertę kredytu na zakup instalacji fotowoltaicznej. Zawarcie umowy kredytowej odbywa się całkowicie online, a decyzja podejmowana jest nawet w ciągu godziny. Wynegocjowane warunki pozwalają na sfinansowanie inwestycji bez angażowania środków własnych. Dla klientów to duży komfort, ponieważ wszelkie formalności związane z instalacją fotowoltaiczną, w tym jej finansowanie, można załatwić podczas jednego spotkania z handlowcem.

Aby skorzystać z oferty Energa Obrót i umówić się na bezpłatną wizję lokalną, należy wypełnić formularz dostępny na stronie www.energa.pl/fotowoltaika lub zadzwonić pod numer tel.: *555 555 505*.

(red)

eprasa.pl 1499ff6129



Spójna strategia polskich czempionów

Zielona energia, wodór, elektrownie wiatrowe, OZE czy wreszcie fotowoltaika – to słowa, które nie tylko są odmieniane przez wszystkie możliwe przypadki na licznych ostatnio kongresach ekonomicznych. Ktokolwiek śledzi poczynania polskich czempionów z branży paliwowo-energetycznej, ten widzi, jak dużo projektów w tej branży związanych jest z transformacją energetyczną

AMBITNA STRATEGIA LIDERA

Aktywa energetyczne Grupy ORLEN obejmują m.in. 54 elektrownie produkujące energię z odnawialnych źródeł, w tym przede wszystkim elektrownie wodne, farmy fotowoltaiczne i lądowe farmy wiatrowe. To w nich realizowane są cele energetyczne strategii ORLEN2030.

Podczas analizy tego dokumentu widać, że polski koncern multienergetyczny w walce o dominację i wpływy na globalnych rynkach nie rezygnuje z zielonej transformacji całego modelu dostarczania i wytwarzania energii. Więcej, to właśnie walka o neutralność emisyjną ma zapewnić finansowy sukces Grupie.

Według raportu Urzędu Regulacji Energetyki w 2020 r. liczba instalacji fotowoltaicznych zamontowanych w naszym kraju wzrosła o ponad 300 proc. w stosunku do roku 2019. Z oczywistych względów częścią tej rewolucji są także projekty realizowane przez Grupę ORLEN. Dla przykładu – równolegle do budowy farmy fotowoltaicznej PV Gryf o mocy zainstalowanej ok. 20 MW trwają realizacje pięciu aktywów fotowoltaicznych o łącznej mocy ok. 5 MW. Nowe farmy umiejscowione są w trzech lokalizacjach: dwie powstają w Samolubiu (woj. warmińsko-mazurskie), po jednej w Czernikowie (obok już istniejącego obiektu –woj. kujawsko-pomorskie) i Przykonie (w sąsiedztwie FW Przykona i budowanego Gryfa – woj. wielkopolskie), a także w Pierzchałach (woj. warmińsko-mazurskie).

Dla wszystkich pięciu mniejszych inwestycji fotowoltaicznych Energi polecenie rozpoczęcia prac wydano z końcem marca 2021. Oddanie ich do użytku planowane jest jeszcze w 2022 r.

Warto dodać, że nowo powstające małe farmy fotowoltaiczne to ultranowoczesne rozwiązania, które będą wykorzystywać tzw. panele bifacjalne, czyli takie, które generują energię elektryczną z energii promieniowania słonecznego, docierającej do obu stron paneli fotowoltaicznych. Rozwiązanie takie wymaga odpowiedniej konstrukcji montażowej i przygotowania powierzchni pod całą instalacją, w celu uzyskania odpowiedniego współczynnika odbijania promieni słonecznych, aby spodnia strona paneli mogła je przekonwertować w energię elektryczną.

Szacunkowo panele bifacjalne pozwalają uzyskać na każdy megawat mocy zainstalowanej o ok. 10 proc. więcej energii elektrycznej niż panele standardowe. Jednocześnie charakteryzują się wysoką sprawnością konwersji energii i mniejszymi spadkami sprawności wytwarzania w czasie.

FOTOWOLTAIKA ENERGI ROŚNIE W SIŁĘ

Przypomnijmy, że obecnie Energa OZE posiada dwie farmy fotowoltaiczne o łącznej mocy zainstalowanej ok. 5,4 MW: PV Czernikowo koło Torunia oraz PV Delta pod Gdańskiem. W 2020 r. wyprodukowały one (podobnie jak w 2019 r.) łącznie ok. 5 GWh energii. Pod koniec ubiegłego roku Energa OZE wydała NTP dla inwestycji w PV Gryf, która jest budowana w bezpośrednim sąsiedztwie działającej od lipca 2020 r. Farmy Wiatrowej Przykona.

Teren, na którym powstaje instalacja – 300 ha gruntów zrekultywowanych po odkrywce kopalni węgla brunatnego Adamów – ma potencjał łącznej mocy zainstalowanej w OZE szacowany na ok. 160 MW.

Obecnie OZE stanowią 39 proc. mocy zainstalowanej w aktywach wytwórczych Energi.

Po przejęciu Energi przez PKN ORLEN realizacja celów związanych z OZE została zintensyfikowana.

SPÓJNA STRATEGIA

Dobrą współpracę i synergię w ramach Grupy ORLEN widać m.in. podczas analizy wspólnie realizowanych projektów. Warto tu wspomnieć choćby o tym, że pod koniec sierpnia br. PKN ORLEN i Energa zawarły porozumienie w sprawie finansowania budowy elektrowni gazowo-parowej w Grudziądzu. Dla koncernu to kolejny etap realizacji wspomnianej wcześniej strategii ORLEN2030, która zakłada rozwój niskoemisyjnych źródeł gazowych i zabezpieczenie systemu elektroenergetycznego opartego na odnawialnych źródłach energii. Przewiduje w związku z tym osiągnięcie powyżej 2,5 GW mocy zainstalowanych w odnawialnych źródłach energii oraz 2 GW w elektrowniach gazowych. Grupa ORLEN już teraz posiada dwa nowoczesne bloki gazowo-parowe w Płocku i we Włocławku, a także EC Płock – największą elektrociepłownię przemysłową w Polsce i jedną z największych w Europie. W 2025 r. produkcję energii ma też według planów rozpocząć blok gazowo-parowy o mocy 745 MW w Ostrołęce, w planach są też elektrownie gazowe w Grudziądzu i Gdańsku.

Artur Ceyrowski

Dodatek powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 58/0821/F

eprasa.pl 1499ff6129



To strach i zła ocena sprawiają, że ludzie uważają, iż ryzyko szczepienia przewyższa ryzyko choroby

Zdjęcia Andrzej Wiktor

Jak walczyć z IV falą COVID-19?

Do debaty „Gazety Bankowej" i tygodnika „Sieci" zatytułowanej dość ambitnie: „Jak zniwelować wpływ czwartej fali COVID-19 na zdrowie Polaków?", zaprosiliśmy stronę rządową, naukowców, lekarzy specjalistów i przedstawicieli organizacji pacjenckich: ***Macieja Miłkowskiego****, podsekretarza stanu w Ministerstwie Zdrowia,* ***dr n. med. Martę Kałużną-Oleksy****, prezesa Polskiego Stowarzyszenia Osób z Niewydolnością Serca, lekarza I Kliniki Kardiologii Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu,* ***Annę Śliwińską****, prezesa Polskiego Stowarzyszenia Diabetyków,* ***prof. dr. hab. n. med. Jarosława Kaźmierczaka****, konsultanta krajowego w dziedzinie kardiologii,* ***dr. hab. n. med. Ernesta Kuchara****, przewodniczącego Polskiego Towarzystwa Wakcynologii, oraz* ***prof. dr. hab. n. med. Grzegorza Dzidę****, internistę, diabetologa, hipertensjologa z Uniwersytetu Medycznego w Lublinie.*

Dynamika zakażeń koronawirusem jest obecnie bardzo zbliżona do tej sprzed roku. Szpitale oraz sieci diagnostyczne przygotowują się do szczytu czwartej fali. Jak ograniczyć liczbę zgonów i hospitalizacji w związku z kolejną falą COVID-19? Czy szczepienia są wystarczającą odpowiedzią na zagrożenie czwartym atakiem koronawirusa? Te pytania zadaliśmy uczestnikom debaty, której zapis publikujemy poniżej.

Minister Maciej Miłkowski: Jaka jest sytuacja – wszyscy widzimy. Bardzo dobrze, że dysponujemy szerokim dostępem do informacji. Każdy obywatel zna liczbę zachorowań, widzi postęp szczepień. My analizujemy te dane. I choć z jednej strony osób zaszczepionych jest wciąż za mało, to z drugiej – po raz pierwszy szczepienie jedynie zalecane, a nie obowiązkowe jest tak popularne. Chciałbym podziękować za wsparcie dr. Ernestowi Kucharowi i Polskiemu Towarzystwu Wakcynologii, z którym od lat współpracujemy.

Dr Ernest Kuchar: Doprecyzowując: szczepienie przeciw COVID-19 jest szczepieniem tylko zalecanym, ale za to całkowicie bezpłatnym. I to mimo że nie jesteśmy krajem najbogatszym. Cena szczepionki jest często barierą dla pacjenta. Tak jak w przypadku szczepień przeciw grypie, które są refundowane tylko dla pewnych grup, czy przeciw pneumokokom, które są ważne, ale mimo to nie są refundowane dla dorosłych, nawet tych z jasno zdefiniowanych grup ryzyka. Działa też aspekt psychologiczny: szczepienie tylko „zalecane", a nie „obowiązkowe" wydaje się pacjentom znacznie mniej ważne, wcale nie takie konieczne. Samo zalecenie to za mało! To nieco obłudne wskazywanie kierunku bez idących za nim jakichkolwiek działań organizacyjnych wspierających pacjentów.

Minister Maciej Miłkowski: Zwróćmy jednak uwagę, że wraz ze szczepieniem przeciw COVID-19 weszliśmy w nowy tryb: za zaleceniem idzie całkowita refundacja i pełna dostępność. Także u lekarzy POZ osoby, które spełniają kryteria kwalifikacji do innych – tylko zalecanych np. przeciw grypie – szczepień, otrzymują je bezpłatnie. Od 1 listopada planujemy wprowadzenie refundacji donosowej szczepionki przeciw grypie dla

eprasa.pl 1499ff6129


Ernest Kuchar


Marta Kałużna-Oleksy


Grzegorz Dzida

wszystkich dzieci do 18. roku życia. W tym roku ukazało się po raz pierwszy rozporządzenie w sprawie szczepień na grypę, doprecyzowujące grupy zakwalifikowane do różnych poziomów refundacji. Nie wszystkie leki, także nie wszystkie szczepienia, są w pełni refundowane, ale warto inwestować w swoje zdrowie – o tym przekonuje też pan doktor w kampanii dotyczącej pneumokoków. Kolejnym szczepieniem, które nie będzie obowiązkowe, ale całkowicie refundowane, jest szczepienie przeciw HPV. W pierwszej kolejności – w 2022 r. – obejmie ono dziewczęta, a za trzy lata także chłopców. Już od 1 listopada będzie ono dostępne w 50 proc. refundacji dla wszystkich.

Jak wygląda sytuacja związana z obciążeniem szpitali? Co czeka nas przy tej fali pandemii?

Minister Maciej Miłkowski: Sytuacja w tej chwili jest znacząco różna w stosunku do tego, co było w ubiegłym roku. Mamy szczepienia, ozdrowieńców, ale także przećwiczony system organizacji ochrony zdrowia szpitali covidowych oraz lepsze rozpoznanie, jak działać farmakologicznie. Część leków podawanych dożylnie będzie dostępna w formie tabletki. Pracujemy nad nowych schematem finansowania porady z podaniem leku, który jest opłacany przez NFZ, ale przyjmowany ambulatoryjnie.

To oznacza nie tylko zwiększenie bezpieczeństwa, lecz również duże oszczędności. W końcu hospitalizacje są jednym z najdroższych elementów systemu. Czy Ministerstwo Zdrowia bierze pod uwagę redystrybucję tych środków z leczenia szpitalnego na refundację leków – a tym samym ograniczenie hospitalizacji i poprawę rokowania chorych?

Minister Maciej Miłkowski: Te środki nie wrócą ze szpitali. Zostaną tam zagospodarowane na miejscu na inne cele, choćby opłacenie zatrudnionego personelu lub finansowanie nadwykonań.

Dr Marta Kałużna-Oleksy: Sytuacja epidemiologiczna spowodowała nieprawdopodobny problem pacjentów kardiologicznych. Mówię o pacjentach kardiologicznych, niecovidowych, którzy albo nie zgłaszali się odpowiednio wcześnie do szpitala, albo czuli się zagubieni w zmienionym systemie funkcjonowania palcówek ochrony zdrowia. Duży naddatek zgonów, który obserwujemy w czasie pandemii COVID-19, jest spowodowany przede wszystkim zgonami sercowo-naczyniowymi, wśród których to nie zawały, ale choroby przewlekłe, w tym szczególnie niewydolności serca, stanowią największą grupę. Zaostrzenia niewydolności serca są z kolei ogromnym zmartwieniem ostatnich czasów. Pacjenci zgłaszali się do szpitali zbyt późno, z bardzo zaawansowanymi objawami, a to z kolei generowało (i nadal generuje) drogie, wielodniowe hospitalizacje, jakich nie było do tej pory. Z drugiej strony nie można obecnie odsyłać pacjentów, którzy czekali od dawna np. na badania diagnostyczne, ani też tych przyjmowanych na ostro – i tak powstają nadwykonania. Pandemia spowodowała, że rzeczywiście myślimy o tym, aby dużo więcej zadań i obowiązków przenieść do ambulatoryjnej opieki specjalistycznej. Brakuje w zakresie kardiologii ustrukturyzowanej formy opieki ambulatoryjnej, w tym szczególnie dla pacjentów z niewydolnością serca, która pozwoliłaby szybciej wyłapywać pacjentów z rozpoczynającymi się dekompensacjami choroby i leczyć ich bardziej intensywnie ambulatoryjnie, by nie doprowadzać do hospitalizacji. Brakuje też dostępu do leków o udokumentowanym korzystnym wpływie na przeżycie chorych z niewydolnością serca i tych zmniejszających ryzyko hospitalizacji. Leki te pozwoliłyby zapewnić naszym pacjentom lepsze funkcjonowanie i uchronić przed hospitalizacją, której tak bardzo nie chcemy, szczególnie w dobie pandemii COVID-19. Leki złożone, tzw. polypill, to preparaty mające w swoim składzie dwie lub więcej substancji leczniczych. Terapia lekami złożonymi jest już stosowana od wielu lat, np. w leczeniu chorych z nadciśnieniem tętniczym. Leki te pomagają lepiej osiągnąć cele terapeutyczne i poprawić compliance z pacjentem, co jest bardzo ważne. Stale pojawiają się nowe preparaty, zawierające coraz więcej substancji, co pozwala jedną tabletką leczyć kilka schorzeń, np. wspomniane nadciśnienie tętnicze i hipercholesterolemię. Trend łączenia wielu leków w jeden jest nieodwołalny i bez leków złożonych nie wyobrażamy sobie, my, lekarze, nowoczesnego leczenia naszych chorych. Dają one nam oręż do skutecznego działania, a pacjentom umożliwiają przyjmowanie mniejszej liczby tabletek.

Minister Maciej Miłkowski: Mamy tego świadomość i analizujemy problem. Kilka lat temu zwiększyliśmy wycenę procedur jednodniowych, czyli otworzyła się możliwość skróce-

eprasa.pl 1499ff6129


Jarosław Kaźmierczak


Anna Śliwińska


Maciej Miłkowski

nia hospitalizacji z kilku dni do kilku godzin. Faktycznie nie ma tego w systemie kardiologii, choć dobry lekarz może prowadzić pacjenta, np. z niewydolnością serca, latami ambulatoryjnie. My również oczekujemy na te leki, których skuteczność potwierdzono w zeszłym roku, ale negocjacje z firmami wciąż trwają. Mamy zarejestrowane dwa leki z grupy flozyn we wskazaniu niewydolności serca z obniżoną frakcją wyrzutową u pacjentów z cukrzycą, jak i bez cukrzycy. Czekają one na decyzję w sprawie refundacji. Tak więc mamy na sercu nie tylko refundację, lecz i reorganizację systemu, aby te ważne choroby populacyjne zabezpieczyć.

A wśród nich i cukrzycę, która w dużym stopniu przyczyniła się do nadwyżki zgonów podczas pandemii – zeszłoroczny raport Ministerstwa Zdrowia mówi o wzroście śmiertelności wśród cukrzyków o 15,9 proc. – to drugie miejsce tuż za chorobami układu krwionośnego ze wzrostem o 16,69 proc. Jakiego wsparcia ze strony ministerstwa oczekują pacjenci?

Anna Śliwińska: 1/3 zmarłych na COVID-19 to osoby z cukrzycą – najczęściej źle kontrolowaną, niewyrównaną czy powikłaną. Podkreślamy w rozmowach z pacjentami, że kontrola cukrzycy jest absolutnie kluczowa, kluczowe jest wyrównanie. Ważne jest to, ile pacjent może zrobić od siebie – a w cukrzycy akurat może bardzo dużo, choćby dbać o prawidłowy styl życia, ale liczy się także dostęp do odpowiedniej farmakoterapii. Te rzeczy muszą iść w parze. Jako środowisko od dawna apelujemy o formalną edukację pacjentów. Ale to, co całkowicie zależy od ministerstwa, to czynnik farmakoterapii, czyli leków, ale też nowych technologii w cukrzycy. Wyrównany pacjent nie musi być hospitalizowany, nie generuje dodatkowych kosztów ani nie powiększa sumy nadliczbowych zgonów.

Prof. Grzegorz Dzida: Podczas pandemii swoje doświadczenie zwiększyli diabetolodzy – wiele nauczyli się o cukrzycy lekarze oddziałów covidowych. I o ile sama cukrzyca nie zwiększa ryzyka zakażenia SARS-CoV-2, o tyle u zakażonej osoby z cukrzycą bardzo rośnie ryzyko hospitalizacji, a za nim pobytu na OIOM, intubacji, respiratora i... zgonu. Niestety cukrzyca okazała się niezależnym czynnikiem ryzyka zgonu w przebiegu COVID-19. Przy każdym przyjęciu do szpitala stężenie cukru powyżej 200 mg% uważa się za prostą drogę pacjenta do komplikacji, równię pochyłą. Konieczne jest wyrównanie. Jeżeli średni cukier 150–160 mg%, po obudzeniu się spada do 140 mg%, a dwie godziny po posiłkach nie przekracza 200 mg% – taki pacjent jest dobrze prowadzony i osiągnie docelowy poziom hemoglobiny glikowanej, tj. zalecane 7%. Wtedy niwelujemy ryzyko. Nie są to wyśrubowane wymagania, ale jednocześnie trudne do osiągnięcia bez wsparcia farmakoterapii. Ta wartość 7% hemoglobiny glikowanej to jest punkt, od którego gwałtownie wzrasta ryzyko zawału, udaru, niewydolności serca, zgonu. Dlatego podczas pandemii tak dbamy o to tzw. wyrównanie. I to nie tylko u pacjentów z cukrzycą: u każdego czy ma rozpoznanie, czy nie, ten poziom cukru 200 mg% jest alarmujący. Tymczasem podczas lockdownu przeciętny Polak przytył o 4 kg – jakie tego będą efekty podczas czwartej fali?

Minister Maciej Miłkowski: W naszym systemie zdrowia brakuje monitorowania efektywności klinicznej terapii. Znając wskaźniki, moglibyśmy dużo lepiej dobierać grupy docelowe farmakoterapii.

Dr Ernest Kuchar: Być może umożliwi to rejestr szczepień dostępny dzięki informatyzacji. Wprowadzając kolejne e-usługi zdrowia, warto też znaleźć w nich miejsce na rejestr szczepień.

Minister Maciej Miłkowski: Ależ oczywiście. Szczepienia będę refundowane pod warunkiem wprowadzenia ich do systemu. Wchodzimy wtedy w zdecydowanie prostszy schemat rozliczeń, bez sprawozdań, za to z pełną widocznością, także dla NFZ. Na dziś w systemie są szczepienia przeciw grypie oraz HPV, ale nie ma problemu z dalszym rozszerzaniem projektu szczepień elektronicznych – oczywiście bieżących, wstecz to nie działa. W Internetowym Koncie Pacjenta niebawem pokażą się też wyniki badań, np. 40+. Jeśli jeszcze uzupełnimy e-dokumentację o szpitalne karty informacyjne, to będzie już pełny obraz stanu zdrowia pacjenta dla jego lekarza prowadzącego.

Jakie są główne wyzwania związane z leczeniem zaburzeń gospodarki lipidowej w Polsce w dobie koronawirusa? Jaki kierunek nadają świeżo opublikowane wytyczne towarzystw naukowych dotyczące diagnostyki i leczenia zaburzeń lipidowych?

Prof. Jarosław Kaźmierczak: Zalecenia w leczeniu hiperlipidemii są bardzo restrykcyjne i one wynikają oczywiście z badań naukowych, które

eprasa.pl 1499ff6129

ewidentnie pokazują korzyści płynące z obniżenia stężenia cholesterolu LDL. To są korzyści długofalowe oparte na redukcji procentowej punktów końcowych, czyli zgonów i hospitalizacji z powodów sercowo-naczyniowych. Aby te kryteria osiągnąć, trzeba wielkiego wysiłku lekarskiego, a także wielkiej pomocy Ministerstwa Zdrowia w szerszym udostępnianiu leków. Mamy wielki przełom w farmakoterapii niewydolności serca. Z czterech grup leków dwie są już refundowane, a dwie jeszcze nie. Ta inwestycja przełoży się na ekonomię w taki sposób, że zmniejszy liczbę hospitalizacji z powodu niewydolności serca, a w tej chwili wiemy że 95 proc. kosztów leczenia niewydolności serca to właśnie hospitalizacje. Mamy w Polsce najwyższy wskaźnik przekraczający 500 hospitalizacji na 100 tys. mieszkańców rocznie – to jest wskaźnik dwukrotnie wyższy od średniej europejskiej i tu niestety tracimy olbrzymie pieniądze. W nowych wytycznych bardzo wiele mówi się o organizacji leczenia, o koordynowanej opiece. W tej chwili jest wprowadzana Krajowa Sieć Kardiologiczna, na razie w formie pilotażu w jednym województwie i obejmuje niestety tylko niektóre elementy KONS, czyli koordynowanej opieki nad pacjentami z niewydolnością serca – programu opracowanego przez Polskie Towarzystwo Kardiologiczne, który od dwóch lat czeka na realizację. Mamy nadzieję, że niedługo sieć rozszerzy się na pozostałe województwa, a także o pozostałe obszary terapeutyczne w kardiologii.

Minister Maciej Miłkowski: Cieszę się, że już dwie grupy leków są refundowane. Brakuje tylko dwóch, w tym jednej całkiem nowej – teraz się zastanawiamy nad flozynami. Z kolei wskazania do programów lekowych poszerzamy zgodnie z zaleceniami konsultantów, licząc, że obejmą więcej pacjentów. Jesteśmy otwarci na nowe zmiany, które okażą się niezbędne po kolejnych analizach.

Prof. Jarosław Kaźmierczak: Jest rzeczywiście duży problem z rekrutacją pacjentów. Musimy tych pacjentów aktywnie poszukiwać i zaangażować w to wszystkie ośrodki kardiologii interwencyjnej, bo tam są leczeni pacjenci z zawałem serca, którzy są potencjalnymi kandydatami do tego programu. Są niestety problemy z nowymi konkursami dla ośrodków, które chciałyby takie programy prowadzić. Tymczasem rozszerzenie możliwości prowadzenia programu na większą liczbę ośrodków na pewno by spowodowało, że to sito, przez które przechodzą pacjenci, byłoby gęstsze i można by było tych pacjentów z bardzo wysokim ryzykiem wyłapać.

To, co nam – i nie tylko nam – się przytrafiało w pandemii, to kłopoty z dostępnością leków. Stąd wiele europejskich krajów prowadzi dziś działania na rzecz wzmocnienia lokalnej produkcji leków. Stosowną strategię przygotowuje również Unia Europejska. Jakie jest podejście Ministerstwa Zdrowia zmierzające do długofalowego wsparcia produkcji leków w Polsce?

Minister Maciej Miłkowski: Firmy farmaceutyczne poszerzają ciągle paletę produktów wytwarzanych w Polsce, w dużej mierze później eksportowanych. Duże koncerny stawiają na specjalizację: produkcję pewnych leków zabrano do innych krajów, ale pozostały takie, dla których jesteśmy jedyną fabryką i dostarczamy je na cały świat. Aktualnie procedujemy zmianę ustawy refundacyjnej. Ministerstwo zaproponowało, że leki produkowane w Polsce będą promowane: częściową odpłatność pacjenta ministerstwo bierze na siebie. Bezpieczeństwo lekowe jest europejskie, ale również każde państwo odpowiada za swoje własne bezpieczeństwo. Oczywiście mamy zdecydowanie łatwiej, bo ten przemysł u nas już istnieje. Nie taki co prawda jak w Niemczech, Francji czy we Włoszech, ale są i takie państwa w Europie, które nie mają w ogóle własnej produkcji. Chcemy wspierać lokalną produkcję w Polsce, ściągać fabryki interesujących nas leków do naszego kraju.

Zaczęliśmy od szczepień i jeszcze do nich powróćmy jako do ważnego elementu profilaktyki, nie tylko z nadchodzącą czwartą falą pandemii...

Dr Ernest Kuchar: Szczepienia są wyjątkowe. W takim sensie, że korzyści z leczenia zyskują bezpośrednio pacjenci, ale korzyści ze szczepień odnoszą też inni, bo zaszczepiony nie zarazi np. swoich domowników, a lekarz – pacjentów. Ponadto szczepienia są najbardziej efektywne kosztowo – widzę, że pan minister na to bardzo zwraca uwagę – w grupach ryzyka, bo w grupach ryzyka szansa, że dojdzie do rozwoju powikłań i hospitalizacji czy zgonu, jest często kilkaset razy większa w porównaniu z ogólną populacją.

Jeśli więc patrzeć na efektywność, to rekomendujemy jako Towarzystwo zwrócenie uwagi na grupy ryzyka, bo u nas szczepienia wciąż kojarzą się tylko ze zdrowymi dziećmi. Nie wiadomo, skąd to się wzięło. Chyba jeszcze z lat 50. ubiegłego wieku. Kalendarz szczepień obowiązkowych kończy się na 19. roku życia. Biorąc pod uwagę nową wiedzę, nowe szczepionki, jak również starzenie się naszego społeczeństwa, czas skupić się też na osobach dorosłych, przede wszystkim starszych i przewlekle chorych. Unikanie szczepień nie jest nowym zjawiskiem i badając tę kwestię, uznano, że głównym powodem takiego zachowania jest obawa przed działaniami niepożądanymi i zła ocena ryzyka: ludzie błędnie uważają, że ryzyko związane ze szczepieniami przewyższa ryzyko choroby, a jest zupełnie odwrotnie – to brak szczepień jest ważnym czynnikiem ryzyka choroby.

Dr Marta Kałużna-Oleksy: Wśród pacjentów kardiologicznych, zaniedbanych edukacyjnie, panuje błędne przekonanie, że kiedy po szczepieniu będą mieli gorączkę, rozchwieje się układ krążenia. Tymczasem jest wręcz przeciwnie, bo nasi pacjenci kardiologiczni, szczególnie ci z niewydolnością serca, powinni chronić się z całej siły przed infekcjami, które są jedną z najczęstszych przyczyn zaostrzenia ich choroby!

Debata **„Jak zniwelować wpływ czwartej fali COVID-19 na zdrowie Polaków?"**, której współorganizatorem był Instytut LB Medical, a partnerami: AstraZeneca, Servier, Pfizer oraz Novartis, odbyła się 23 września. Dyskusję ekspertów moderowała Anna Niczyperowicz

eprasa.pl 1499ff6129



Gdy firmy przejmują rolę państw

Amazon jest tak duży i silny, że może być zagrożeniem dla strategicznych interesów państwa polskiego. Firma Jeffa Bezosa dysponuje niewyczerpanym potencjałem rozwojowym, ale w Polsce może wywołać także efekty antyrozwojowe. Amazon to nie tylko potęga biznesowa, lecz gracz nie do pominięcia w rozgrywce geopolitycznej wokół Trójmorza – tak brzmią główne tezy raportu przygotowanego w Akademii Sztuki Wojennej. Miał on trafić do najważniejszych osób w państwie

Fot. Worawee Meepian/Shutterstock.com

eprasa.pl 1499ff6129



PIOTR FILIPCZYK

O potrzebie regulacji działań gigantów technologicznych mówiło się od lat, ale dopiero takie wydarzenia, jak zablokowanie dostępu do sieci prezydenta USA Donalda Trumpa czy spór Facebooka z australijskim rządem, powodują nagłe otrzeźwienie; świat się budzi, a ludzie zaczynają dostrzegać, że największe firmy technologiczne odgrywają w naszym systemie społecznym inną rolę, niż dotąd uważano – mówił wiosną tego roku prof. Andrzej Zybertowicz, jedna z najważniejszych postaci intelektualnego zaplecza obozu rządzącego. Poza doradzaniem prezydentowi Andrzejowi Dudzie oraz ożywioną działalnością naukową i publicystyczną pełni on funkcję kierownika Ośrodka Studiów nad Wyzwaniami Cywilizacyjnymi w Centrum Badań nad Bezpieczeństwem Akademii Sztuki Wojennej. Ośrodek jest think tankiem mającym przygotowywać rządzących do konfrontacji z nowymi, słabo jeszcze przebadanymi zagrożeniami.

A takim zagrożeniem, według naukowców pracujących w zespole Zybertowicza, może być dla przyszłości Polski Amazon. Działalność firmy, która ma u nas swoje centra logistyczne, a od niedawna także polskojęzyczną platformę sprzedażową, poddana została wnikliwej analizie, a jej wyniki zamieszczono w lipcowym Biuletynie Specjalnym OSnWC. Mimo że, jak ustaliliśmy, dokument nie jest klauzulowany, w przeciwieństwie do wielu innych publikacji nie został zawieszony na stronie ośrodka, krążąc po Warszawie jedynie w formie wydruków. Publicznej dyskusji nad bardzo mocnymi tezami biuletynu brak. Nadszedł czas, by to zmienić.

„INWIGILACJA UŻYTKOWNIKÓW", „PRYWATYZACJA BEZPIECZEŃSTWA"

Czy Polska ma w ogóle szansę, by w relacjach z połykającym coraz więcej obszarów naszego życia (od handlu w internecie, przez gromadzenie i obsługę danych, po ochronę zdrowia) Amazonem zachować podmiotowość?

„Globalna skala działalności Amazona jest obecnie tak duża, że instytucje publiczne nie mają możliwości zatrzymania wszystkich negatywnych wpływów koncernu na społeczeństwo. Mogą jednak podejmować próby moderowania i regulowania obecności Amazona na swoim terenie poprzez narzędzia prawa pracy i ochrony danych osobowych" – odpowiadają autorzy opracowania pt. „Amazon w Polsce i jego oddziaływanie na ład społeczny oraz instytucjonalny".

Na blisko 100 stronach raportu autorzy reasumują wątki, które zostały dokładnie opisane za granicą i są (jako takie) obecne także w polskim obiegu medialnym. Ciągle zwiększany przez Amazona zakres usług, oparcie się na sztucznej inteligencji i masowym pozyskiwaniu danych czy działania określane w raporcie jako „metoda ograniczania informacji publicznej" i „metoda cenzurowania treści" mają prowadzić do „niepożądanych z perspektywy społeczeństw interesu demokratycznych efektów kulturowo-cywilizacyjnych", które polegają „na stopniowej monopolizacji kluczowych usług, inwigilacji użytkowników, prywatyzacji bezpieczeństwa, utracie kontroli nad danymi osobowymi, obniżaniu zaufania do państwa i instytucji publicznych oraz ograniczaniu swobody wypowiedzi".

„MAKSYMALNE KONTROLOWANIE TERENU"

Znajomo brzmi również wniosek wynikający z analizy metody „dążenia do maksymalnego kontrolowania terenu", jaką ma stosować Amazon. Własna, stale rozwijana sieć dostaw (w 2020 r. połowę przesyłek firma dostarczała własnymi kurierami, stopniowo rezygnując z dostawców zewnętrznych, jak poczta czy globalne firmy kurierskie) jest tylko jednym z przykładów modelu biznesowego Amazona, który „opiera się o stopniowe przejmowanie wszystkich ogniw związanych z potrzebami konsumenckimi w handlu detalicznym, przy jednoczesnym stopniowym zawłaszczeniu całego łańcucha logistycznego dostaw".

Zdaniem analityków ośrodka zagraża to „logistycznej suwerenności Polski", ale przede wszystkim jest emanacją „neokolonialnego" stosunku Amazona do krajów naszego regionu.

„Poza USA Amazon oferuje zatrudnienie głównie na stanowiskach wpisujących się w model »średniego dochodu«. Większość inwestycji w Polsce zlokalizowana jest na obszarach o niskim obecnie bezrobociu. Inwestycje te nie wypełniają zatem luk w tej części rynku, gdzie niska podaż pracy jest szczególnie dokuczliwa. Mogą natomiast pogłębiać efekt metropolizacji kraju i zwiększania przewagi Polski zachodniej nad wschodnią" – czytamy w raporcie.

NARZĘDZIE TRÓJMORZA?

W jaki sposób można ograniczyć „ryzyko neokolonialnego wpływu na Polskę", na jakie wskazują autorzy Biuletynu Specjalnego? Taką szansą jest „połączenie ekspansji Amazona w regionie CEE z celami politycznymi projektu Trójmorza". Kwestie geopolityczne to zresztą chyba najciekawszy wątek opracowania. Autorzy dowodzą, że Amazon „stanowi wysoce niezależne od rządu USA narzędzie amerykańskiej ekspansji gospodarczej i politycznej". Niezależne, bo jako firma Big Tech dąży do globalnej ekspansji i kieruje się logiką biznesową; zależne, bo Amazon jednak posiada siedzibę główną na terenie USA i chociażby dlatego „dyskretny wpływ" na jego działanie „może dać krajom macierzystym nowe przewagi strategiczne – kontrola informacyjna, kreowanie trendów technologicznych oraz przewag operacyjnych globalnie". Włączenie Amazona w „realizację celów strategicznych USA" sprawi, że może on się stać także naszym narzędziem.

„Wchodzenie przez polskie spółki skarbu państwa w relacje strategiczne z Amazonem powinno mieć charakter transakcji wiązanych – łączących gwarancje amerykańskie dotyczące bezpieczeństwa regionu Trójmorza i ekspansję Big Tech z dynamiką rozwoju regionu" – dowodzą analitycy ośrodka. Z kolei brak twardej postawy państwa wobec dysponującej nieprzebranymi zasobami i niezwykle skutecznym lobbingiem firmy Bezosa „może prowadzić do mimowolnego

eprasa.pl 1499ff6129

utrwalenia polityki eksploatacyjnej Amazona w Europie Środkowo-Wschodniej".

DOBRE RADY

Poza ogólnymi rekomendacjami (monitoring respektowania praw pracowniczych, zapisów RODO czy analiza benefitów podatkowych) raport OSnWC zawiera wiele konkretnych wskazówek dla przedstawicieli państwa.

Przede wszystkim Polska powinna maksymalnie zaangażować się w unijne prace nad dyrektywami o usługach cyfrowych, rynkach cyfrowych i sztucznej inteligencji. Ponadto trzeba postawić na koordynację, bo działając w pojedynkę, organy administracji publicznej, m.in. minister spraw wewnętrznych i administracji oraz prezesi UODO, UKE czy UOKiK, są bez szans w walce o prawa Polaków w przestrzeni cyfrowej i gospodarczej. Kolejny postulat to „wprowadzenie centralnego rejestru działań lobbingowych w zakresie lobbingu regulacyjnego na wzór unijnego rejestru służącego przejrzystości". Zdaniem autorów raportu warto przemyśleć „odważniejsze działania w zakresie kontroli w obszarach, które nie mają jasnych regulacji". Ich wzorem ma być francuski urząd ochrony danych osobowych CNIL, który nałożył na Amazona 35 mln euro kary za naruszenia dotyczące RODO. I rzecz ostatnia – „należy podjąć działania chroniące i poszerzające suwerenność logistyczną Polski, w tym rozważyć taki rozwój Poczty Polskiej (lub innej spółki publicznej), aby była ona w stanie długofalowo zabezpieczyć kontrolowane przez polskie państwo kanały dystrybucji dóbr i informacji".

POKAZAĆ, ŻE SIĘ NIE GODZIMY

Czy rządzący wzięli sobie do serca rady zespołu prof. Zybertowicza? Na razie trudno powiedzieć. Szczególnie zainteresowane ministerstwa (np. MSWiA) oraz służby specjalne odmówiły nam komentarza, twierdząc, że z zasady nie odnoszą się do opracowań ośrodków analitycznych i badawczych.

Z kolei pełnomocnik rządu ds. cyberbezpieczeństwa Janusz Cieszyński podkreśla, że „według jego wiedzy Amazon nie posiada żadnej fizycznej infrastruktury serwerowej na terenie Polski, więc siłą rzeczy nie jest w spektrum jego bezpośredniego zainteresowania". Nie chce się też odnosić bezpośrednio do tez zawartych w raporcie OSnWC. Nie unika za to odpowiedzi na pytanie o to, w jaki sposób państwo powinno układać swoje relacje z firmami w typie Amazona.

– Tego typu firmy rozwijają się tak szybko, że często pojawia się u nich pokusa, żeby pójść na skróty i nadużywać swej wiodącej pozycji. To działanie krótkowzroczne, przestrzegałbym przed nim wielkie korporacje. Historia pokazuje, że zawsze kończy się to radykalnym osłabieniem pozycji firm poprzez daleko idące regulacje – mówi nam Janusz Cieszyński. – Tym zjawiskom trzeba się uważnie przyglądać. A kiedy stwierdzilibyśmy, że są istotne zagrożenia dla naszego państwa, powinniśmy reagować w sposób zdecydowany; pokazać, że się na to nie godzimy – zauważa pełnomocnik rządu.

AMAZON: UMOŻLIWIAMY ROZWÓJ

Polska rzeczniczka Amazona Magdalena Węglewska twierdzi, że nie zna Biuletynu Specjalnego nr 8, więc nie może komentować jego treści. Gdy streszczamy podstawowe wnioski z raportu, otrzymujemy obszerne – acz znane od dawna – argumenty przedstawiające działalność firmy w pozytywnym świetle. Dowiadujemy się m.in., że Amazon, bezpośrednio i przez przedsiębiorstwa należące do łańcucha dostaw firmy, zapewnił w Polsce 51 tys.

> Polska powinna maksymalnie się zaangażować w unijne prace nad dyrektywami o usługach cyfrowych, rynkach cyfrowych i sztucznej inteligencji. Trzeba też postawić na koordynację, bo działając w pojedynkę, organy administracji publicznej, m.in. minister spraw wewnętrznych i administracji oraz prezesi UODO, UKE czy UOKiK, są bez szans w walce o prawa Polaków w przestrzeni cyfrowej i gospodarczej

miejsc pracy. Pracownicy Amazona mają być dobrze wynagradzani, korzystać z rozmaitych benefitów i szkoleń. Węglewska podkreśla, że od 2012 r. r. Amazon w Polsce wygenerował ponad 12 mld zł inwestycji (licząc wydatki kapitałowe i operacyjne), co korzystnie wpływa na naszą gospodarkę. Tylko w 2020 r. firma miała „umożliwić rozwój" 2,5 tys. małych i średnich polskich firm, które „sprzedają swoje produkty w sklepach Amazona na całym świecie, korzystając także z narzędzi i usług dostępnych w serwisie". Węglewska podkreśla też, że „Amazon traktuje ochronę danych niezwykle poważnie".

– Nie handlujemy danymi, jesteśmy użytkownikami danych: poprawiamy jakość naszych usług, ale nie sprzedajemy danych. Opracowaliśmy nową stronę „Informacja o prywatności Amazon.pl", aby ułatwić klientom dostęp do ich danych i zarządzanie nimi – informuje Magdalena Węglewska, wymieniając wiele innych inicjatyw firmy, które mają zapewnić pełne bezpieczeństwo jej klientom.

Czy argumenty (i lobbyści) Amazona przekonają polskich decydentów? Wiele wskazuje, że sami dowiemy się o tym już niebawem.

eprasa.pl 1499ff6129

Polskie rezerwy złota – mamy dużo, a będziemy mieć jeszcze więcej



Polska jest na 11. miejscu w Europie oraz na 23. na świecie pod względem ilości posiadanego złota, a prezes NBP prof. Adam Glapiński zapowiada kolejne zakupy. Dysponowanie znacznymi rezerwami dewizowymi – w szczególności rezerwami złota – w ocenie agencji ratingowych, inwestorów zagranicznych i instytucji międzynarodowych zwiększa zaufanie do kraju. To także zasób, który możemy przekazać kolejnym pokoleniom Polaków

W latach 2018–2019 zasoby złota Narodowego Banku Polskiego zostały zwiększone o 125,7 tony. Na koniec sierpnia 2021 r. zasób złota NBP wyniósł 7,402 mln uncji, tj. 230,2 tony.

– Zwiększenie zasobów złota to realizacja naszego konstytucyjnego, ustawowego i po prostu patriotycznego zobowiązania – mówi prof. Adam Glapiński, prezes NBP.

Pomimo zakupu znacznej ilości złota NBP nie powiedział jeszcze ostatniego słowa w tej sprawie. Strategia zarządzania rezerwami walutowymi przyjęta przez zarząd Narodowego Banku Polskiego w 2020 r. zakłada zwiększanie zasobów złota, a skala i tempo tego procesu będą zależały od dynamiki oficjalnych aktywów rezerwowych i uwarunkowań rynkowych.

POLSKA WYPRZEDZA KRAJE REGIONU

Banki centralne na świecie mają łącznie ok. 30 tys. ton złota. Największym posiadaczem złota są – z powodów historycznych – Stany Zjednoczone (8,1 tys. t), następnie Niemcy (3,4 tys. t) oraz kolejno Włochy, Francja, Rosja i Chiny – wszystkie po ok. 2 tys. t. Zasoby złota w posiadaniu NBP są niemal dwukrotnie większe niż w Szwecji (126 t), zbliżone do Belgii (227 t) i nieco mniejsze niż Austrii i Hiszpanii (280 t).

Dzięki zakupom NBP przesunął się z 34. na 23. pozycję wśród banków centralnych na świecie i z 15. na 11. miejsce w Europie, wyprzedzając wszystkie kraje regionu. W ten sposób zwiększył się strategiczny bufor bezpieczeństwa finansowego naszego kraju, a NBP zbliżył się pod względem udziału złota w aktywach do banków centralnych Stanów Zjednoczonych czy Niemiec, posiadających największe zasoby złota na świecie.

WIĘKSZE ZASOBY ZŁOTA WZMACNIAJĄ WIARYGODNOŚĆ KRAJU…

Na rezerwy dewizowe banku centralnego składają się: rezerwy walutowe, czyli aktywa w walutach obcych (głównie papiery wartościowe i lokaty), oraz złoto.

Złoto jest szczególnym składnikiem rezerw dewizowych. Ze względu na brak bezpośrednich powiązań z polityką gospodarczą jakiegokolwiek kraju oraz praktycznie niezniszczalność traktowane jest jako tzw. bezpieczna przy-

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 39/0921/F

eprasa.pl 1499ff6129



stań (ang. safe haven asset). Oznacza to, że podczas kryzysów finansowych i politycznych jego wartość zazwyczaj rośnie. Dlatego złoto może wzmacniać wiarygodność i zabezpieczać siłę finansową kraju nawet w bardzo niekorzystnych warunkach.

Posiadanie znacznych rezerw dewizowych – w szczególności rezerw złota – zwiększa zaufanie do kraju – oceniają agencje ratingowe, inwestorzy zagraniczni i instytucje międzynarodowe. Ma to wpływ na obniżenie kosztu finansowania na rynkach globalnych i ogranicza ryzyko gwałtownego odpływu kapitału z kraju.

...I PODNOSZĄ JEGO BEZPIECZEŃSTWO

Złoto pełni też funkcję zasobu dywersyfikującego (różnicującego) strukturę aktywów rezerwowych banków centralnych. Mała zależność między cenami złota a cenami innych aktywów ogranicza ryzyko finansowe związane z utrzymywaniem rezerw, czyli zmienność wartości rezerw dewizowych wywołaną czynnikami rynkowymi.

– Siła polskiej gospodarki obniża ryzyko finansowe, a duże rezerwy zabezpieczają przed zagrożeniami, na które Polska jest narażona. Dywersyfikacja zmniejsza ryzyko, a zakupy złota przez NBP były mądrym krokiem w kierunku podwyższenia poziomu własnego zabezpieczenia. Polska wzmacnia swoją siłę – mówi ekonomista William A. Allen, współpracujący z National Institute of Economic and Social Research w Londynie.

POLSKIE ZŁOTO MĄ NAJWYŻSZĄ JAKOŚĆ

Jako składnik oficjalnych aktywów rezerwowych sztaby złota NBP spełniają międzynarodowe standardy czystości London Good Delivery. Złoto NBP przechowywane w Banku Anglii jest utrzymywane na tzw. allocated account, tj. każda sztaba przypisana do rachunku NBP jest jednoznacznie identyfikowalna, ma unikatowy numer seryjny i znak rafinera. Najwyższa jakość złota NBP oraz wysokie standardy jego przechowywania zostały dodatkowo potwierdzone podczas inspekcji przeprowadzonej przez pracowników NBP w Banku Anglii.

ZŁOTO ULOKOWANE W POLSCE OGRANICZA RYZYKO GEOPOLITYCZNE

W lipcu 2019 r. zarząd NBP podjął decyzję o dywersyfikacji miejsc przechowywania złota przez sprowadzenie do kraju części posiadanego zasobu kruszcu. Od września do listopada 2019 r. do Polski przewieziono 100 t, tj. 3 214 100 uncji trojańskich złota. W sumie odbyło się osiem transportów, każdy po 1 tys. sztab. Złoto przewieziono do Polski wyczarterowanymi specjalnie w tym celu samolotami i dostarczono na lotniska w Warszawie i Poznaniu. Od tego momentu w skarbcach NBP przechowywane jest 104,9 t złota. Pozostałe złoto jest utrzymywane na rachunkach za granicą, przede wszystkim na tzw. rachunku allocated w Banku Anglii, w Londynie.

Banki centralne często deponują swoje rezerwy złota w różnych miejscach. Ma to na celu ograniczenie ryzyka geopolitycznego, którego konsekwencją mogłaby być utrata dostępu do złota lub znaczne zmniejszenie możliwości swobodnego dysponowania jego zasobami zdeponowanymi za granicą.

– Decyzja zarządu NBP o repatriacji złota miała charakter strategiczny i była podyktowana dążeniem do zwiększenia bezpieczeństwa finansowego Polski, w szczególności do umożliwienia swobodnego dysponowania złotem w warunkach materializacji ryzyka geopolitycznego – zauważa prof. Adam Glapiński.

LOKATA W ZŁOCIE CAŁY CZAS PRACUJE

Zasoby złota, ze względu na ich strategiczny charakter, nie są z reguły postrzegane jako źródło dochodu banków centralnych. Niemniej przechowywanie przez NBP złota w Londynie stwarza możliwość podwyższenia dochodowości rezerw dzięki lokowaniu kruszcu na rynku międzybankowym.

Skala dochodów z lokat w złocie zależy od popytu zgłaszanego przez kontrahentów oraz od oprocentowania depozytów.

eprasa.pl 1499ff6129

SIOSTRY SZYDŁOWSKIE ZWYCIĘŻCZYNIE PIERWSZEJ EDYCJI PROGRAMU „THE VOICE SENIOR”

Ciasto z kruszonką i nektar Krystyny



Fot. Jan Bogacz TVP

Jolanta Szydłowska-Cichoń: Jesteśmy łodziankami. Tu się urodziłyśmy, wychowałyśmy i mieszkamy, choć nie wszystkie. Krysia osiedliła się w Lublinie, ale Łódź serdecznie wspomina.

Moje smakowe wspomnienie z dzieciństwa? Ciasto drożdżowe z kruszonką i nieodłącznie z nim związany zapach... pasty do podłóg.

Mama piekła ciasto w sobotę, a to był dzień sprzątania, więc i pastowania podłóg, stąd taka zapachowa zbieżność. Do dziś kojarzy mi się z ciepłem rodzinnego domu.

Mama była duszą naszej rodziny. Wokół niej skupiało się wszystko. Ona wszystko scalała. Pod każdym względem i w każdej dziedzinie życia. To ona marzyła, żebyśmy razem śpiewały, zachęcała nas do tego i wspierała.

Tak się złożyło, że wyszłam za mąż za muzyka z wykształcenia i kucharza z pasji oraz zawodu. Do czasu pandemii prowadziliśmy na Politechnice Łódzkiej bufet. Popisowym daniem był w nim bogracz, węgierska zupa gulaszowa, którą dostosowaliśmy do polskich smaków, łagodząc nieco jej pikantność.

Natomiast, kiedy spotykamy się w większym rodzinnym gronie, w obiadowym menu nie może zabraknąć rosołu. Oczywiście z domowym makaronem. Mama też taki robiła.

Elżbieta Szymańska (z d. Szydłowska): Nasza mama, wspaniała osoba, której tak mi dziś brakuje, była cudowna pod każdym względem. Świetnie gotowała. Jej zupy – pomidorowa czy rosół – to był majstersztyk. Ale hit niedzielnych obiadów stanowiło ciasto drożdżowe z kruszonką. Zajadałyśmy się nim nie tylko jako dzieci.

W dorosłym życiu sporo podróżowałam. Najbardziej przypadła mi do gustu kuchnia arabska i wszelkiego rodzaju przyprawy z nią związane. Szczególnie zatar. Bardzo często go używam. Podobnie, jak kurkumy.

Kiedy spotykamy się z siostrami – by coś przećwiczyć, popróbować – przede wszystkim pijemy dużo wody – z cytryną i miętą. Jeśli chodzi o jedzenie, to musimy brać pod uwagę to, że Krysia jest blisko natury, uwielbia warzywa i owoce, tak więc nasze spotkania są zawsze kolorowe.

Krystyna Szydłowska: Moje ulubione danie z dzieciństwa? Sałatka warzywna. Mama robiła ją najlepiej. I jeszcze wspaniałe wigilijne pierogi. I zupy... uwielbiałam grzybową. A ciasto? Oczywiście z kruszonką. I też pamiętam zapach pasty do podłogi w soboty (uśmiech).

W dorosłym życiu odkryłam i zaczęłam doceniać walory owoców i warzyw. Córka mnie do tego przekonała, kiedy z powodów zdrowotnych odstawiała, po kolei, mięso, nabiał, mleko. Dziś mówi, że jest mi wdzięczna za sałatki i surówki, które jej przygotowywałam. Jadłyśmy je obie, schudłyśmy mocno i świetnie się czułyśmy. Do dziś utrzymujemy owocowo-warzywną dietę. I bardzo nam służy.

Jestem wielką fanką soków z wyciskarki wolnoobrotowej. Z sezonowych owoców i warzyw można zrobić świetny, zdrowy napój. Warto spróbować.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***



Fot. Shutterstock

Nektar Krystyny

Jabłko, zielone warzywa (do wyboru: szpinak, jarmuż, natka pietruszki, ale też seler naciowy), ewentualnie imbir. Do tego surowy ogórek, sok z cytryny i winogrono (dodaje tyle smaku). I jeszcze można dorzucić: rosnący wszędzie skrzyp polny albo roślinę o uroczej nazwie kurdybanek. Albo melisę… Jest w czym wybierać. A potem trzeba tylko wycisnąć z tych składników sok i wypić, na zdrowie.

eprasa.pl 1499ff6129



SŁODKO-SŁONY

Ziołowy miód

ANNA MONICKA

Niewątpliwą zaletą remontu jest to, że wypływają na powierzchnię rozmaite przedmioty, które kiedyś były bardzo ważne, a potem stopniowo blakły, pokrywały się kurzem, pajęczyną i nikły gdzieś w zakamarkach pamięci. Udało mi się na przykład znaleźć kilka książek, które dostawałam w nagrodę za grzeczne zachowanie czy osiągnięcia edukacyjne, znalazłam białego kruka, czyli „Jeźdźca bez głowy" (bardzo śmieszne), którego mój małżonek otrzymał na pamiątkę pobytu na obozie, z dedykacją, a jakże, dla „miłego kolegi z restauracji". I jeszcze parę innych woluminów, a wśród nich „zielarską" biblię, czyli receptury świętej Hildegardy. Ta niemiecka benedyktynka była postacią niesamowitą, wszechstronnie utalentowaną, wykształconą i niebywale, jak na wczesne średniowiecze, długowieczną, bo żyła ponad 80 lat. Fascynowało ją lecznicze działanie przyrody (roślin, metali, kamieni szlachetnych) i jej wpływ na ciało i duszę. Oczywiście podstawą były lecznicze posty i wiara w Boga. Wśród trzech uniwersalnych medykamentów wymienia dwa proszki: ze szczerego złota (działający przeciwzapalnie), sywesanowy (czyli zasadowy, przywracający równowagę kwasowo-zasadową organizmu) oraz wzmacniający, oczyszczający przewód pokarmowy i odtruwający miód gruszkowy.

Gruszki w tym roku obrodziły świetnie, może warto sobie ten specyfik ukręcić. W czasach pandemii może się okazać szczególnie przydatny, bo nie tylko poprawi odporność, lecz i pomoże walczyć z infekcjami, które mogą się przytrafić każdemu jesienią i zimą. Kilogram ugotowanych na miękko gruszek (bez pestek i skórek) rozgniatamy widelcem i mieszamy z sześcioma łyżkami odszumowanego, rozgrzanego miodu wielokwiatowego doprawionego mieszanką ziół z wszewłogą górską, którą można kupić w sklepach zielarskich. W jej skład wchodzą także korzenie galgantu, lukrecji i cząber ogrodowy. Miksturę jemy trzy razy dziennie – rano łyżeczkę, po obiedzie dwie łyżeczki, a na noc trzy. Przechowujemy ją w lodówce, w wyparzonym słoiku.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Łodzie oshiokuri

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Takim oto krótkim zdaniem filozof Krystyna Wilkoszewska dotarła do istoty japońskości: „Japończyk – w zetknięciu z potężnymi żywiołami, na skrawkach ziemi wydartej górom i oceanom – budował swój światopogląd, opierając się na pojęciach kruchości, marności i przemijania".

Jeżeli ktoś spojrzy na drzeworyty żyjącego na przełomie XVIII i XIX w. japońskiego artysty Hokusai Katsushika, a konkretnie na grafikę „Wielka fala w Kanagawie" z cyklu „36 widoków na górę Fudżi", znajdzie na niej i wspomniany żywioł morza, i góry, i kruchość istnienia. A także coś jeszcze. Rybacką logistykę, trop wielkich ryb i morską legendę, która okazała się prawdą.

Na drzeworycie pędzą trzy łodzie oshiokuri. Cóż to za łodzie i w jakim celu wypływały? Oshiokuri to szybkie i ładowne łodzie wiosłowe. Wyruszały na morze, w tym przypadku na wody Zatoki Tokijskiej, odbierały połów ze statków rybackich i pędziły, prując wodę, z powrotem. Dzięki takiej organizacji rybacy nie przerywali połowów, a ryby szybko trafiały do portu.

Było to ważne, ponieważ świeże ryby są niezbędne do sushi i sashimi. Możemy nawet podejrzewać, po jakie ryby wyprawili się wioślarze. Mogły to być tuńczyki; podobnie z tuńczykami postępuje się i dziś – muszą mieć szybki transport, bo świeże osiągają na portowych aukcjach zawrotne ceny: najdroższy tuńczyk błękitnopłetwy został sprzedany za równowartość 12 mln zł.

Tuńczyk to jeden z cudów natury, jedna z najszybszych ryb świata, pozostająca w ciągłym ruchu w otchłani otwartego oceanu. Piękne i silne tuńczyki błękitnopłetwe, jeden z kilku żyjących gatunków rodzaju *Thunnus*, to jednocześnie ryby imponująco wielkie, dorastające aż 900 kg masy ciała.

Łodzie z drzeworytu płyną najprawdopodobniej puste. Nie dopłynęły do statków rybackich w ten wczesny, wiosenny poranek. Być może nie wróciły już nigdy do portu: fala, która je unosi, nie jest bowiem zwykłą falą, lecz falą monstrualną, fenomenem, który przez wieki uważany był za morską legendę.

Nauka potwierdziła istnienie zdolnej do zatopienia tankowca fali monstrualnej. Stało się to jednak dopiero w 1995 r., ponad półtora wieku po tym, jak falę i historię trzech łodzi opowiedział na swoim drzeworycie Hokusai.

eprasa.pl 1499ff6129



W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

Lapuerta? Dajcie nam ją tutaj!

Rosario Silva de Lapuerta, sędzia Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Kobieta skarb! Prawdziwy unikat. Zjawisko niespotykane w przyrodzie. Dajcie nam ją tutaj. Do Polski. I żeby jak najwięcej orzekała. Jednoosobowo i bez możliwości odwołania. Rozwiązałaby nam wszystkie unijne i zagraniczne dylematy, a obce, szarogęszące się biznesy, w tym także medialne, przepędziłaby do diabła.

Postanowienie TSUE, nazywanego już Trybunałem Niesprawiedliwości, jest totalnie polityczne i nieludzkie – to o decyzji Lapuerty w sprawie kopalni węgla brunatnego w Turowie poseł Anna Zalewska. Inny polityk Prawa i Sprawiedliwości Radosław Fogiel powiada, że równie dobrze mógłby po decyzji TSUE w tej sprawie domagać się bombardowania całego terenu miasta, bo efekt byłby podobny.

„Jeśli bowiem jednoosobowa decyzja sędzi Rosarii Silvy de Lapuerty może doprowadzić do bankructwa jednej z największych firm energetycznych w Polsce, narażając cały kraj na utratę suwerenności energetycznej, a w konsekwencji i gospodarczej, to trzy filary wspólnoty europejskiej, na których opiera się Unia Europejska, są fikcją! A w tym wypadku nawet farsą" – to już fragment oświadczenia organizacji Międzyzakładowej NSZZ „Solidarność" kopalni węgla brunatnego Turów. Górnicy żądają niepłacenia nałożonych przez TSUE kar finansowych, a w razie potrzeby wstrzymania wszelkich płatności na rzecz UE, w tym także takich jak składki członkowskie. Żądają przy okazji tego, co ich spotkało, rozpoczęcia prawdziwej dyskusji nad kosztami i korzyściami płynącymi z obecności Polski w Unii. Górnicy zapowiadają drastyczne akcje protestacyjne, w tym także o zasięgu międzynarodowym.

KORZENIE

Sędzia Lapuerta to postać mająca wcześniej szerokie wpływy i polityczne konotacje związane z Partią Ludową (Partido Popular), a więc partią konserwatywno-narodową. Tak, tą samą, której w Unii Europejskiej w latach 2019–2021 przewodniczył Donald Tusk. Partia Ludowa w przedterminowych wyborach w 2011 r. zdobyła większość absolutną w hiszpańskim Kongresie Deputowanych i uzyskała najlepszy wynik w swej historii (186 mandatów). Władzę w Partido Popular objął wówczas Mariano Rajoy, który sformułował nowy gabinet. Jego rządy skończyły się jednak skandalem. 1 czerwca 2018 r. w głosowaniu o konstruktywne wotum nieufności Mariano Rajoy został odwołany z funkcji premiera. A wszystko przez aferę korupcyjną związaną z Partią Ludową. 27 czołowych działaczy tego ugrupowania zostało skazanych za łapówkarstwo i nielegalne finansowanie partii. Nowym premierem został lider socjalistów, skrajny lewak, Pedro Sánchez. Hiszpanie, niestety, wpadli w jego ręce, czego skutki okazały się straszne.

Hiszpania jest obecnie jednym z najbardziej antychrześcijańskich krajów Europy. Rząd Sáncheza postawił sobie za główny cel walkę z religią i wartościami chrześcijańskimi. W 2020 r. domagał się na przykład usunięcia najwyższego krzyża na świecie, który znajduje się w Valle de los Caidos. Dlaczego? Bo stanowi on symbol czasów gen. Franco. A gen. Franco to w obecnej, lewicowej Hiszpanii postać wyklęta. Pod krzyżem znajduje się mauzoleum, w którym spoczywa się ok. 40 tys. urn z prochami żołnierzy oraz innych poległych. Demografowie hiszpańscy biją na alarm, głosząc, że obecnie, pod rządami skrajnej lewicy, rozgrywa się samobójstwo demograficzne kraju, który zmienia się w pust-

eprasa.pl 1499ff6129

kowie. Według najnowszych szacunków hiszpańskich instytucji demograficznych ok. 40 proc. młodych Hiszpanów nie będzie miało dzieci, a połowa wnuków. Sędzia Rosario Silva de Lapuerta to kolejna odsłona hiszpańskich możliwości.

Może sędzi TSUE nie podoba się Unia Europejska? I być może dzięki jej postanowieniu rozpocznie się nareszcie, za sprawą Polski, generalne budzenie europejskiego śpiącego mamuta. To swoją drogą może imponować, że sędzia TSUE, która prawdopodobnie nie rozróżnia węgla kamiennego od brunatnego, nie widzi też związku pomiędzy pracą kopalni i elektrowniami, a mimo to wydaje w tychże sprawie nieodwoływalne wyroki i nakłada drakońskie kary.

DLACZEGO JEST POTRZEBNA?

A jednak potrzeba nam sędzi Lapuerty. Bo jeśli taką Rosarię Silvę ma Unia Europejska, to dlaczego nie może mieć jej także Polska? Pryncypialność sędzi Lapuerty bardzo rozładowałaby różne polityczne napięcia. Chociażby na rynku medialnym. Bo jeśli jeszcze 22 września tego roku depesze donosiły, że członkowie Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji kolejny raz głosowali w sprawie koncesji dla TVN24, jednak stacja nie uzyskała jej przedłużenia, to Lapuerta na pewno szybko przerwałaby ten pat. Czytałaby po prostu ustawę medialną i nie zawahałaby się jej użyć. Niechby komuś się to nie spodobało. Dorzuciłaby wtedy Amerykanom 500 tys. euro za każdy dzień zwłoki w realizacji orzeczenia.

Swoją drogą dziwne, że unijni koledzy Lapuerty z Partii Ludowej, którzy jeszcze niedawno podziwiali rozciąganie zasieków na granicy polsko-białoruskiej czy biegi Franka Sterczewskiego z torbą wypełnioną konserwami, solidarnie przyjęli wyrok Lapuerty na Turów. Niektórzy nawet snuli teorie spiskowe, że to wszystko PiS celowo wywołało, żeby obrzydzić Polakom Unię Europejską. Jak widać, rodzaj bielma mentalnego, które pokrywa umysły totalnej opozycji, już dawno wymknął się wszelkim charakterystykom. Bo przecież chodzi nie o kilkudziesięciu koczowników przy granicy, ale egzystencjalne bezpieczeństwo 3,2 mln Polaków. Być może politycy opozycji nie słyszeli o takich sprawach jak bezpieczeństwo energetyczne czy stabilne dostawy energii. A Lapuerta, podobnie jak celebryci brylujący na ostatnim festiwalu filmowym w Gdyni, pewnie też nie wie, że idzie zima, a energia elektryczna, dzięki kopalni w Turowie, płynie m.in. do szpitali, w których leżą chorzy pod respiratorami. Reżyser Agnieszka Holland, która otrzymała nagrodę Platynowych Lwów, przemawiając, udowodniła, jak niewiele rozumie z tego, co się dzieje wokół niej.

> Czy Holland, w sposób haniebny porównawszy pracę żołnierzy polskiej Straży Granicznej z bestialskim zachowaniem komunistycznej bezpieki katującej młodych Polaków, pojedzie z polskimi górnikami do Luksemburga pod gmach TSUE?

BEŁKOT LAUREATKI

„Moje filmy mówiły o pogardzie i nienawiści, o reżimach dzielących ludzi, politykach, którzy grają strachem i manipulują opinią publiczną, o skorumpowanych mediach. Miałam świadomość, że ten czas nie minął, ale zasnął i może się obudzić, jeśli nie będziemy czujni. To się niestety dzieje. Szczepionka Holokaustu i gułagów przestała działać" – powiedziała Holland do gdyńskiej publiczności.

I uprzedzam, nie są to słowa o państwie autorytarnym sowieckiego pułkownika GRU Władymira Putina. Reżyserka (tak chyba chce, żeby ją nazywać) dalej mówiła, dziękując za przyznaną nagrodę: „Trudno mi się cieszyć naszym świętem, kiedy to samo dzieje się niedaleko, na naszych granicach, gdzie ludzie umierają z zimna w lesie tylko dlatego, że są inni. Dzieje się to za naszym przyzwoleniem. Żadne demokratyczne państwo nie może pozwolić na to, żeby bezbronni i niewinni ludzie umierali na jego granicach. Umierali w milczeniu, jak bohaterowie moich filmów". Jeszcze raz tu dodam, to nie jest mowa o reżimie Aleksandra Łukaszenki. Jest za to czysta propaganda przekazów putinowskiej Russia Today i propagandy białoruskiego reżimu. To jest o „reżimie" polskim, rządach Jarosława Kaczyńskiego i wojskach polskiej Straży Granicznej. Ale, żeby nie było wątpliwości, laureatka nazwała w końcu rzecz po imieniu: „Nie godzę się na to, żeby Straż Graniczna grała rolę strażników muru berlińskiego, a miejscowa ludność – donosicieli. Stan wyjątkowy został wprowadzony, żeby nie było śladów. Mam nadzieję, że człowieczeństwo wciąż będzie dla nas najważniejsze".

Ciekawe, czy Holland w sposób haniebny porównawszy pracę żołnierzy polskiej Straży Granicznej, narażających życie i zdrowie, chroniących granice Polski i Unii Europejskiej, z bestialskim zachowaniem komunistycznej bezpieki katującej młodych Polaków, pojedzie z polskimi górnikami do Luksemburga pod gmach TSUE? Czy razem z nimi będzie walczyć o chleb i życie dla nich i 3,2 mln zagrożonych w podstawowej egzystencji Polaków? Zapewne w tym czasie będzie raczej odpoczywać w ciepłym domu w Bretanii. Krystyna Janda, która na blogu gratuluje Holland, od razu dopisała się do jej artystycznej tyrady: „Wczoraj podczas podróży do Torunia przeglądałam internet, wpisy Polaków – Rodaków pod postami dotyczącymi uchodźców i sytuacji na granicy, są haniebne! Okrutne, złe, głupie i podłe! Ludzie! Co się z Wami stało?! Czy zawsze tacy byliście? Aż tacy? Nie do uwierzenia".

Ani słowa o kopalni w Turowie, o szpitalach, żłobkach, przedszkolach, bezrobociu i losie kilku milionów Polaków, którym los gotuje Rosario Silva de Lapuerta. Pani Janda wróciła do domu, do słodkiego Milanówka. I Holland, i Jandzie, gdy zamkną Turów, zapewne niczego nie będzie brakować.

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

eprasa.pl 1499ff6129

Niewypełniony testament



Alina Czerniakowska

Początek października to nasze kolejne rocznice, które przypominają dzisiaj żyjącym na polskiej ziemi, jakie zadania zostawiły nam do wypełnienia tamte pokolenia. Gen. Franciszek Kleeberg bił się do końca. Ostatnia bitwa 1939 r. rozegrała się w dniach 2–5 października w rejonie Kocka. Polacy brawurowym atakiem zdobyli silnie broniony przez Niemców rejon kościoła oraz wyparli wroga z pobliskiego cmentarza. Niemcy byli pod wrażeniem walki Polaków. – Kiedy szliśmy do niewoli, siedząc jeszcze na koniach, bo musieliśmy złożyć broń, żołnierze niemieccy salutowali nam – nigdy nie zapomnę, jak mówił to w moim filmie dokumentalnym płk Antoni Ławrynowicz, kawalerzysta rodem z Wilna, absolwent słynnej szkoły kawalerii w Grudziądzu, walczący w 3 pułku strzelców konnych w obronie Kocka.

Żołnierze Kleeberga jeszcze walczyli, odpierali ataki wroga, a Hitler już odbierał defiladę w zdobytej Warszawie. Generał Kleeberg napisał w pożegnalnym rozkazie do swoich żołnierzy: „Przywilejem dowódcy jest brać odpowiedzialność na siebie. Dziś biorę ją w tej najcięższej chwili – każąc zaprzestać dalszej bezcelowej walki, by nie przelewać krwi żołnierskiej nadaremnie. Dziękuję Wam za Wasze męstwo i Waszą karność – wiem, że staniecie, gdy będzie trzeba. Jeszcze Polska nie zginęła. I nie zginie!”.

Nieprawdą jest, że Polska była do wojny nieprzygotowana, tylko wielcy sojusznicy zdezerterowali, zdradzili. Mało kto z urlopowiczów spacerujących po naszych plażach nad Bałtykiem wie, jaki los spotkał bohaterów obrony Wybrzeża w 1939 r. 5 lipca 1952 r. przed Najwyższym Sądem Wojskowym w Warszawie rozpoczął się haniebny proces przeciwko bohaterskim oficerom marynarki – komandorom, obrońcom polskiego Wybrzeża, na czele z kmdr. Zbigniewem Przybyszewskim, bohaterem obrony Helu. Proces siedmiu komandorów toczył się w gmachu GZI przy ul. Chałubińskiego w Warszawie. Był tragiczną farsą, w której prokurator i zespół sędziowski MSW świadomie spełniali zbrodniczą funkcję. Bohaterowie walk o Polskę zostali oskarżeni o „usiłowanie usunięcia przemocą organów zwierzchniej władzy ludowej i próbę obalenia ustroju”. Dla bohaterów walk o Polskę nie przewidziano zastosowania cywilizowanego prawa do obrony, dostępnego nawet dla największych złoczyńców. Oficerowie siedzieli na ławie oskarżonych zrezygnowani i wyczerpani wielomiesięcznym, brutalnym śledztwem.

Kmdr por. Zbigniew Przybyszewski, bohaterski dowódca baterii cyplowej na Helu podczas obrony Wybrzeża w 1939 r., odznaczony krzyżem orderu Virtuti Militari V klasy oraz Krzyżem Grunwaldu III klasy, został skazany na śmierć wraz z czterema towarzyszami broni, komandorami, obrońcami Wybrzeża! Zapadły wyroki – pięć kar śmierci i dwa wyroki dożywotniego więzienia w ubeckich kazamatach. O rozprawach i wyrokach nie powiadomiono rodzin oskarżonych! Nikt nigdy nie osądził zbrodniarzy!

Druga rocznica z tych samych październikowych dni. Ponad dwa miesiące, do 3 października, trwała bohaterska walka powstańczej Warszawy, do końca zachowali honor i godność polskiego żołnierza. Pisał o tym z uznaniem i podziwem dla walczących Polaków niemiecki generał SS Erich von dem Bach odbierający kapitulację. Największy zryw powstańczy w dziejach świata toczony w obrębie jednego miasta, ciągle tak mało znany i często fałszywie komentowany. „Chcieli być wolni i wolność sobie zawdzięczać”. Dowództwo Armii Krajowej, ale też światli warszawiacy, mieli pełne rozeznanie, jakie spustoszenie, aresztowania, wywózki, śmierci niosą NKWD, GRU, KGB i inne odpowiednio wyszkolone służby sowieckie, idące w ślad za Armią Czerwoną.

Zbigniew Wolak, ps. Szczupak, walczył w Zgrupowaniu Odwet, w 2008 r., tuż przed nagłą śmiercią na serce, napisał w kanadyjskim „Orle Białym”: „Nie pragnę przeprosin od komunistów i anonimowych donosicieli, nikczemnych kapusiów na dobrze płatnych państwowych etatach i nie chcę też rosyjskich przeprosin za zabory, rusyfikację, syberyjskie wywózki, Katyń i przeklęte wielokroć lata 1945–1989, kiedy sprawowali swoją kuratelę nad skolonizowaną, ubezwłasnowolnioną i poniżaną Polską, dla drwiny nazwanej »ludową«. Nie oczekuję też angielskiego »sorry«, bo ich przedstawiciel dopiero w 2004 r. powiedział o Powstaniu Warszawskim to, co znane nam jest od dawna, a było przemilczane przez Zachód, aby nie psuć tamtej teraźniejszości. Nadszedł rok 1989, towarzysze partyjni chwilowo wystraszeni odbudowują dawne układy i przepoczwarzają się w demokratów, w nowy darowany im przez koncesjonowanych opozycjonistów czas. I wraca bulwersujące prostactwo słów, czynów, zachowań. Plany, deklaracje, programy, założenia i cała ta »zabawa w państwo« przez manipulantów i politycznych clownów, zwykłych idiotów i nadętych hochsztaplerów, wprowadzanych na towarzyskie salony przez swoich antenatów z PZPR-owskiej nomenklatury”. Warto dzisiaj powracać do tekstów dr. hab. Zbigniewa Wolaka, architekta o światowej sławie, jedynego eksperta ONZ zza „żelaznej kurtyny”, który podkreślał, że powstanie warszawskie trwa, póki Polska nie stanie się naprawdę wolna i niepodległa.

Jest nadzieja, że młodzi śpiewający tłumnie pieśni powstańczej Warszawy właściwie rozumieją cel i marzenia tamtych bohaterów. „Chłopcy silni jak stal, oczy patrzą się w dal/ Równy krok śmiały wzrok bruk aż drży/ Alejami z paradą/ będziem szli defiladą/ w wolną Polskę, co wstanie z naszej krwi”. Tak pisał Józef Szczepański „Ziutek”, żołnierz, poeta śmiertelnie ranny na barykadzie walczącej Warszawy, autor niezwykłego wiersza manifestu pt. „Czerwona zaraza”, w którym dał dowód mądrości, wiedzy i świadomości nieuniknionej walki do końca. Miał zaledwie 21 lat. „Czekamy ciebie czerwona zarazo/ Byś wybawiła nas od czarnej śmierci/ Byś nam kraj przedtem rozdarłszy na ćwierci/ Była zbawieniem witanym z odrazą/ Czekamy ciebie ty odwieczny wrogu/ Morderco krwawy tłumu naszych braci...”.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl 1499ff6129

Zaufanie



Lech Makowiecki

Znajomy o lewicowych poglądach wysłał swego wnuka do szkoły katolickiej. Gdy dworowałem sobie z jego decyzji, usłyszałem zaskakującą odpowiedź: „To jest kwestią zaufania!". Kilkadziesiąt lat walki z Kościołem utwierdziło go w przekonaniu, że właśnie w takiej szkole dziecko będzie bezpieczne, dobrze wyedukowane, grzeczne, trzymane z dala od „tęczowych piątków" itp.

Jak widać, zaufanie buduje się długo, ale też utracić je można w jednej chwili. Doświadczyliśmy tego – jako sojusznik USA – śledząc rejteradę armii amerykańskiej z Afganistanu. Doświadczamy wciąż, zderzając się z bezpardonowymi atakami idealizowanej do niedawna Unii Europejskiej. Ostatnim tego przykładem są próby „zagłodzenia" Polski w obronie wyimaginowanej „praworządności" i drakońskie kary (TSUE) za odmowę zamknięcia konkurencyjnej dla Niemców i Czechów kopalni węgla brunatnego Turów. Siłowe narzucanie Europie Wschodniej irracjonalnej polityki migracyjnej i forsowanie chorej ideologii gender też będzie miało katastrofalne skutki dla naszego euroentuzjazmu. Chyba że ogłupienie społeczeństwa osiągnie takie wyżyny, że wbrew zdrowemu rozsądkowi damy się powiesić dla towarzystwa – jak przysłowiowy Cygan.

Zaufanie powinno się opierać na racjonalnych podstawach. Zawsze. Wiara w skuteczność antycovidowych szczepień maleje u Polaków proporcjonalnie do stosowanych zachęt i nacisków (metoda kija i marchewki). Hitem memów są dziś hulajnogi i sankcje sanitarne! A już w totalnej walce między partiami (i w samych partiach) nie ma miejsca na szczerość, jest tylko brutalna gra interesów. Jestem pewien, że nawet najbardziej ideowi członkowie PO śmieją się z opowiastki Donalda Tuska o krzyżu kreślonym na chlebie. Niektórzy pozwalają sobie nawet na niewybredne żarty, dywagując jakież to ewentualnie znaki nad bochenkiem mógłby czynić ich lider.

Czas na puentę. Ponoć „wiara czyni cuda". Przy takim spadku powszechnego zaufania – wątpię.

Gadka małego Radka



Piotr Cywiński

No i powiedział, co wiedział wioskowy dyplomata z Chobielina Dworu – czuł widać potrzebę i dał jej upust. Ocenił 16 lat rządów Angeli Merkel, którą uznał za najbardziej propolską kanclerz Niemiec od tysiąca lat. Tak, tak, ten sam Radek Sikorski, bo do niego piję, który swego czasu określił gazową pępowinę z Rosji do Niemiec jako „nowy układ Ribbentropa–Mołotowa", a po zmianie partii złożył swój hołd w Berlinie, ba, robił za kierowcę i powoził w przyczepce motocykla wokół swego sioła szefa dyplomacji w gabinecie Merkel, obecnie prezydenta Bundesrepubliki Franka-Waltera Steinmeiera. Tenże nazywany był kiedyś „zausznikiem" i „concierge" kanclerza Gerharda Schrödera, a już na służbie u Merkel potępiał pomysł budowy tarczy antyrakietowej przez USA, a nawet ćwiczenia NATO w naszym kraju, które – jego zdaniem – były „zbędnym machaniem szabelką" i „drażnieniem Rosji"...

Co prawda po czołobitnym akcie wobec Niemiec wpływowa Merkel nie załatwiła Radkowi Sikorskiemu żadnej posady, a marzyło mu się nawet szefostwo w NATO, jednak Donald Tusk i partia o nim nie zapomnieli, i po krótkim okresie bezczynności ulokowali go w europarlamencie. I teraz ma forum, i wyraża, co myśli, jak o jakoby najbardziej nam przyjaznej kanclerz tysiąclecia. Gdyby mały Radek nie wagarował w szkole, wiedziałby, że pierwszym kanclerzem został dopiero w 1867 r. (najpierw Związku Północno-Niemieckiego, a potem Rzeszy) Otto von Bismarck, który zbrojnie zjednoczył walczące dotąd ze sobą niemieckie państewka.

Co zaś dotyczy Merkel, której idolką była caryca Katarzyna II Wielka, de domo Sophie Friederike Auguste von Anhalt-Zerbst – lista przyjaznych gestów pani kanclerz wobec Polski jest zaiste imponująca: rozbudowa Nord Stream 1/2, uchwalenie narodowego Dnia Pamięci o Wypędzonych, narzucenie imigracyjnej Willkommenspolitik z opłakanymi skutkami dla Europy, próba narzucenia w UE polityki klimatycznej, która może zrujnować nie tylko naszą gospodarkę, sprzeciw wobec budowy elektrowni atomowych, Centralnego Portu Komunikacyjnego, przekopaniu Mierzei Wiślanej, regulacji Odry... – przeciw wszystkiemu, co robi i zamierza PiS, włącznie ze wspieraniem finansowym przez fundację partii Merkel antyrządowej opozycji w naszym kraju.

I jak tu jej, znaczy, pani kanclerz, nie chwalić? Sikorski wie za co, niczym w persyflażu o sprawcy, który tylko zgwałcił, a mógł przecież zabić. Bądźmy więc wdzięczni „propolskiej" Merkel, że Niemcy do tej pory nie wypowiedzieli nam wojny...

eprasa.pl 1499ff6129

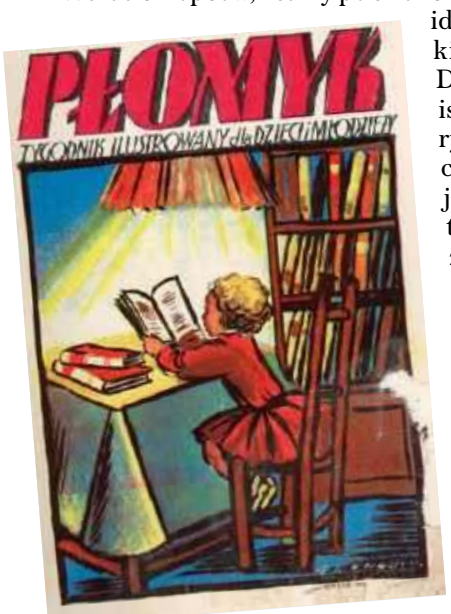
Michał Korsun prezentuje:

Denazyfikacja w Niemczech nabiera tempa – 96-letnia sekretarka z obozu koncentracyjnego oskarżona



Wycinki z przeszłości

Ilustrację tę zamieścił „Płomyk" w roku 1929, zwracając wewnątrz numeru uwagę na problem analfabetyzmu. „Nasza niewola, szczególnie u Moskali, zostawiła wielkie ślady. Jednym z tych przykrych jest to, że wielu, wielu ludzi nie umie ani pisać, ani czytać. Wśród chłopców, którzy po ukończeniu 21-go roku życia idą do wojska, jest takich bardzo wielu. Dlatego też w wojsku istnieją szkoły, w których rekruci uczą się czytać i pisać. Dla tych jednak, którzy posiedli tę sztukę, brak książek" – stwierdzano. I propagowano cenną inicjatywę Stowarzyszenia Czytelni Żołnierskich im. ks. Skorupki, które zbierało fundusze na tworzenie bibliotek żołnierskich, zwłaszcza na mało zaludnionych Kresach.



(mk)

Na Złotej Górze u wejścia do Doliny Piliśmy wino...



Leszek Długosz

„Kieliszek Racheli"

Na Złotej Górze u wejścia do Ojcowskiej Doliny
Jest dom
– Sad przy nim
(Raczej pusty)
– Kilka jabłoni
Na zielonej murawie róż parę krzaków
– Mały salonik
Od pospolitej ciżby leśnego chaosu
Enklawa elegancji oddzielona płotem...

W październikowe popołudnie
– I niczym w młodopolsko-bronowickich
czasach
Piliśmy wino na tarasie...

Patrzyłem jak w zmierzchającym świetle
Popołudnia
Herbaciane dopalały się róże
(U Weissa, u Pankiewicza – tak na płótnach
Kwitną)
Rozmowa szła o drobiazgach
I o tym co będzie...
Krzyżowały się głosy męskie i kobiece
Sentymentalne porozumiewały się pointy
– Czułem jak się rozmijamy
– Jak siwieją me skronie
Tymczasem, sprawy świata
Jak skręcają
I w swoim tempie biegną
Niezależnie i nieuchronnie

I wszystko było – jak się wydawało
I wszystko było – jak inaczej
Skorom wiedział, że piję wino z kieliszka
Który kiedyś był własnością
Racheli Singer...

Ach i uwierzyć, że i przedmioty
Nie posiadają władzy?
– O zaplątany błysku dalekiej legendy...

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

Autopromocja

eprasa.pl 1499ff6129

PRZEZ ŚWIETLIK

Lekcja Stuhra



Wiktor Świetlik

Łódzki adwokat, który według mediów i policji spowodował 26 września wypadek, zabijając samochodem dwie osoby, potem nagrał film, w którym snuł beznamiętne refleksje o jeżdżących po polskich drogach „trumnach na kółkach", zdobywając tym samym dość ponurą popularność. Zastanawiam się, czy mamy do czynienia z jednostkowym przypadkiem psychopaty, czy jednak ze zjawiskiem dużo szerszym, może wręcz chorobą cywilizacyjną.

Obawiam się, że jest to to drugie, a pan mecenas po prostu jest bardzo wyrazistą egzemplifikacją ogólnego stanu części społeczeństwa, w szczególności tej, która przypisuje sobie miano elity i przynajmniej pod względem finansowym i pod kątem umiejscowienia na drabinie społecznej faktycznie odgrywa tę rolę. Chyba nie ma prostszego testu na poważne zaburzenie w relacjach ze światem, mogące rodzić zachowania niebezpieczne, psychopatyczne, niż bezpośrednio manifestowana radość z czyjejś śmierci, zakładając, że nie mamy do czynienia ze śmiercią masowego zbrodniarza, ale po prostu innego człowieka. Jakiś czas temu Anna Maria Żukowska, skądinąd wydawało się, że dość sympatyczna rzeczniczka Lewicy, ni z gruszki, ni z pietruszki zaczęła sobie dworować ze śmierci sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Kilka godzin po owej śmierci. Krzysztof Król, obecnie współpracownik Lecha Wałęsy i jedna z bardziej ohydnych postaci lobby proesbeckiego w Polsce, nie omieszkał w chamski sposób skomentować śmierci zarówno Jana Olszewskiego, jak i Kornela Morawieckiego. Takie przykłady można by mnożyć i nie dziwą one, bo przecież prawdziwej lekcji udzielono po katastrofie smoleńskiej. Rozpoczął ją Janusz Palikot, a potem cała krajowa śmietanka celebrycka, z nieocenionymi Stuhrem i Wojewódzkim na czele, budowała swoją estymę, plując na ofiary katastrofy.

Może więc łódzki pan mecenas wziął przykład ze swoich idoli. Poglądy, zdaje się, ma postępowe, więc na pewno mają na niego wpływ. Tylko poszedł ciut dalej niż co poniektórzy i wykpił śmierć tych, których przed momentem zabił. Nie on pierwszy w historii ani nie ostatni. W najbliższym czasie w Polsce zapewne też nie.





OD A DO ZYBERTOWICZ

Sztuka bez finiszu

Książkę, która ma „oderwać od zwykłego myślenia”, radzą czytać przy filiżance gorącej kawy lub herbaty. Ma inspirować i intrygować

Myślicie, że tylko u Mazurka na urodzinach spotykają się osobistości ze światów przeciwległych? Nie całkiem. Oto: redaktorzy Tomasz Terlikowski i Rafał Ziemkiewicz, aktorzy Jacek Poniedziałek, Maciej Stuhr, wokalista Maciej Maleńczuk, aktorka Dorota Stalińska, jazzman Włodzimierz Pawlik, polityk Adam Struzik – w sumie ponad sto bardzo różnych osób „znanych lub rozpoznawalnych” – w jednym miejscu! Między okładkami książki, o której za chwilę.

W ostatni piątek września byłam (męża zabrałam z sobą) w Żyrardowie, gdzie od 13 lat zawsze we wrześniu odbywa się Interdyscyplinarny Festiwal Sztuk Miasto Gwiazd. Byliśmy tam po raz pierwszy. Festiwal wymyślił i organizuje malarz, grafik, performer (na tym nie koniec) Artur Krajewski – rodowity żyrardowianin, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Wymyślił festiwal *dla spotkań*. W pierwszej kolejności ze sztuką współczesną, z plastyką szeroko rozumianą, z teatrem (w tym roku można było zobaczyć monodram Marcina Zarzecznego „Zwierzenia bezrobotnego aktora” – zresztą nieaktualny, bo aktor ma już pracę), z muzyką, z fotografią, ale też z „gadającymi głowami”. Bo w Żyrardowie nie brakuje okazji do rozmów – publicznych i prywatnych. W poprzek wyobraźni, ludzkich sympatii i politycznych antypatii. Debatują przedstawiciele różnych światów i wrażliwości – w tym kompletnie mało artystycznych...

Krajewski integruje nie tylko ludzi sztuki. W swą misję wciągnął sztab ciekawych ludzi, na czele z warszawianką, dziennikarką i animatorką kultury Martą Ewą Olbryś. Parę lat temu oboje wydali książkę: „Koniec sztuki?!”. Tak – po znaku zapytania jest jeszcze wykrzyknik!

Czym jest dla Ciebie sztuka? Jakie były Twoje pierwsze spotkania ze sztuką? Co myślisz o końcu sztuki? Te trzy pytania stawiali licznym osobom znanym (w tym bardzo, bardzo) podczas przeróżnych akcji i wydarzeń artystycznych. W sumie skomponowali zajmujący tomik na temat wrażliwości artystycznej. Każdą ze 105 zebranych wypowiedzi komentują swoim krótkim dialogiem. Książkę, która ma „oderwać od zwykłego myślenia”, radzą czytać przy filiżance gorącej kawy lub herbaty. Ma inspirować i intrygować.

Zatem „czytam” ją *nieszablonowo*. W ramach zabawy ze sztuką? Zaczynam od strony 17, od... może – trzeciej linijki od góry i śledzę co 27 lub 28 linijkę (mniej więcej). Oto wynik.

„Dlaczego?

Witkacy i najpiękniejszy sen.

To metaforyczne odniesienie do dzieła, które po stworzeniu odleżało się na przysłowiowej półce, by po jakimś czasie być zaskoczeniem dla samego twórcy.

Bo dzieci częściej marzą?

Idę i nagle widzę wielki mural, a na nim widnieje wielka kula.

Brzmi to bardzo beztrosko.

A uważasz, że możemy opluwać wartości naszych ojców, dziadków?

Akcja była pewną prowokacją, ale działającą w drugą stronę.

Moje pytanie było trochę szersze – czy przeciętny Kowalski jest zanurzony w sztuce, być może bezwiednie?

* * *

Nie wyprzedzaj. Wieczorem spotkałem się z kilkoma przyjaciółmi, przy tak zwanym elektronicznym forteklapie. [Śmiech]. Kiedyś w klubie Hybrydy spotykali się wszyscy wybitni. Taki anielski obrazek, który swoją siłą zmienia Cię – racjonalistycznego obrazoburcę w świętego – i tworzysz... Michael Jackson to genialny facet! Był to cichy i spokojny, bardzo skromny człowiek, niebywały profesjonalista! Przypatrz się samym tytułom. Tworzenie takiej postaci to przypisywanie jej większych zasług, kreowanie na kogoś absolutnie wyjątkowego, szlachetnego. Ja chcę wspomnieć ten wątek, który prawdopodobnie był pierwszym. Poloniści w pierwszej kolejności prosili o to mnie. Większość przekazywanych przez nas informacji, komunikatów ma charakter niewerbalny. Tak się dzieje na przykład w Łódzkiej Szkole Filmowej. Siła nie zawsze tkwi w kasie! Koniec sztuki? Dokładnie, taki gag w angielskim stylu”.

Inspiracją do powstania książki była ponoć data w kalendarzu Majów – 21 grudnia 2012 r., która zapowiadała koniec świata. Liczę, iż zanim się spełni, Artur Krajewski urządzi jeszcze kilka zderzeń przeciwległych światów.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 39/0921/F

eprasa.pl 1499ff6129

wSIECI HISTORII

Setny numer

w kioskach!



Setny numer
Aż 100 stron pasjonujących tekstów o historii!

100 lat po...
Wielkie wydarzenia oceniane 100 lat później

SB w sporcie
„Smutni panowie" na olimpijskim szlaku

Makłowicz senior
Barwna postać Włodzimierza Makłowicza

Partner wydania:

Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL



Zamów e-wydanie wSIECI HISTORII i SIECI na **www.SiecPrzyjaciol.pl**

- tylko **1 zł za pierwszy miesiąc** (następnie 9,99 zł) lub **89,99 zł za 12 miesięcy** z książką w prezencie
- do czytania na komputerze, smartfonie, tablecie

eprasa.pl 1499ff6129



DBAMY O BEZPIECZEŃSTWO FINANSOWE POLAKÓW

W zasobach NBP w sumie jest ponad 228 ton złota. To gwarancja wiarygodności i bezpieczeństwa finansowego naszego kraju. NBP planuje dalszy zakup tego kruszcu.

Realizując nasze konstytucyjne, ustawowe i po prostu patriotyczne zobowiązanie, nie tylko budujemy siłę gospodarczą państwa polskiego, ale też tworzymy rezerwy, które będą strzegły jego bezpieczeństwa finansowego.

Prof. Adam Glapiński, Prezes Narodowego Banku Polskiego

NARODOWY BANK POLSKI

NBP

nbp.pl

eprasa.pl 1499ff6129